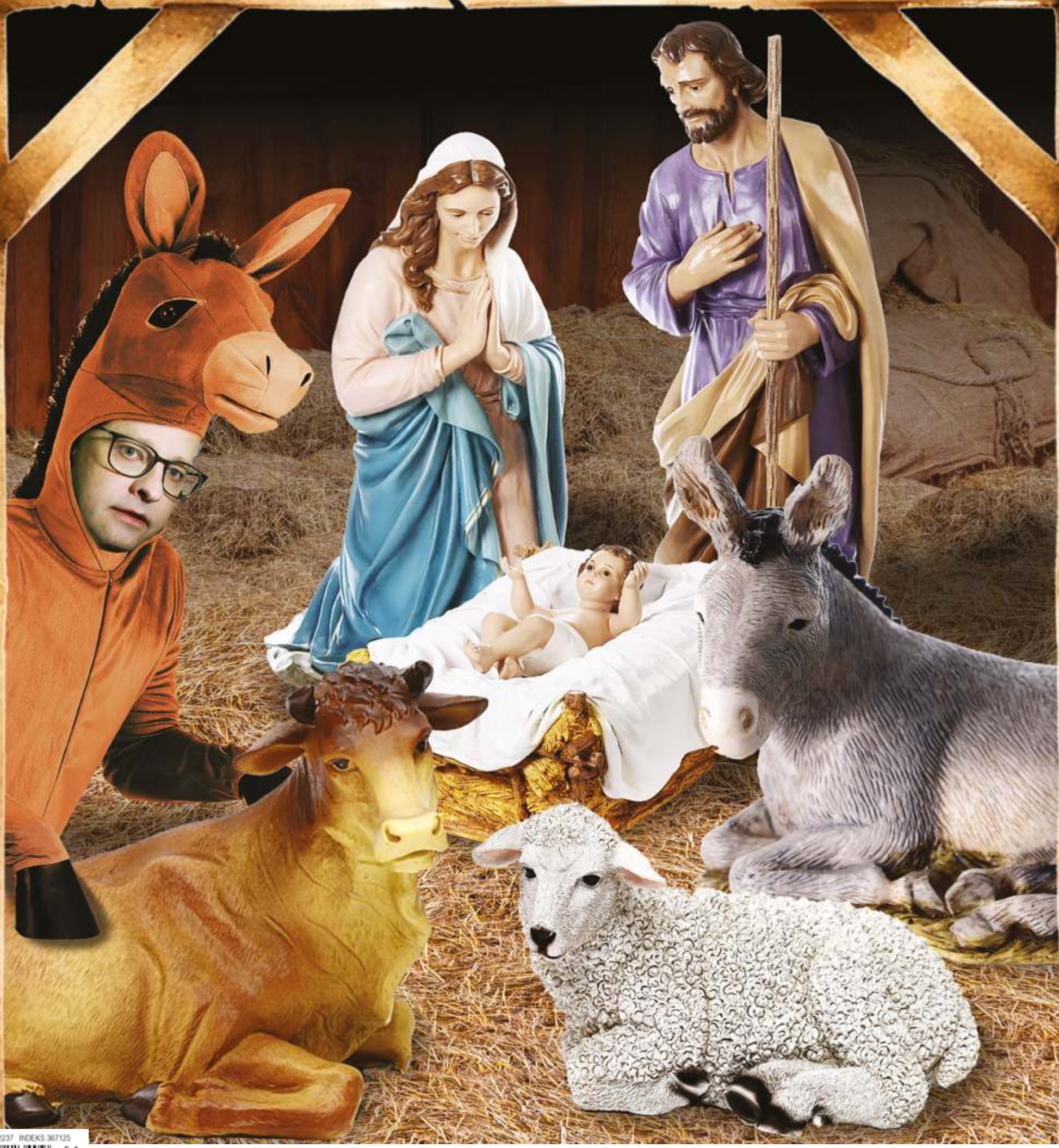


Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 15,80 zł w tym 8% VAT • NR 51-52 (1787-1788) • 20 grudnia 2024-2 stycznia 2025



Podwójny numer



nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE Tygodnik NIE

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237 Ilustr. PAWEŁ FERENC

WOJNA DOMOWA

♦ Marcin Romanowski, słysząc, że sąd przychylił się do wniosku o aresztowanie go na trzy miechy, postąpił jak romantyczny bohater. A konkretnie jak Almanzor: *uciekł i zmylił pogonie*. Istnieje podejrzenie, że Opus Dei go ukryło w nagrodę za wierną służbę, która posunęła się do – żeby zacytować „Fakt” – *życia w celibacie*. Wprawdzie Opus Dei złożyło oświadczenie – *Marcin Romanowski nie mieszka i nie przebywa w ośrodkach związanych z Opus Dei; władze Prałatury nie posiadają wiedzy na temat miejsca jego pobytu* – ale, z bliżej nieznanych przyczyn, zaufanie społeczne do enuncjacji katomasonerii nie jest zbyt wysokie. W razie gdyby Romanowski znielacka pojawił się, na przykład, w prokuraturze, podwładnym min. Bodnara zalecamy przypomnienie sobie dalszego ciągu „Konrada Wallenroda”: *Almanzor wszystkich wzajemnie witał, Wodza najczulej uściskał, Objął za szyję, za ręce chwycił, Na ustach jego zawisnął*. A zaraz potem: *Patrzcie o giayury! jam siny, blady. ... Zgadnijcie czym ja posłem? ... Jam was oszukał: wracam z Grenady, Ja wam zarazę przyniosłem!* Inaczej mówiąc: nie całować.

♦ Magdalena Biejat w chwilę po opuszczeniu partii Razem została kandydatką tej drugiej lewicy na prezydenta (Prezydentkę? Prezydencję?). Entuzjazm w Nowej Lewicy jest ogólnie obowiązujący, choć przewodniczący Czarasty nie pojawił się na namaszczającej Biejat konwencji, albowiem już od dwóch tygodni był w szpitalu. Wyszedł z niego dzień później, żeby spotkać się z premierem Tuskiem i przekonywać go, że minister Dariusz Wiczorek nie zasługuje na odwołanie. Lista powodów, za które nie należy odwoływać Wiczorka, przedstawia się następująco: przekazanie rektorowi Uniwersytetu Szczecińskiego nazwiska sygnalistki, która prosiła o dyskrecję, informując ministerstwo o nieprawidłowościach w US; wymiana z rektorem US uprzejmości w postaci zatrudnienia żon na dobrze płatnych stanowiskach – w przypadku starej Wiczorkowej wymagało to zmiany regulaminu i obniżenia wymogów; pominięcie w oświadczeniu majątkowym dwóch hektarów działki i miejsca garażowego. Obawiamy się, że więcej powodów do nieodwołania Wiczorka możemy już nie poznać, bo Tusk się ponoć zirytował.

♦ Znacznie mniej irytacji wykazują koledzy partyni magistra inżyniera Wiczorka, którzy zbudowali bardzo wyrafinowaną narrację, żeby wyjaśnić, dlaczego jego postępowanie jest karygodne, ale nie zasługuje na karę. Szczególnie niezręcznie zabrzmiało to w ustach kandydatki Biejat, która usiłowała wyrazić należyte oburzenie, a jednocześnie nie podpaść Czarastemu kategorycznym wezwaniem do dymisji ministra nauki, który wyróżnia się poziomem obciachu – a to coś znaczy, zważywszy że przejął stanowisko po Czarnku. Zamykając świąteczny numer „NIE”, jeszcze nie znamy pointy tej historii – ale czytając go, zapewne będziecie już znać. W razie gdyby miało okazać się, że Wiczorek jednak poleci – dla kandydatki, a także jej politycznego zaplecza mamy radę autorstwa Machiavellego: jeśli książkę ma ustępować, powinien to czynić od razu, bo wtedy jest to przejaw wspaniałomyślności. Jeśli ustępuje po okresie protestów i nacisków, wygląda to na znak słabości. Trzeba było od razu zażądać wyrzucenia Wiczorka z sań i zrobić wrażenie pryncypialnej.

♦ Państwowa Komisja Wyborcza postanowiła najwyraźniej nie korzystać z porad Machiavellego i zamiast tego zejść z linii strzału. Po tym, jak Izba Kontroli Nadzwyczajnej SN – która zdaniem pięciu z dziewięciu członków PKW nie jest sądem – unieważniła decyzję PKW o odebraniu PiS dotacji, PKW postanowiła się do tego nie odnosić, dopóki nie wyjaśni się, czy Izba jest sądem. Gdyby ktoś chciał jednak dość do wniosku, że członkowie PKW okazali się cieniasami – z błędu wyprowadza go prezydent Duda: *Ta hydra postkomunistyczna, która cały czas broni i podkarmia pozostałości komunistycznych łże-elit w Polsce, dzisiaj dała po raz kolejny głos*. Czekaliśmy z zapartym tchem, że głowa państwa rzuci się na ziemię i zacznie walić piąstkami o podłogę, ale jakoś się powstrzymała. Cóż za rozczarowanie.

♦ Wszyscy trzymamy jednak kciuki za to, że Andrzej Duda uruchomi całą siłę osobowości, kiedy już zostanie członkiem Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, na które to stanowisko wytypował go zupełnie apolityczny zarząd Polskiego Komitetu Olimpijskiego. *Pan prezydent jest osobą oddaną olimpizmowi. Bardzo pomaga PKOl, ale też trzeba pamiętać, że bardzo dobrze poruszał się w strukturach międzynarodowych* – wyjaśnił decyzję swojego organu apolityczny szef PKOl Radosław Piesiewicz. Nastąpiło pewne napięcie, albowiem obecnie polską delegatką do MKOl jest olimpijska medalistka Maja Włoszczowska, ale przecież gravitas polityczny Andrzeja Dudy wygrywa z jakimiś tam medalami; pomijając już pytanie, czy Włoszczowska umie jeździć na nartach.

♦ Premier, wicepremier, a na dokładkę jeszcze jeden wice-minister od obrony pojechali do Goldapi, żeby się pochwalić, jak wiele robią dla bezpieczeństwa Polski. Donald Tusk przemówił 16 grudnia – że w 1970 roku strzelali do robotników i w 1981 też, ale teraz to już na pewno nie. *To wspomnienie jest dla mnie bardzo ważne, bo jako premier polskiego rządu mogę powiedzieć, że jest dla mnie źródłem autentycznego osobistego szczęścia, że po tylu latach w Polsce niepodległej mundur polskiego żołnierza to coś, co w każdym polskim domu, w każdym polskim zakątku, budzi nadzieję i radość, że jesteśmy bezpieczni dzięki wam* – monologował Tusk, ale Kosiniak-Kamys z go przebił: *Dzisiaj możemy spokojnie powiedzieć, że to jest coś absolutnie jednoczącego Polaków; jeżeli dzisiaj coś naprawdę nas w wielki sposób jednoczy – to nieklamana miłość do wojska, miłość do żołnierzy, do Wojska Polskiego. To jest coś, co jest wielkim skarbem i wy to macie*. Za mundurem premierzy sznurem.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Grudzień 2012 r.



Świętego Romaryka

W mojej ulubionej „Gazecie Polskiej Codziennie” ukazała się symfonia niedokończona Artura Dmochowskiego pt. „Czego nienawidzi rząd?”. Kończy ją wywód, że ja popsułem ministrowi Boniemu (który nigdy o Urbanie nie słyszał) kampanię przeciw mowie nienawiści, mowę tę stosując. Należę do ojców założycieli mediów w III RP, promieniuje. Poza tym wyjątkowo wulgarnie zaatakowałem Rafała Ziemkiewicza, chociaż on stracił pracę. Jestem korzeniem Boniego, który podciął tego ministra. Zaprasza się mnie do salonowych mediów, *bym mógł...* I tu artykuł się urywa. Proszę „GPC” o pilną wiadomość, co ja mogę? Wówczas zrobić, co mogę.

Świętego Daniela

Eurodeputowany Marek Siwiec znalazł się poza zasięgiem Leszka Millera. Mogę więc bez jego szkody zdradzić powinowactwo: to aryjski kuzyn kuzynki mojej córki. Zresztą nie trzeba podkreślać jego nieżydostwa. Toż znany naśladowca Jana Pawła II.

Siwiec zasiłił coraz liczniejsze i ciekawsze szeregi lewicowców niezrzeszonych: Kwaśniewski, Borowski, Cimoszewicz, Celiński i inni. Ci siwawi (z wyjątkiem Borowskiego) wytrawni politycy nabierają łącznie i pojedynczo ciężaru gatunkowego po próbach

odmłodzenia SLD, które uosabiał Napieralski, a teraz Joński. Odmładzanie przywództwa partii starszych ludzi skończyło się, jak wiadomo, na Millerze, młodzieńcu przedwcześnie skwaszonym (to niestety nie aluzja do Kwacha). Wygląda na to, że ponadpartyjni seniorzy staną się zaczynem zjednoczenia centrolewicy i odtwarzania alternatywy dla prawicowych rządów. Odchodzenie z SLD stwarza nowe szanse na karierę. Siwiec przyszłym ministrem spraw zagranicznych?

Świętej Joanny-Franciszki

Leszek Miller powiedział, że jeżeli powstanie wspólna lista całej lewicy do Parlamentu Europejskiego, nie będzie na niej Marka Siwca.

Miller chlubi się tym, że on jako premier wprowadzał Polskę do Unii. Teraz sam wyprowadza się z Wspólnoty w obręb setek swoich małostkowych urazów personalnych i osobistych kompleksów. Zgorzkniały, zgryźliwy, wytarty jak stary bambosz. Mnie, że jest przyszłością lewicy, a staje się obrzydliwy nawet jako jej przeszłość.

Świętej Łucji

Na powierzchni polscy nacjonalisci wojowali z filmem „Pokłosie” i Janem Tomaszem Grosssem. A tymczasem powstał sojusz

chłopsko-żydowski przeciw zakazowi uboju rytualnego. Obrońcy zwierząt twierdzą, że krowa lub owca wolą być walone w łeb niż podryznane. Inaczej niż w życiu publicznym świnie są poza dyskusją.

Doświadczenie Bożego Narodzenia powinno pogodzić zwaśnione strony. We wszystkich kuchniach karpie są i walone w łeb, i zaraz mają też poderżnięte gardła.

Konkluzja: nie rób krowie, co karpiowi niemile. Z przyczyn religijnych nie wolno ani torturować zwierząt, ani kobiet niechcianymi bachorami. Jude raus od naszych baranów!

Świętej Odylii

Proponuję rządowi instrukcję negocjacyjną na nadciągające rozmowy o budżecie Unii. Zagrozić kanclerz Merkel, że oddamy Republice Federalnej nasze ziemie zachodnie i północne wraz z ludnością. Przerażona widmem bankructwa Niemiec, nie tylko przydzieli nam 300 mld zł, na które mamy apetyt, ale i zbuduje przypiętkę, którą Polska będzie jechać ciągnięta przez Euroland.

Świętej Odylii

„Ciagle w dół”, „Rzepa”. Wojciech Stanisławski biada nad tym, że prześmiewcy ściągają z piedestału ikony wiary i sztuki,

np. Giocondzie dorysowują wąsy. Neguje tym przecież Salvadora Dalego, Picassa, Warhola. Zawsze istnieli zgorzseni, ale Stanisławski zadziwia doborem przykładów. Podłym szydercą jest dlań uszminkowany Joey, konferansjer z filmu „Kabaret”. A on jest przecież w filmie tragiczną maską odchodzącego świata wartości.

Skoro raz przyjmie się za prawdę ten okrucz zwierciadła, który zgrabnym ruchem wepchnęli pod powiekę pan Fredrich Nietsche, pan Zygmunt Freud i pan Jerzy Urban, to początkowe polutowanie wobec tych, którzy jeszcze w coś wierzą – naiwniaki – zamienia się w pogardę.

Pochlebiam mi ustawienie mnie obok tytanów myśli, ale nic nie rozumiem. Wymienieni Niemiec i Austriak to ponurzy i bardzo silnie wierzący w swoje koncepcje człowieka tytani minionego dorobku myślowego ludzkości.

Mniej szokujące jest publiczne pokazywanie syfilitycznego szankra na swym pracu niż obnoszenie się, jak pan W. Stanisławski, po prostu z brakiem poczucia humoru.

Świętej Ninon

Dialog przed wejściem do Multikina. Facet jest z drugim takim i dziewczyną. On do mnie: – To pan jest tym sukinsynem? Ja do niego: – Ja. On: – Cholera, zapomniałem, jak się pan nazywa.

□

PRASA ŚNIADANIOWA

- Jak informuje **Gazeta.pl**, co trzeci Polak nie zamierza przyjąć księdza po koledzie. Z księdzem jest jak z kompotem z suszu – wszyscy go nie cierpią, a on i tak będzie.
- **Roman Giertych** poskarżył się, że przez głosowanie w sprawie in vitro nie udzielono mu komunii. Przy wigilijnym stole polecamy macę z embriionów.
- **BMW** z radością poinformowało, że do grona ich klientów dołączył Krzysztof Rutkowski. BMW trzeba przyznać, że konsekwentnie pracuje na swoją renomę.
- **Biskupi** zapowiedzieli podjęcie kroków prawnych, aby religia pozostała w szkole. Okazuje się, że Kościół jednak uznaje świecki wymiar sprawiedliwości.
- **Madonna** opublikowała zdjęcie w czułym uścisku z papieżem Franciszkiem. Idealna para nie ist...?
- **Rafał Trzaskowski** powiedział, że zdecydowanie woli semik bez rodzynek. Kiedy sam jestes rodzyńkiem, to lekceważysz inne rodzyнки.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WATERS

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

W numerze:

- 3: **Rewolucyjny Amor Fati** – na pohybel prawactwu wspominamy Różę Luksemburg
- 4: **Kandydat w związku** – rozmawiamy z Piotrem Szumlewicem, który też chce zostać prezydentem
- 5: **Radosna wojowniczką** – nasza opinia o Magdalenie Biejat; relatywnie obiektywna
- 6-7: **Pochwała wkurwiania ludzi; Młodzi i lepcy; Moje pokolenie** – protest Ostatniego Pokolenia: za, przeciw i z dystansu
- 8: **Ministerstwo z planem w dupie** – co to znaczy *rzułty* przy nazwisku lekarza; **100 porażek Tuska** – jak jest: lepiej, gorzej, równie chujowo?
- 9: **Gambit króla życia** – smutny reportaż o człowieku, któremu nie wyszło
- 10: **Elektryk generuje napięcia** – uroki ministra Wiczorka; **Piechą do nieba** – niepokalone poczęcie partii o nazwie Panem Jest Jezus
- 11: **Ten rząd stać na wszystko** – dlaczego IPN dostaje z budżetu 652 mln zł, a PAN 116
- 12: **Trans jak Rzeczpospolita** – 20 lat ruchu osób transpłciowych w RP
- 13: **Cicha noc, krwawa noc** – dlaczego mordujemy się w urodziny Jezusa; **Diler złudzeń** – upadek autorytetu Świętego Mikołaja
- 14-15: **Wieczerza uświatająca** – 53 rodzaje pleśni z choinki; **Szopki z szopki** – stajenki z Madery; **Okruchy do żłoba** – gdzie jest miejsce biedaków
- 16-17: **Pamiętajcie o obozach** – podróż po miejscach, których wcale, broń Boże, w żadnym wypadku nie wyzwoliła Armia Czerwona
- 18: **Gen polskiej władzy** – kto, waszym zdaniem, rządził I Rzeczpospolitą? Polacy się nie nadawali
- 19: **Nostalgia po naszymu** – czy dawniej było lepiej, czy po prostu teraz jest do dupy?
- 20: **Przed Twe ołtarze zanosim ruchanie** – nowenna o czystość kapłanów
- 21: **Piedestał z puską** – purpuraci tłusci w honor
- 22: **Wyobraź sobie, że...** – świat równoległy, gdzie reklama jest zakazana
- 23: **Pasza dla narodu** – niedobre, bo polskie
- 24-25: **Zniewolenie słów** – przestańcie mówić o „komunizmie”; **Żywy towar tanio wynajmę** – agencje pracy, agendy wyzysku
- 26: **Długoletnie pożyczę antykomunistyczne** – Polska płaci zasłużonym i nierozwiedzionym
- 27: **Polska właścicieli**: kamienicznicy to źli ludzie. Po prostu.
- 28: **Uwolnić trupa** – tłok na cmentarzu; **Glut w zupie** – co się psu należy
- 29: **Barbie z bobrem** – pułapki udoskonalania sromu
- 30: **Po co trzymać z Chińczykami** – odpowiedź: bo są mądrzejsi
- 31: **Subiektywna dziesiątka** – rok w sporcie: same baby

Dlaczego nie da się zapomnieć o Róży Luksemburg?

Ten tytuł zaczerpnąłem ze wspianego esaju jednego z najwybitniejszych polskich uczonych, Andrzeja Walickiego. Pod takim tytułem zamieścił on rozdział poświęcony Róży Luksemburg w swoim opus magnum, historii politycznego marksizmu od Marksa do Gorbaczowa. Nawiązuje to do stoickiego *umilowania losu* – czyli podejmowania jego wyzwań. Okazja do napisania tego tekstu jest szczególna: zbliża się kolejna, już 106. rocznica jej męczeńskiej śmierci, a jednocześnie o urząd prezydenta kraju ubiega się dr Karol Nawrocki: gorliwy tępicieł wszelkich pamiątek po Róży w Polsce.

Rozalia

W badaniu wykonanym na zlecenie UNESCO Róża Luksemburg została uznana za drugą pod względem rozpoznawalności w świecie Polką – po Marii Skłodowskiej-Curie. Była też pierwszą Polką, która otrzymała uniwersytecki doktorat; konkretnie w Zurychu. Czy była jednak Polką?

Dla świata i świątych Polaków – tak! Dla polskich antysemitów i antykomunistycznych barbarzyńców z IPN, którzy likwidowali pamiątki po niej i skuwali tablicze pamiątkowe na domach, gdzie mieszkała – oczywiście nie! Tępił ją jako Żydowicę, która zwalczała niepodległość Polski i współtworzyła KPP.

Karol Modzelewski sformułował nowoczesne kryterium tożsamości narodowej: ma się tę tożsamość nie w genach, lecz w głowie. To kryterium Róża zdaje celując.

Urodziła się w Zamościu, w żydowskiej rodzinie Edwarda i Liny Luxemburgów, już od pokolenia całkowicie spolonizowanej. Rodzice ze sobą i z dziećmi rozmawiali po polsku; językiem pracy i interesów ojca – zamożnego kupca wyrobów drzewnych – był niemiecki. Rodzina żywo obcowała z polską kulturą i historią, wspierała powstanie styczniowe.

Jedną zmienną okoliczność zwykle się pomija. W cesarstwie rosyjskim – podobnie jak w cesarstwie austro-węgierskim, a także na większości terytorium II RP – nie było świeckich urzędów stanu cywilnego; tę funkcję sprawowały gminy wyznaniowe. Bezwyznaniowość nie była tolerowana. Człowiek niezarejestrowany po urodzeniu w jakiejś gminie wyznaniowej nie istniał, nie miał metryki, nie dostał dowodu tożsamości ani paszportu, nie mógł uczęszczać do szkoły.

Edward Luxemburg był areligijny i wolny od konotacji i obyczajowości żydowskich – ale aby istnieć w sensie prawnym, miał tylko dwie drogi: wychrzcić się lub pozostać w religijnej gminie żydowskiej. Wybrał tę drugą, w jej najbardziej zreformowanej i tolerancyjnej odmianie. Status wychrzty był w tych czasach stygmatyzujący i zbyt angażujący religijnie. Aby jednak zakomunikować otoczeniu swe zerwanie z tradycją i tożsamością żydowską, rejestrował swe dzieci pod imionami czysto chrześcijańskimi, nawet specyficznie polskimi. Synowie po kolei: Mikołaj, Maksymilian, Józef; syn tegoż – Kazimierz. Córki: starsza Anna, młodsza – nasza Róża – Rozalia. Cała rodzina w czasie przeprowadzki z Zamościa do Warszawy zmieniła brzmienie nazwiska na Luksemburg. Rozalia przyjęła imię Róża – Rosa jako pseudonim polityczno-literacki. W dokumentach tożsamości do śmierci pozostała Rozalia.

Frau Doktor

Pod koniec XIX w. Róża przeniosła się do Berlina. Dla uzyskania niemieckiego obywatelstwa zawarła nawet fikcyjne małżeństwo, po kilku latach zlikwidowane rozwodem. Przeprowadzka ta miała motywy polityczne. Z Berlina – poza zasięgiem carskiej policji – łatwiej jej było uczestniczyć w kierownictwie Socjaldemokracji Królestwa Polskiego – nielegalnej partii, którą założyła i niezmiennie pozostawała jej głównym teoretykiem. Dodatkowo do przeniesienia się do Niemiec skłoniła ją możliwość współpracy z niemiecką socjaldemokracją (SPD) – najsilniejszą legalną partią marksistowską w Europie, wielką w tym czasie nadzieję całej europejskiej lewicy. W SPD *Frau Doktor*, jak ją nazywano, zdobyła szybko duże uznanie. Prowadziła wykłady z ekonomii w partyjnym systemie szkoleniowym – jej studentem był Friedrich Ebert, późniejszy pierwszy prezydent republiki weimarskiej.

Róża spędziła w Niemczech 20 lat życia – ale nie lubiła tego kraju. Tęskniła za Polską. Píše Andrzej Walicki: *Najbardziej intymne, niepodważalnie autentyczne prywatne listy Luksemburg dowodnie świadczą, że uważała się za Polkę, źle czuła się wśród Niemców, kochała polską kulturę, polski język, a nawet polskie sielskie krajobrazy*. Wieloletniego partnera życiowego Leona Jogichesa (Jana Tyszkę), pochodzącego z Litwy kownieńskiej i władającego raczej gwarą niż językiem polskim, skłoniła do opanowania poprawniej polszczyzny, gdyż – jak pisała w liście – rozmawiać o miłości potrafił tylko po polsku. Jogiches był jej posłuszny, opanował świetnie polski język, był, pod pseudonimem Tyszka, poczytnym polskim publicystą, jednym z przywódców SDKPiL. Działal też w niemieckim ruchu robotniczym. Niedługo po śmierci Róży zginął w Berlinie z rąk tych samych siepaczy.

Srodowiska nacjonalistyczno-populistyczne odśladają Luksemburg od czci i wiary za jej rzekomy sprzeciw wobec niepodległości Polski. To grube nadużycie: nie sprzeciwiała się ona niepodległości,

Rewolucyjny Amor Fati

lecz angażowaniu ruchu socjalistycznego do walki o tę niepodległość. Sądziła, że wszystkie siły lewicy należy zespolić w walce o rewolucję socjalistyczną, która obali wszelki ucisk – również narodowy – i przywróci wolność narodom uciskany.

Było to stanowisko w XIX w. szeroko podzielane na europejskiej lewicy. Myślał tak Ludwik Waryński i większość Proletariackich; lewicowa część PPS także.

Róża należała do najwybitniejszych zwolenników niczym nieograniczonego międzynarodowego braterstwa proletariatu. Swą heroiczną walką przyczyniała się, bardziej niż ktokolwiek, do osłabienia państw

by w tym aliansie z honorem witana i respektowana. Ogromnie pogorszyłyby to szanse terytorialne Polski: na wschodzie uzyskałaby co najwyżej ziemie po linię Curzona, byłaby państwkiem małym i od sąsiadów zależnym. Dobrze to rozumiał Piłsudski i unikał takiego zaangażowania w walkę z Bolszewią, które sprzyjałoby zwycięstwu białych. Wolał już czerwonych.

Otóż te siły, które w Rosji dokonały bolszewickiego przewrotu, zorganizowały się mniej więcej na bliskiej Róży Luksemburg zasadzie internacjonalistycznej. Było to przymierze zbuntowanych Rosjan i narodów uciskanych przez Rosję.



zaborczych i do wyzwolenia Polski – mimo że sam postulat odrębnie traktowanej walki o niepodległość był jej obcy. Ale, jak zwraca uwagę Walicki, tak samo traktowała wszelkie odrębne postulaty narodowe. Obojętnie też odnosiła się do antysemityzmu – sądziła, że automatycznie zniknie wraz z kapitalizmem.

Dwóch Rosjan, czterech Żydów, dwóch Gruzinów

Było to rozumowanie idealistyczne – ale też dogmatyczne i pozbawione realizmu. Choć jeśli bliżej wniknąć w okoliczności odzyskiwania przez Polskę niepodległości i odbudowywanie jej państwowości – nie sposób nie dojrzeć pewnego, przynajmniej częściowego, sensu w owym dogmatyzmie. Naród polski odzyskał niepodległość nie tylko i nie tyle w wyniku własnej walki narodowyzwoleniczej, co wskutek upadku wszystkich po kolei państw zaborczych.

Austro-Węgry rozpadły się w wyniku dotkliwej klęski wojennej, cesarstwo niemieckie też załamało się z tego powodu. Trzeci i najważniejszy zaborca istniał nadal – mimo że rewolucja lutowa 1917 r. obaliła carat. Ta Rosja, która dokonała rozbiórów Polski, została zniszczona dopiero przez przewrót bolszewicki.

Był on dla sprawy polskiej nader korzystny nie dlatego, że bolszewicy – jak twierdzono w PRL – opowiadali się za polską niepodległością, ich stanowisko w tej kwestii było dwuznaczne. Lecz dlatego, że stworzyli nowe państwo rosyjskie, które zawarło w marcu 1918 r. odrębny pokój z Niemcami. Oddało w ich ręce Ukrainę i Białoruś oraz – co ważniejsze – wyprowadziło Rosję z antyniemieckiego aliansu i wyrzekło się statusu ewentualnego mocarstwa zwycięskiego. W rezultacie Rosja bolszewicka była nieobecna na konferencji pokojowej i nie miała wpływu na jej decyzje.

Każda inna Rosja – czy to Kiereńskiego, czy białych generałów – po pokonaniu bolszewików była-

W gremiach kierujących tym przewrotem etnicznych Rosjan było tylko dwóch: Lenin i Bucharin. Przeważali zrusyfikowani obcoplemieńcy: czterech Żydów – Trocki, Swierdłow, Zinowiew i Kamieniew; dwóch Gruzinów – Dżugaszwili-Stalin i Ordżonikidze; jeden Polak – Dzierżyński. Ich rewolucja po czterech latach walk obroniła państwo rosyjskie mniej więcej w przedwojennych granicach – ale wyprowadziła to państwo ze zwycięskiej koalicji wojennej. Z korzyścią dla Polski. Róża tego nie doczekała i nie skomentowała.

Leninowi nie

Okazała się też Róża Luksemburg zdecydowanym obrońcą demokracji przed zakusami dyktatorskimi Lenina. Już w 1902 r. polemizowała z nim w sprawie modelu partii, sprzeciwiała się pomysłowi tzw. centralizmu demokratycznego. Własną partię od tego ustrzegła, rosyjskiej już nie.

Wielki i bardziej zasadniczy spór wybuchł już po dojściu bolszewików do władzy w październiku 1917 r. Róża ten etap rewolucji rosyjskiej powitała z entuzjazmem – który szybko wygasł, w miarę jak bolszewicy likwidowali w radzieckiej Rosji demokrację: rozpędzili Zgromadzenie Ustawodawcze po przegranych do niego wyborach, a potem zdelegalizowali wszystkie partie, również lewicowe, poza własną. Róża te antydemokratyczne decyzje zdecydowanie oprotestowała i weszła z przywódcami bolszewickimi w zasadniczy spór.

Jesienią 1918 r., jeszcze więziona przez rząd niemiecki w twierdzy wrocławskiej, napisała obszerny esej pod tytułem „O rewolucji rosyjskiej”. Dopracowała go pod koniec 1918 r., już na wolności, ale publikacji nie doczekała. Esaj ukazał się dopiero w 1922 r. wydrukowany z rękopisu przez Paula Leviego.

W nim swój sprzeciw wobec bolszewickich zamachów na demokrację umocniła i uzasadniła. Z pogardą odrzuciła argumenty Lenina i Trockiego, że ich rewolucja przywróciła wolności milionom, a odebrała tysiącom.

Pisała: *Wolność tylko dla zwolenników rządu, tylko dla członków jednej partii – choćby nawet byli oni nie wiedzieć jak liczni – to żadna wolność. I ogłosiła własną definicję wolności, najważniejszy cytat jej życia: Wolność jest zawsze wolnością dla inaczej myślących*

(*Freiheit ist immer Freiheit der Andersdenkenden*).

Dalej to uzasadniała: *Bez wyborów powszechnych, nieskrępowanej wolności prasy i zgromadzeń, swobodnej walki przekonań życie w każdej instytucji publicznej obumiera, staje się życiem pozornym, w którym jedynie biurokracja pozostaje elementem aktywnym. Życie publiczne pogrąży się stopniowo we śnie, kilka tuzinów przywódców partyjnych obdarzonych niewyczerpaną energią i bezgranicznym idealizmem dyryguje i rządzi, spośród nich w rzeczywistości kieruje tuzin głów, a elitę robotników zwoluje się od czasu do czasu na zgromadzenia, by oklaskiwała przemówienia przywódców, jednogłośnie aprobowwała przedstawione rezolucje, a więc w gruncie rzeczy rządy kliki – w istocie dyktatura, ale nie dyktatura proletariatu, lecz garści polityków, tzn. dyktatura w sensie burżuazyjnym, w sensie panowania jakobinów. Więcej jeszcze: takie stosunki muszą sprzyjać zdżyczeniu życia publicznego – zamachy, rozstrzelanie*.

Na Kremlu przyjęto ten tekst wrogo. Można zrozumieć nienawiść Stalina do Róży, gdy czytał jej proroczą wizję kierunku rozwoju państwa pod jego przewodem. Wykoncyrował sobie metodę ataku na Różę, ogłaszając *luksemburgizm* antymarksistowskim odchyleniem. Esaj „O rewolucji rosyjskiej” pozostał w ZSRR niedostępny aż do końca.

Solidarność socjalistycznego rzemiosła

W Polsce Ludowej też, choć po październiku 1956 r. grupa działaczy PZPR z Julianem Hochfeldem na czele występowała o jego wydanie. Hochfeld przygotował przekład i napisał wstęp. Niestety, Gomułka się sprzeciwił publikacji. Interweniowałem u niego, ale nie zmienił zdania – wyjaśniał, że ma ważniejsze sprawy sporne z ZSRR i dodatkowych nie chce.

Esaj ukazał się dopiero za rządów Jaruzelskiego w „Nowych Drogach”. Z podziwem i zazdrością obserwowałem, jak w NRD – państwie dużo mniej liberalnym od Polski popaździernikowej – w 50-lecie śmierci Róży, w IV tomie jej dzieł wszystkie, ukazała się „Zur russischen Revolution”; w całości bez żadnych ingerencji, jedynie z pewnym biadoleniem w przypisach. Mam ten tom w domu.

Róża Luksemburg była politykiem wielkiej odwagi. Nie była fatalistką pokorną wobec losu, ale często świadomie podejmowała jego wyzwanie. W 1919 r. mogła uniknąć śmierci. Poparła powstanie robotnicze w Berlinie, chociaż ani przez moment nie wierzyła w jego sukces. Poparła z solidarności. Mogła też uratować życie, wyjeżdżając z miasta, gdy już szalał terror Freikorpsu. Nie zrobiła tego. Wysłała mężnie na spotkanie swego losu. Dużo wcześniej pisała do przyjaciółki: *Nie ucieknę, narwet przed szubienicą, choćby dlatego, że uważam za konieczne przekonanie naszej partii, iż ofiara jest częścią naszego socjalistycznego rzemiosła*.

Byłą wielką radykalną socjalistką. Na Zjazdach II Międzynarodówki wyróżniał ją radykalizm poglądów i elegancja ubioru. Komunistką nie była; nie zdążyła i chyba nie chciała. W 1919 r. poprowadziła – jak pisze Walicki – robotników Berlina do heroicznej klęski i sama w niej poległa. Jeden oprawca ogłosił ją uderzeniem kolby, a drugi, już nieprzytomną, zastrzelił. Ciało wylowiono z kanału po mieściach. W Berlinie i Dreźnie oraz w kilku innych miastach niemieckich stoją jej posągi z wyrutą na cokołach definicją wolności. Otacza ją kult, na stulecie śmierci zebrano w pochodzie do jej grobu 100 tys. ludzi. Zachowany w Polsce jej zielenik został w 2009 r. wydany staraniem fundacji jej imienia przy niemieckim Bundestagu i Ogrodu Botanicznego UW

Jest idolką młodych na lewicy całej Europy Zachodniej, Ameryki Łacińskiej, znacznej części świata. Dzieli ten kult z kubańskim Argentyńczykiem Ernestem Che Guevarą. Jedynie z ulic ojczystego kraju, który kochała, mali źli ludzie ją usiłovali wyrugować. Na próżno – ona wróci.

ANDRZEJ WERBLAN

Kandydat w związku

O pomysłach na uleczenie głowy państwa „NIE” rozmawia z **Piotrem Szumlewiczem**, który ogłosił swój start w wyborach prezydenckich.


ILUSTRACJA: KRZYSZTOF OLEJNIK

– Czy jest pan wysoki, okazały i przystojny?
– Nie mnie to oceniać i nie wiem, czy to najważniejsze kryteria przy wyborze prezydenta.

– Dla Jarosława Kaczyńskiego tak, a to on przez ostatnie dziesięć lat wybierał nam głowę państwa.
– Błogosławieństwo Kaczyńskiego nie jest mi potrzebne.

– To może chociaż zakończy pan wojnę polsko-polską, bo to modne w tym sezonie?
– „Wojna polsko-polska” to pusty frazes, spór jest istotą demokracji. Ci, którzy najwięcej mówią o wojnie polsko-polskiej, najczęściej nie mają nic innego do zaoferowania.

– Nie uważa pan, że na lewicy nastąpiła klęska urodzaju w związku z wyborami prezydenckimi? Kandydatów więcej niż wyborców.
– Nie jestem kandydatem lewicy. Będę walczył o znacznie szersze poparcie.

– Oho, kolejny kandydat obywatelski.
– Nie stoi za mną żadna partia. Jestem liderem Związkowej Alternatywy, oddolnego ruchu obywatelskiego.

– Partie też tworzą obywatele.
– Ale z legitymacją partyjną. Wybory prezydenckie tym się różnią od parlamentarnych, że w nich rzeczywiście można być ponadpartyjnym.

– Partie mają tę przewagę, że posiadają struktury i mogą w mgnieniu oka zebrać 100 tys. podpisów koniecznych do zarejestrowania kandydata. A pan jak tego dokona?
– Nie mam struktur jak PiS czy PO, ale liczę na to, że uda mi się przekonać do siebie tyle środowisk, że zebranie podpisów nie będzie problemem. Do Związkowej Alternatywy należy ok. 12 tys. osób, związki w niej zrzeszone przychylnie odniosły się do mojego startu, więc nie zaczynam od zera.

– Wprawdzie nie przedstawia się pan jako kandydat lewicowy, ale jako taki jest pan postrzegany. W czym jest pan lepszy od potencjalnych kandydatów Nowej Lewicy, Razem, a może także Unii Pracy?
– Lewica Czarzastego i Biedronia oraz partia Razem bardzo mnie rozczarowały. Nowa Lewica jest w rządzie, a Razem poza nim, ale obydwie popierają chadecką, pisowską politykę społeczno-gospodarczą. A ona była zła i nie należy jej kontynuować, wbrew formule Czarzastego *nic, co jest dane, nie będzie zabrane*. Wiele rozwiązań PiS warto „zabrać” i zastąpić lepszymi. Fundamentalna różnica między mną a całą lewicą parlamentarną polega na tym, że ja postuluję radykalne ograniczenie programów opartych na świadczeniach pieniężnych: 800 plus, „babciowe” czy podarunki w gotówce dla różnych grup: górników, rolników, księży. Wszystko to należy zastąpić wysokiej jakości usługami publicznymi.

– A to się wyklucza? Albo socjał, albo usługi?
– Ludzie z Lewicy mówią, że można mieć to i to: zarówno świadczenia finansowe, jak i wysokiej jakości usługi publiczne. Moim zdaniem to nieoświadczalny populizm. W tej chwili wydajemy najwięcej w Europie na świadczenia pieniężne, a prawie najmniej na usługi publiczne. Jestem przeciwko takiemu rozdawnictwu.

– „Rozdawnictwo” to termin ze słownika liberałów, nie spodziewałem się że przemówi pan językiem Balcerowicza i Petru.
– Nie zgadzam się z tezą, że 800 plus rodziny wydają na wódkę i papierosy. Te pieniądze idą na to samo co wszystkie inne dochody gospodarstw

domowych. Ale polityka jest sztuką wyboru. Jako człowiek odpowiedzialny uważam, że pilniejszą potrzebą od programu Rodzina 800 plus są posiłki w szkołach czy rozpowszechnienie żłobków. Jak powiedziałem, jestem przeciwko chadeckiej polityce społecznej: uważam że podmiotem polityki państwa powinna być jednostka, a nie rodzina. Tymczasem nasza lewica, co mnie szokuje, uprawia „rodzincentryzm”, czego przykładem jest choćby renta wdowia – konserwatywny program popierany przez Ordo Iuris. Jestem przeciwko rencie wdowiej, bo uważam, że wszyscy seniorzy, niezależnie od tego, czy żyją sami, czy też w związkach sformalizowanych lub niesformalizowanych, powinni mieć od państwa takie samo wsparcie. Podobnie z „babciowym”, który ministra Dziemianowicz-Bąk uważa za swój sukces. Przecież ten program utrwala konserwatywny podział ról w społeczeństwie: babcia ma siedzieć w domu i bawić wnuczki. Program aktywizuje młode kobiety, które – co wynika z badań – i tak są aktywne zawodowo, a zamyka w domu kobiety 50+, których doświadczenie jest bezcenne na rynku pracy. Także opór przed zrównaniem wieku emerytalnego kobiet i mężczyzn to utrwalanie patriarchy: kobieta ma wcześniej przestać pracować, żeby opiekować się wnukami lub sędziwymi rodzicami. W nagrodę dostanie głodową emeryturę.

– Istnieje pogląd, że gdy wprowadza się kryteria dochodowe do programów społecznych, to w końcu one upadną, bo tracą poparcie tych, którzy z nich nie korzystają.
– Już dziś istnieją programy z kryterium dochodowym, zresztą 500 plus na początku też je miało. Jeśli chodzi o legitymizację społeczną świadczeń pieniężnych, to rzeczywiście nie jest ona zbyt silna. Zabieranie pieniędzy z podatków (niezbyt progresywnych) i oddawanie ich wszystkim jak leci to obieg pieniądza w kółko. Zadaniem państwa jest natomiast organizacja usług, których obywatele sami nie są w stanie sobie zorganizować.

– PiS chwali się, że 800 plus zlikwidowało w Polsce ubóstwo.
– W ciągu pierwszych lat ubóstwo się zmniejszyło, ale wtedy funkcjonowało kryterium dochodowe. Programy pieniężne ograniczają ubóstwo, gdy otrzymują je ludzie nim zagrożeni. Dawanie pieniędzy tym, którzy zarabiają dwie średnie krajowe, to nie jest walka z ubóstwem. 800 plus kosztuje blisko 70 mld zł. Zabierając z tego 40 mld zł, można na przykład zorganizować bardzo wysokiej jakości posiłki w szkołach. Dobra dieta w dzieciństwie wpływa pozytywnie na całe życie.

– Długie życie w Polsce to nie jest optymistyczna perspektywa.
– Ciągłe mówimy o dzieciach, a przecież jesteśmy społeczeństwem starzejącym się. Dlatego postuluję radykalny wzrost wydatków na politykę senioralną, w tym rozwój ośrodków rehabilitacyjno-rekreacyjnych, które są bardzo rozwinięte choćby w Szwecji. Nie ma tam bezdusznych „domów starców”, funkcjonują ośrodki, w których ludzie żyją, spotykają się, bawią.

– Ale w końcu nawet w Szwecji umierają, jak wszyscy. Skoro jesteśmy przy tak wesołych tematach: czy jako prezydent podpisałby pan ustawę legalizującą eutanazję?

– To bardzo drażliwy temat, ale uważam, że należy go podjąć. Polacy są w tej sprawie podzieleni i żaden polityk nie ma odwagi o tym rozmawiać. Prezydent nie rządzi dekretemi, natomiast gdyby pojawiła się odpowiednia, dobrze przygotowana inicjatywa ustawodawcza, tobym ją poparł.

– Wracając do świata żywych: troszczy się pan o urzędników, którzy przez większość społeczeństwa uważani są za darmozjadów.
– Moja kampania prezydencka będzie misyjna. Podkreślam, że

**jestem kandydatem związkowym, a przez tę związkowość rozu-
miem nie tylko przyna-
leżność do organizacji,
ale też szerzenie tej idei
w społeczeństwie. Za-
mierzam pokazywać na
przykładach i w szcze-
gółach, jak ważna
i ciężka jest praca osób
zatrudnionych w szeroko rozumianym sekto-
rze publicznym.**

Im bardziej napięta sytuacja geopolityczna, im więcej katastrof typu epidemia czy powódź, tym bardziej pracownicy sektora publicznego są ważni i potrzebni. Bezpieczeństwo to nie tylko inwestowanie w armię i sprzęt wojskowy.

– W powszechnym mniemaniu urzędnik tylko popija kawę i przytula gruby szmal za nienierobienie.
– To krzywdzący mit. W kluczowych instytucjach są tysiące wakatów i setki tysięcy nadgodzin. Dlatego pracownicy są przemęczeni. Natomiast śmieciowe płace kończą się odpływem specjalistów i obniżaniem jakości kadr. Państwo powinno wyznaczać wysokie standardy na rynku pracy, szczególnie w mniejszych miejscowościach, tymczasem niestety obecnie często je zaniża. Dlatego proponuję, by niższe wynagrodzenie w sektorze publicznym było o 20 proc. wyższe od ustawowej płacy minimalnej. Chciałbym też, aby cały sektor publiczny był objęty układami zbiorowymi, dzięki czemu w każdym miejscu byłaby ta sama płaca na tym samym stanowisku.

– A politycy zarabiają wystarczająco?
– Na tle najwyższych urzędników państwowych Europy Zachodniej płace w Polsce nie są zbyt wysokie. Z drugiej strony parlamentarzyści mają mnóstwo dziwnych przywilejów, z których chętnie, choć dyskretnie korzystają, czego oburzającym przykładem jest kombinatorstwo Myrchy i Gajewskiej. W Polsce wśród ministrów i wiceministrów przeważają ignoranci, w związku z czym cała odpowiedzialność spoczywa na dyrektorach i wicedyrektorach, a oni pracują zazwyczaj za marne pieniądze. System jest tak skonstruowany, że zniechęca do pracy dla kraju ludzi kompetentnych.

– Posłowie problemów z mieszkaniami nie mają, w przeciwieństwie do zwykłych Polaków. Jak widzi pan rozwiązanie kryzysu w mieszkalnictwie? Poparłby pan kredyt 0 proc. czy może postawił na budownictwo komunalne, co postuluje parlamentarna lewica?
– Kredyt 0 proc. to kiepski pomysł, ale nie jestem tak dogmatyczny w jego krytyce, jak Lewica czy Polska 2050. Ten program byłby do uratowania jako część pakietu na rzecz wzrostu dostępności mieszkań. Jeśli zaś chodzi o propozycje Lewicy, to na podobnym pomysle wyłożył się PiS. „Mieszkanie Plus” okazało się porażką nie tylko dlatego, że PiS-owski rząd był skrajnie nieudolny, ale przede wszystkim dlatego, że mieszkania komunalne i socjalne w Polsce to nie bułka z masłem. Nieruchomości należące do skarbu państwa są zazwyczaj w nieatrakcyjnych lokalizacjach: daleko od centrum, bez infrastruktury, komunikacji itd. A koszt wybudowania infrastruktury przewyższa koszt budowy mieszkań deweloperskich. Więc jeśli Lewica nie uszczegółowi tego pomysłu, to polegnie tak samo jak PiS. Podstawowym elementem walki z wykluczeniem mieszkaniowym powinien być wzrost pensji i zwiększenie stabilności zatrudnienia. No i warto podnieść podatek dla osób wynajmujących wiele mieszkań.

– Wróćmy do rzeczy, na które prezydent ma większy wpływ. Polityka zagraniczna – jak pan ją widzi?
– Z całą pewnością priorytet to zacieśnianie integracji z Unią Europejską. Pierwsza moja wizyta zagraniczna byłaby w Brukseli. Powinniśmy przestać być hamulcowym UE, a stanąć w jej awangardzie. Mam na myśli politykę klimatyczną, energetyczną, społeczną czy gospodarczą. Nie powinniśmy blokować takich inicjatyw jak Zielony Ład czy pakt migracyjny, lecz je tworzyć i rozwijać. Jako prezydent prounijny byłbym bardziej zdystansowany od Stanów Zjednoczonych. NATO to ważny sojusz, ale naszymi sąsiadami są kraje europejskie i to z nimi powinniśmy zaciskać więzi. W czasie mojej prezydentury zapewne pogorszyłyby się również stosunki z Watykanem.

– Nie lubi pan papieża?
– Jestem bardzo krytyczny wobec Kościoła katolickiego. Uważam że konkordat pozostaje w sprzeczności z Konstytucją RP, choćby z zapisami o bezstronności władz publicznych w sprawie przekonań religijnych. Kościół jest wcieleniem wielu patologii – działa prawie całkowicie niejawnie, nie płaci podatków, jest poza kontrolą państwa. Kler nie składa nawet sprawozdań finansowych, a na dodatek sponsorujemy księżom emerytury.

– Jaki jest pański stosunek do PRL? Za rywalą będzie pan miał Karola Nawrockiego, prezesa IPN – instytucji, która ma bardzo wyrazistą agendę.
– Jestem kandydatem zorientowanym na przyszłość, a nie na przeszłość. Natomiast uważam, że trudno o jednoznaczna ocenę Polski Ludowej. Jako lider bojowego związku zawodowego, który wielokrotnie był brutalnie atakowany przez przedstawicieli władzy, krytycznie oceniam brak demokracji i prześladowania opozycji w PRL. Z drugiej strony w Polsce Ludowej było sporo ciekawych rozwiązań, które w zmodyfikowanej wersji mogłyby sprawdzić się i dziś. Funkcjonowała choćby rozwinięta sieć opieki żłobkowej, także na terenach wiejskich. Posiłki w szkołach były bardziej rozpowszechnione niż obecnie. Istniała rozwinięta sieć bibliotek i punktów bibliotecznych. Ogródki działkowe to też dziecko tamtych czasów. Wreszcie prawo aborcyjne przez większość trwania PRL było bardziej liberalne niż w III RP. Ale polityka społeczna, wbrew pozorom, była pod wieloma względami konserwatywna, podobna do pisowskiej.

– Założmy, że zostaje pan prezydentem, instaluje się w Pałacu, wszystko najważniejsze już ogarnięte. Może pan usiąść i pomyśleć o czymś przyjemnym, na przykład komu wręczyć Order Orła Białego. Kogo pierwszego by pan udekorował?
– Nie lubię orderów. W Polsce mamy za wiele autorytetów, a za mało krytycznego myślenia. Politycy lubują się w akademiach ku czci, bohaterach i płomiennych przemówieniach. Marzy mi się mniej patosu, a więcej krytyki, także wobec własnej historii.

Rozmawiał **ŁUKASZ PIOTROWICZ**

Porozmawiajmy o kandydaturze Magdaleny Biejat. Obiektywnie.

Szanowni Towarzysze! Przestańcie nazywać senator Biejat *dziewczyną z sąsiedztwa*. Kobieta ma 42 lata i nosi sygnety rodowe. Nie jest ani dziewczyną, ani typową przedstawicielką ludu. I skończone wreszcie z tymi amerykańskimi zmiłami.

Nieszczęsna „dziewczyna z sąsiedztwa” to luźny przekład frazy *the girl next door* – fajnej dziewczyny z twojej ulicy: ładnej, ale nie pięknej, pociągającej, nie ołśniewającej, przystępnej, ale broń Boże nie łatwej.

Z dzielni czy z dobrego domu

To pewien żeński archetyp, który bardzo się sprawdza w roli protagonistki z amerykańskiej komedii romantycznej, ale ni cholery nie pasuje do Magdaleny Biejat, której najbardziej wyróżniającą cechą jest coś, co kiedyś nazywano kindersztubą. No i do tego jeszcze ten sygnety.

Żeby nie było, że się czepiam: też zdarza mi się nosić sygnety. Mój dziadek kazał go zrobić dla mojej babci w prezencie ślubnym w 1931 r.; nawet lewacy bywają sentymentalni i czasem wychodzi to snobistycznie. Z tym że akurat w przypadku Magdaleny Biejat to niekoniecznie minus.

Czego by nie mówić o kandydatce lewicy – ma ona jedną cechę, która działa na jej korzyść: gdyby została prezydentem RP, nie musielibyśmy się jej wstydić. Co wydaje się zmartwieniem wielu Polaków. Przedstawiając kandydaturę Biejat, Krzysztof Gawkowski uczynił złośliwą wycieczkę pod adresem Rafała Trzaskowskiego, nazywając go *chłopakiem z palacu* – ale akurat pochodzenie (żeby użyć peerelowskiego terminu) ta dwójka kandydatów ma bardzo podobne. Obydwójce wychowali się w warszawskich inteligentnych domach, obydwoje są starannie wykształceni, mają za sobą różne zagraniczne uczelnie, znają języki obce, i to te nieoczywiste; Biejat pracowała jako tłumaczka literatury hiszpańskojęzycznej.

Do tego jej elegancka uroda i dobre maniery zasadniczo wyróżniają ją na tle bazarowego standardu prowadzenia sporu w polskiej klasie politycznej. Jeśli jakiś archetyp pasuje do kandydatki lewicy, to nie jest to *dziewczyna z sąsiedztwa*, tylko *panienka z dobrego domu* – co jest skądinąd obrzydliwie klasistowskim określeniem i kategorycznie nie zalecałabym lewicy używania go. Więc może by tak – taka rewolucyjna myśl – w ogóle darować sobie ten infantylny wizerunkowy populizm?

Tylko że wtedy trzeba by się skupić na programie. A to dużo trudniejsze.

Na pohybel banksterom

I tak na przykład: pomysł prezydenckiej inicjatywy ustawodawczej w sprawie ograniczenia marży bankowej na kredytach hipotecznych jest – moim zdaniem – zajeby. Zwłaszcza okraszony informacją, iż *zyski banków w ostatnich czterech latach urosły sześciokrotnie*. I jeszcze kandydatka dorzuciła, że *dach nad głową każdej polskiej rodziny jest ważniejszy niż chciwość banków*. Nie sposób się nie zgodzić; i fakt, że taka ustawa nigdy nie przesłaby przez parlament, gdzie banki mają zdecydowanie zbyt wielu przyjaciół, nie ma w sumie żadnego znaczenia – zwłaszcza że Biejat nie zostanie prezydentem. Ale dobrze by było opracować projekt i pokazać go w kampanii – tylko, na miłość boga nieistniejącego, niech to zrobi ktoś, kto zna się na bankach i prawie finansowym, bo cały mainstreamowy komentarz rzuca się kopać dziury w tym projekcie.

Niestety – na tym antybankowym postulacie wyrazistość się skończyła. Większość też, które Magdalena Biejat wygłosiła na lewicowej konwencji, mogłoby paść na konwencji PiS, że nie wspomnę już o Platformie; nawet w przekazie Konfederacji nie wywołałyby większego zgrzytu.

Obiecuję walczyć o ludzi, o lepsze jutro dla nas wszystkich, o nasze wspólne ideały – mówiła Biejat chwilę po tym, jak otwierający konwencję wicepremier Gawkowski ogłosił: *Walczymy o Polskę, o przyszłość o dzieci i rodziny, o to żeby zawsze można było powiedzieć o Polsce: o wolnym i suwerennym państwie...*

Trudno to uznać za wyrażenie lewicowego przekazu. Zamiast o walce o rodzinę, w czym specjalizuje się kataprawa, wolałabym usłyszeć chociażby o walce o ludzi pracy; że nie wspomnę już o walce z wyzyskiem. Nowa Lewica podjęła – świadomą mam nadzieję – decyzję, że zamiast jakiegos przedstawiciela politycznego establishmentu z grona socjaldemokratów w stylu zachodnioeuropejskim

(takiej obelgi używaliśmy w PPS w latach 90.) wystawiła kobietę kojarzącą się z wyrazistą lewicą: społeczną, propracowniczą, prozwiazkową. Robienie z tej teraz centrystki jest nieco bez sensu.

Niemama nie zrozumie

Nie mam za to do konwencji żalu o to, że dość powściągliwie mówiono na niej o kwestiach kulturowych – za co dzień później ochrzaniła kandydatkę Monika Olejnik. Wiarogodność Magdaleny Biejat – i lewicy w ogóle – w kwestii aborcji, małżeństw jednopłciowych czy świeckości państwa jest na tyle duża, że nie musi podkreślać tego na każdym kroku. Dotychczasowe skupienie na tych elementach programu dawało wrażenie, że lewica interesuje się tylko gejami i aborcją; że kompletnie porzuciła kwestie społeczno-gospodarcze. Co, powiedzmy sobie szczerze, oznacza ofertę skierowaną do liberalnej wielkomięskiej inteligencji; tymczasem lewica powinna mówić (moim zdaniem: głównie) do ludzi pracy.

Mam natomiast problem osobistą woltą, którą Biejat wykonała, przechodząc z Razem do Nowej Lewicy (a tak naprawdę SLD) – z, niestety, dość oczywistym celem w postaci uzyskania nominacji w wyborach prezydenckich. Wszędzie, gdzie się da, opowiada o tym jej niedawny kolega Maciej Konieczny: że Magda zapewniła ich, że *w żadnych warunkach nie wyobraża sobie tego, żeby wystartować na prezydenta* – podczas gdy, jak się okazuje, nie wyobrażała sobie tylko wystartowania z ubogiej partii bez struktur.

Konieczny mówi o tym dość brutalnie: że Razem zostało wielokrotnie przez Magdę oklamane i utrata zaufania jest na tyle duża, że partia nie jest w stanie wyobrazić sobie poparcia dla niej – więc trudno ją uznać za wybór kompromisowy ze strony większej lewicy wobec mniejszej. Biejat, pytana przez Olejnik,

czy oszukała kolegów, odpowiedziała głosem pełnym bólu: *Nie rozumiem, jak można nazwać oszukiwaniem dzielenie się wątpliwościami, które się ma, i problemami rodzinnymi, które się ma...* Po czym wdała się w bardzo kobiecy monolog o tym, że decyzja nie była łatwa, bo jest mamą dwójki nadal małych dzieci, i że każda mama zrozumie, że nie była to łatwa decyzja...

Ale jednakowoż udało się ją podjąć, kiedy za propozycją stała formacja z dziesięcioma bankami rocznej subwencji i odziedziczonymi po SLD strukturami w każdym powiecie. Ale może czegoś nie rozumiem, bo nie jestem mamą.

Rznij karabinem w bruk ulicy

No i wreszcie jest kwestia bezkrytycznego entuzjazmu dla zbrojeń.

Magdalena Biejat ujęła to tak: *Wszyscy szysielśmy, że te wybory będą o bezpieczeństwie, o ochronie granic, o zbrojeniach. To prawda, tutaj nie ma między nami większych różnic. Po czym ogłosiła: Jestem gotowa podpisać porozumienie o tym, że wszyscy tego chcemy: utrzymania obecnego poziomu inwestycji w zbrojenia. Dlaczego? Bo*

to nie podlega żadnej dyskusji; wyłączmy temat obronności i zbrojeń z kampanii wyborczej.

Otóż, kurwa, nie wyłączajmy. 187 mld zł na zbrojenia musi podlegać dyskusji – jeżeli ktoś chce mienić się lewicą.

Nawet jeśli szczere przekonanie – lub polityczna strategia – dziś każe lewicy wznosić militarystyczne okrzyki, oczekiwałamby chociaż jednego zdania o tym, że kiedy wojna na Ukrainie się skończy (co, z przyczyn geopolitycznych, najpewniej nastąpi za chwilę), powrócimy do tematu. Bo fakt, że wydajemy na wojsko niewiele mniej niż na zdrowie – nie mieści się w lewicowym paradygmacie.

I owszem, sondaże wykazują duże poparcie dla podnoszenia wydatków na zbrojenia. Ostatni, z końca listopada, zrobiony przez IBRIS dla „Rzeczpospolitej”, wykazał, że za było 73 proc. – ale ponad 18 proc. ankietowanych wypowiedziało się przeciw. Z czego 16,7 proc. – zdecydowanie przeciw. Nie od rzeczy byłoby, gdyby lewica nawiązała dialog z tą częścią społeczeństwa, która nie uległa militarnemu szalowi.

A reszcie – warto by może uczciwie powiedzieć, czym zapłacimy za te czołgi i rakiety. Bo opowieść Magdaleny Biejat, że *stać nas na to wszystko*: i na budownictwo socjalne, i na służbę zdrowia, i na edukację, i na kosmiczne zbrojenia – jest po prostu nieprawdziwa. Tymczasem póki co nikt nie przedstawił żadnych wylczeń wykazujących, jakie obszary i tak już ledwo żywych usług społecznych ucierpią na naszym udziale w wyścigu zbrojeń. Lewica musi zadawać te pytania.

A tak swoją drogą: to militarne twardełstwo z jednej strony, ale radosny kobiecy śmiech z drugiej; klasyczny garnitur przełamany czerwonymi szpilkami – czy czegoś Wam nie przypomina?

Bo mnie akurat natrętnie przywodzi mi na myśl pojęcie *joyful warrior*.

Radosny wojownik – czy też raczej radosna wojowniczka – był to jeden z elementów budowania wizerunku Kamali Harris: *Moim codziennym wyzwaniem jest być radosnym wojownikiem w nadchodzącej bitwie*.

Dobra, Harris przegrała wybory – ale dostała 48,4 proc. głosów; zagłosowało na nią 75 mln ludzi. Dla kandydatki, której ostatnie notowania to 3,26 proc. – nie jest to może najgorszy wzór do naśladowania.

A w każdym razie – lepszy niż dziewczyna z sąsiedztwa.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Radosna wojowniczka



ILUSTR. PAVEŁ FERENC

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Pochwala wkurwiania ludzi

Ostatnie Pokolenie jak niewolnicy i sufrażystki

Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej, niech będzie pewien, że mu tę rękę władza odrąbie – te słowa premiera Józefa Cyrankiewicza, wypowiedziane po krwawo stłumionych protestach robotników w Poznaniu w 1956 r., przypominały mi się, gdy czytałam reakcje polityków i internautów po akcjach Ostatniego Pokolenia w stolicy.

Jako stara punkowa mam odruch wymiotny na instynkty stadne i nاپuszczanie ludzi na siebie. I wyznaję zasadę: grunt to bunt. Bunt to ruch, dynamizm, postęp. W ostatnich dekadach samochody, drogi czy parkingi stały się fetyszami w Polsce; bożkami, którym włodarze kraju i miast składają hołdy. Choć Stanisław Lem – skądinąd sam pirat drogowy ze słabością do niemiecckich aut – pisał, że kilka wieków temu nikt by się nie spodziewał, że ludzie będą pędzić z zawrotną prędkością w metalowych puszkach, ryzykując życiem swoich i innych.

W pełni solidaryzując się z celami Ostatniego Pokolenia, konkretne formy protestu uważam za bardzo umiarkowane, a postulaty – za skromne. Jako iż sama w nich nie uczestniczę, nie będę wzywała do większego radykalizmu.

Łatwo się krytykuje, siedząc w domu i stukając w klawiaturę, gdy inni narażają się na sankcje karne i znoszą nienawiść i agresję dużej części społeczeństwa.

Tym, co mnie uderza w tych wszystkich, nieraz boleśnie zenujących, analizach działań na rzecz klimatu, jest ich płytkość i historyczna amnezja – a nade wszystko prowincjonalizm. W społeczeństwie jest zakorzeniony

pewien konserwatyzm i inercja; gdyby niewolnicy, chłopci pańszczyźniani, sufrażystki czy społeczność LGBT sięgali wyłącznie po metody legalne i powszechnie akceptowane, grupy uciskane wciąż pozbawione byłyby głosu, spychane na margines i generalnie ogół by pragnął, aby były grzeczne i miłe, nie naruszały ładu i spokoju społecznego. Ale jak śpiewał wybitny artysta reggae Peter Tosh:

*Każdy woła o pokój,
Nikt nie domaga się sprawiedliwości.
Ja nie chcę pokoju,
Chcę równych praw i sprawiedliwości.*

Bo starożytni mieli rację – chcesz pokoju, zatroszcz się o sprawiedliwość.

Rewolty przeciw niewolnictwu i pańszczyźnie

Bunt niewolników i chłopów pańszczyźnianych (a pańszczyzna była formą niewolnictwa) wstrząsały Stanami Zjednoczonymi i Europą, w tym ziemiami polskimi w Pierwszej Rzeczypospolitej i na ziemiach polskich pod zaborami.

Około godziny drugiej nad ranem 22 sierpnia 1831 r. w South Hampton w stanie Wirginia Nat Turner i sześciu jego towarzyszy wtargnęło do domu swojego właściciela Josepha Trávisa, i zabiło pana, jego kochankę, dziecko i lokatorów. W ciągu 24 godzin przynajmniej 40 powstańców zabiło niewolników; zanim ją rozbito, brutalną śmierć poniosło 60 osób, z czego połowę stanowiły dzieci.

Historyk Stephen Howard Browne przytacza relację pewnej gazety: *Cale rodziny, ojciec, matka, córki, synowie, niemowlęta i dzieci w wieku szkolnym, zostały zarżnięte, rzucone na stosy i pozostawione na pożarcie świniom i psom lub zginiły na miejscu!* Pewna kobieta z przerażeniem wyznała lokalnemu dziennikarzowi, że strach przed powstaniem niewolników był jak *stłumiony wulkan – nie wiemy, kiedy i gdzie wybuchnie płomień, ale wiemy, że grozi nam śmierć w najbardziej przerażającej formie. Niektórzy umarli, inni popadli w obłąd ze strachu od czasu afery w South Hampton.*

Bunt Nata Turnera był największym i najbardziej konsekwentnym aktem oporu niewolników w dziejach Ameryki. Jak zaznacza Browne, *żadne inne powstanie nie kosztowało tylu istnień ludzkich, nie zaangażowało tak wielu aktywnych spiskowców ani nie wywołało takiego rozgłosu i powszechnej paniki.*

Kiedy zabici przez buntowników zamknęli oczy, wielu innym Amery-

kanom to oczy otworzyło – i kazało zastanowić się nad instytucją niewolnictwa, za którą niektórym przyszło zapłacić najwyższą cenę. Było jasne, że ta szacowna instytucja – przez 50 z 62 lat (od 1788 do 1850) amerykański prezydent posiadał niewolników, podobnie jak 18 z 31 sędziów Sądu Najwyższego – może dalej funkcjonować wyłącznie za cenę rozkręcającej się spirali przemocy.

Według Michała Rauszera wraz z odkryciem dla Europy Ameryki i późniejszym rozwojem atlantyckiego niewolnictwa, zniewoleniu podporządkowanych towarzyszyła refleksja, która owo zniewolenie wiązała z gorszym pochodzeniem rdzennej ludności. Zgodnie z Biblią mieszkańcy Ziemi wywodzą się od trzech synów Noego: Jafeta (jego potomkami byli Indoeuropejczycy), Sema (dał on początek ludom semickim) i Chama – protoplasty mieszkańców północnej Afryki.

Rauszer zauważa w „Bękartach pańszczyzny”: *Pochodzenie Chama związane z czarnym kolorem skóry i dość popularnym skojarzeniem czerni z jakąś skazą. Predyspozycje do bycia niewolnikiem wywodzono od wewnętrznej „czarności” potomków Chama, przekłętego i skazanego na niewolnictwo za sprzeciwianie się woli ojca. Co ciekawe, na terenach dzisiejszej Ukrainy polscy panowie określali biednych chłopów jako „czerni”, w Galicji zaś chłopów powszechnie nazywano „czerniawą”.*

Najsłynniejszym buntem chłopskim była rabacja galicyjska, na czele której stał Jakub Szela ze wsi Smarżowa (dziś powiat dębicki). Jak pisze Piotr Kaczyński w książce „Śladami Szeli czyli diabyły polskie”, *czyż można w takim razie rabację traktować jako zdradę interesów narodowych, jeśli wzniecającym je*

niewolnikom przez całe wieki odmawiano nie tylko miana rodaka, ale też często człowieka.

Rauszer podkreśla, że kobiety brały aktywny udział w buntach chłopskich, zajmując się choćby plądrowaniem domów, a nawet same rzucały się na żołnierzy pacyfikujących bunt, osłaniając rebeliantów własnymi ciałami (wykorzystywały przekonanie, że uderzenie kobiety uchylało godności mężczyzny).

I tu płynnie przechodzimy do ruchu emancypacji kobiet.

Sufrażystki kontra dżentelmeni

Najsłynniejsze przykłady radykalnych działań w zbożnym dziele emancypacji kobiet dostarcza Wielka Brytania z czasów, gdy nad Imperium nigdy nie zachodziło słońce. W Polsce sytuacja była bardziej skomplikowana, bo kwestie ściśle społeczne – jak klasowe czy dotyczące własnie praw kobiet – znajdowały się w cieniu walki z państwami zaborczymi; nieraz podporządkowano je narodowemu wyzwoleniu. No i wiele z rzeczy, o które gdzie indziej kobiety walczyły, w Polsce przyniosła historia. Najpierw odzyskanie niepodległości (prawa wyborcze), a nade wszystko PRL (praca dla kobiet, z czasem prawo do aborcji, świadczenia dla ciężarnych i matek).

Dopóki – niczym działacze ekologiczni przez lata – brytyjskie sufrażystki organizowały masowe akcje pisanie petycji i lobbingu, politycy mieli je głęboko w dupie. Ale założona w Manchesterze w 1903 r. Społeczno-Polityczna Unia Kobiet (WSPU) sięgnęła po inne narzędzia walki o prawa wyborcze kobiet. Jej członkinie wybijały okna w sklepach, niszczyły dzieła sztuki, zakłócały zgromadzenia, umieszczały kwas w skrzynkach na listy, a nawet podkładały bomby w niezamieszkałych budynkach.

W 1908 r. członkinie WSPU i Ligi Irlandzkich Sufrażystek jako pierwsze wykorzystały kamienie, wybijając szyby w domach, samochodach, gmachach rządowych i kościołach. Nie zabrakło też elementów żartobliwych – w 1909 r. Daisy Solomon i Elspeth McClellan, wysłały do siedziby premiera Herberta Henry’ego Asquitha na Downing Street siebie – bo bry-

tyjskie prawo pocztowe z katalogu przedmiotów do wysyłki nie wykluczało ludzi.

Jak ujmuje to Lucy Delap w książce „Feminizmy. Historia globalna”, w 1908 roku członkinie Ligi Wolności Kobiet (Women’s Freedom League), Helen Fox i urodzona w Australii

Muriel Matters, przykuły się do ozdobnej kraty oddzielającej galerię dla kobiet w parlamencie, gdzie mogły przebywać jako obserwatorki obrad, od głównej sali Izby Gmin. Aby je wyprowadzić, trzeba było zdemontować całą kratę – znienawidzony symbol wykluczenia politycznego kobiet.

Najradykalniejsze sufrażystki niszczyły dzieła sztuki, a nawet podkładały ogień. Wszystkich, którym nie podobało się zakłócanie mszy w trakcie Strajku Kobiet w Polsce, polecam uwagę Delep: *O ile plan wysadzenia w powietrze ikonicznej katedry Świętego Pawła w Londynie w 1913 roku został udaremniony, gdy pod tronem biskupa odkryto bombę, o tyle w domach ministrów, kościołach i budynkach użyteczności publicznej w Szkocji, Walii i Anglii doszło do wielu eksplozji.*

Gwoli ścisłości, za swoje bojowe nastawienie brytyjskie sufrażystki płaciły niekiedy najwyższą cenę. Podczas derbów w 1913 r. Emily Wilding Davison rzuciła się pod kopyta konia, na którym jechał król Jerzy V, i poniosła śmierć. Formą tortur było również przymusowe karmienie emancypanek, które strajkiem głodowym wyrażały sprzeciw wobec zatrzymania.

Kochaj mnie, jestem liberałem

Prawdę mówiąc, największą zawiadą na drodze do osiągnięcia postępowych celów zwykle nie są najbardziej tępi reakcyjniści, brutale i skurwysyny. Koniec końców, obiektywnie – a zatem niezależnie od własnej woli – odgrywają oni pozytywną rolę, pokazując bankructwo moralne starego porządku. Wytłumaczyć to można na prostym przykładzie: do zniesienia instytucji niewolnictwa nie przyczynili się „dobrzy” panowie, lecz ci najokrutniejsi, których zachowanie było jawnie amoralne i budzące sprzeciw.

Pastor Martin Luther King zawsze organizował protesty w miasteczkach Południa USA, słynących z brutalności policji, bo stawianie sprawy na ostrzu noża sprzyjało sprawie. Obrazki pałowanych rozchodziły się po kraju, a także poza jego granicami. Taki był cel i został on osiągnięty w sposób mistrzowski, przy „współdziałaniu” z rasistami i akcjach polegających na łamaniu prawa z pełną premedytacją.

Początki buntu społeczności LGBT sięgają zamieszek w Stonewall Inn w dzielnicy Green Village na Dolnym Manhattanie w czerwcu 1969 r. Kiedy burmistrz Nowego Jorku John Lindsay w walce o reelekcję chciał zaprezentować twardej wizerunek, nakazał policji dokonywać nalotów na knajpy gejowskie. Bywałców klubu Stonewall – często lewaków, czarnych i Latynosów – nalot dziewięćosobowej ekipy stróżów prawa tak podkurwił, że w stronę policjantów posypały się kamienie, butelki i śmieci. Następnego wieczoru w zamieszkał wzięło udział ok. 2 tys. osób, naprzeciwko których stanęło 400 funkcjonariuszy. Gnuśna Ameryka po raz pierwszy dowiedziała się, że geje, lesbijki i osoby transpłciowe nie chcą być traktowani jak wyrzutki, że w obronie swych praw mogą podnieść pięści.

Kiedy prezydent Warszawy i kandydat na prezydenta Polski Rafał Trzaskowski wypowiada się krytycznie o aktywistach klimatycznych, budzi to tylko moje rozbawienie. Co mam sądzić np. o takich jego słowach: *Uważam, że sami sobie szkodzą, dlatego że, abstrahując od tego, jakich idei bronią, wszelkiego rodzaju blokady po pierwsze szkodzą sprawie, a poza tym są niezgodne z prawem.*

Prawdę mówiąc, lepszy już jest konfederata Sławomir Mentzen, grzmiący 5 grudnia z sali sejmowej: *Wzywam do delegalizacji wariatów z Ostatniego Pokolenia.*

Jak mawiał Gandhi, najpierw się ignorują, później się z siebie śmieją, potem zwalczają, a na końcu wygrywasz.

ZUZANNA JURCZYŃSKA

Młodzi i lepcy

Czy Ostatnie Pokolenie naprawdę rozumie, na czym polega obywatelskie nieposłuszeństwo?

Młodzi aktywiści z Ostatniego Pokolenia (że niby na nich skończy się ludzkość) wzorem swoich koleżanek i kolegów z Zachodu dość intensywnie rozrabiają i wkurzają ludzi. A to poplamiają czerwoną farbą warszawską Syrenę, a to przylepią się do Wisłostrady i zrobią korek. Są uciążliwi, lecz dość skuteczni. Kolektyw ok. 50 działaczy dzięki swoim plenerowym akcjom uzyskał tyle, że mówi o nim cała Polska, łącznie z premierem, który grozi im palcem, jakkolwiek spotkać się z nimi nie zamierza. Dodatkowej sławy przysporzyła naszym bohaterom pewna dość groteskowa atencjuszka z okolic skrajnej prawicy, która obsikała z gaśnicy proszkowej lokal Ostatniego Pokolenia oraz młodego człowieka, który otworzył jej drzwi. Czekają na sprawę i wyrok, a tym samym kolejne okazje do robienia filmików. Piękny to przykład lewicowo-prawicowej współpracy dla wspólnego dobra budowania zasięgów.

Młodzi z Ostatniego Pokolenia wpisują się w nieco historyczną globalną kulturę współczesnej lewicy, wspartą na narcystycznym przekonaniu, że racje moralne i polityczne osób walczących o największe sprawy – do których należy ochrona klimatu – sprawiają, że protestującym wolno więcej, a nawet wszystko. W dodatku, wychowani w bezpieczeństwie, raczej nie biorą pod uwagę ewentualności, że mogłyby ich spotkać jakieś poważniejsze nieprzyjemności. Ewentualnie jakaś grzywna, na którą zrzucą się dobrzy ludzie?

Mało kogo interesują konkretne postulaty uciążliwych protestów, ale dla porządku trzeba o nich wspomnieć. Otóż Ostatnie Pokolenie domaga się *przekazania wszystkich środków z budowy dróg ekspresowych i autostrad na transport publiczny oraz wprowadzenia biletu za 50 złotych miesięcznie na transport regionalny w całym kraju*. Nie ma żadnej korelacji między przylepieniem się do jezdni przez młodych ludzi a wzrostem prawdopodobieństwa, że rząd przestanie budować drogi, lecz gdyby jakimś trafem faktycznie tak się stało, a dzięki dobrej ofercie transportu publicznego ludzie częściej jeździli koleją i autobusami, to zapewne emisja gazów cieplarnianych w Polsce nieco by spadła. Trudno to policzyć, ale z pewnością nie byłoby to wartości istotne na tle szkód ekologicznych wyrządzanych przez krajowe elektrownie węglowe, natomiast w skali globalnej ulga dla klimatu z powodu wstrzymania w Polsce budowy autostrad byłaby zapewne niemierzalnie mała.

Tak naprawdę nie chodzi jednak o te konkretne postulaty, lecz o wywołanie społecznego alarmu – przebudzenie Polaków, aby wreszcie dostrzegli zagrożenia związane z globalnym ociepleniem i zaczęli popierać politykę zerowisymyśności. I takie właśnie należy zadać pytanie w kontekście uciążliwych protestów Ostatniego Pokolenia: czy ten cel uswięca te właśnie środki?

Sprawa jest śliska, by nie powiedzieć lepka. Bo z pewnością cel, jakim jest podniesienie społecznej świadomości zagrożeń ekologicznych, jest bardzo ważny i szczytny. Tym samym jego osiągnięcie może usprawiedliwiać stosowanie środków radykalnych, a może i nadzwyczajnych. Gdy chcemy, żeby ludzie się opamiętali, to musimy nimi wstrząsnąć. Tylko czy blokowanie ulic jest właściwym środkiem wstrząsowym?

Ostatnie Pokolenie kieruje się zapewne przykładem Greta Thunberg, która od lat krzyczy na polityków. Niestety, bilans jej działalności wydaje się ostatecznie negatywny.

Sprawa klimatu za-miast budzić zatroskanie opinii publicznej, budzi nieprzyjemne skojarzenia z lewicowym radykalizmem i ulicznym awanturnictwem.

Ostatnie Pokolenie powinno zdawać sobie sprawę, że nie tędy droga. A może właśnie zdaje sobie z tego sprawę, lecz tak naprawdę ma zupełnie inne cele? Na przykład taki, żeby wyrazić swój gniew i frustrację? Jeśli tak, to swoim warcholstwem cel osiągnęło. Nie może jednak liczyć na to, że ludzie, którym uniemożliwili przejazd, będą od dziś bardziej wrażliwi na sprawę klimatu. Skutek protestu może być wręcz odwrotny.

Z pewnością Ostatnie Pokolenie narusza przepisy regulujące kwestie związane z urządzeniem demonstracji w przestrzeni publicznej, na czele z prawem o zgromadzeniach. Jeśli ktoś waży się na coś podobnego, w przekonaniu, że sprawa, o którą walczy, tego wymaga, to znaczy, że decyduje się na tzw. nieposłuszeństwo obywatelskie. Polega ono na świadomym łamaniu prawa i braniu na siebie związanej z tym odpowiedzialności – w imię wyższych racji.

I są tu dwa przypadki. Gdy nieposłuszeństwo obywatelskie polega na łamaniu praw pozbawionych autorytetu, gdyż jawnie sprzecznym z konstytucją i prawami człowieka – każdy sąd skazujący osoby protestujące dopuszcza się udziału w represjach. Drugi przypadek to nielegalne formy protestu w krajach demokratycznych i praworządnych. Wtedy nieposłuszeństwo obywatelskie karane jest w majestacie prawa – i słusznie. I na tym właśnie polega działalność Ostatniego Pokolenia: jego przedstawiciele łamią prawo w imię wyższych racji, świadomi, że muszą zapłacić za to cenę, jaką jest kara zasądzona przez stojący na straży porządku prawnego sąd.

Tylko czy naprawdę są tego świadomi? To się okaże dopiero w sądzie. Jeśli staną przed sędzią i powiedzą: „złamaliśmy prawo, świadomi, że musimy zostać ukarani”, to wówczas niezależnie od tego, czy ich protest miał sens i był moralnie uzasadniony, czy nie, zachowują się honorowo. Jeśli jednak powiedzą: „działaliśmy w imię wyższych celów i w ramach obywatelskiego nieposłuszeństwa, co sąd powinien uszanować i odstąpić od wymierzenia nam kary” – to honor przysię jak mydlana bańka.

JAN HARTMAN

Zmian klimatycznych nie da się aresztować

Moje pokolenie

Blokowanie dróg według Europejskiego Trybunału Praw Człowieka narusza prawa innych obywateli i może być traktowane jako przestępstwo – napisał 11 grudnia Donald Tusk, komentując niedawne protesty aktywistów Ostatniego Pokolenia. O czym nie raczył wspomnieć, to fakt, że dwa dni wcześniej ci sami działacze stawili się pod gmachem KPRM gotowi nawiązać dialog. Nikt jednak do nich nie wyszedł.

W trakcie kampanii wyborczej uśmiechnięta koalicja obiecywała, że serio zajmie się problemem zmian klimatycznych. Teraz słowo „klimat” przestało padać z ust premiera. To powód, dla którego aktywiści podejmują coraz głośniejsze próby zwrócenia uwagi na nadchodzącą zagładę klimatyczną, od oblewania pomnika Syrenki farbą, po ostatnie blokady na Wisłostradzie w Warszawie.

Ostatnie Pokolenie – które wychodzi na ulicę walczyć z wykluczeniem komunikacyjnym – to, wbrew medialnej narracji, nie jest znudzona złota młodzież. To wrażliwi na problemy społeczne aktywiści. Ich główny postulat to przeniesienie środków z dalszej budowy autostrad na rozbudowę komunikacji publicznej, docierającej wszędzie. Wykluczenie komunikacyjne dotyczy co piątej miejscowości w Polsce. To problem, o którym jeszcze nie tak dawno – w maju 2023 – mówił sam Tusk: *W Kartuzach, stolicy Kaszub, moje serce bije mi szybciej. Marszałek Mieczysław Struk przypomina mi cały czas, że jest problem wykluczenia komunikacyjnego...* Po roku przy władzy lider Koalicji Obywatelskiej widzi ruch obywatelski, który przypomina mu o Kartuzach, jako wroga. Nazywanie aktywistów przestępcami wyraźnie nie przyspiesza rytmu serca pana premiera.

Każda władza się nam podlizuje. Ale woła nas pouczać niż wysłuchać.

Wszystkie partie – od KO do Konfederacji – odżegnują się od polityki klimatycznej, tłumacząc to zbyt wysokimi kosztami. I być może mają rację, ale to racja krótkoterminowa. Racja starszego pokolenia. My, urodzeni po 2000 r., dożyjemy skutków lekceważenia kryzysu klimatycznego.

Każdego roku w samej Europie 175 tys. osób umiera z powodu upałów. A będzie tylko gorzej: według obecnych obliczeń naukowców, za pół wieku 3,5 mld ludzi będzie żyć w klimacie podobnym do tego na Saharze.

Z obozu władzy słychać już pomruki o możliwym karaniu protestujących. *Uważam, że czas abyśmy wprowadzili nowy typ przestępstwa przeciwko bezpieczeństwu komunikacyjnemu. Art. 180 b kk „Kto wbrew przepisom prawa blokuje przejazd drogą publiczną z powodów ideologicznych, politycznych, społecznych lub światopoglądowych, podlega karze pozbawienia wolności do lat 5”* – ogłosił Roman Giertych na platformie X. Jest to oczywiście hipokryzja. Za kadencji PiS-u opozycja z chęcią sięgała po różne metody nieposłuszeństwa obywatelskiego, spotykając się z entuzjastycznym przyjęciem za strony Tuska i jego środowiska. Protest Ostatniego Pokolenia jest wyraźnie pokojowy. Jego przedstawiciele blokują drogi szybkiego ruchu, bo z tym związane są ich postulaty. Co mają robić? Protestować w lesie? Problemów, o których nagłośnień walczy Ostatnie Pokolenie, nie da się zaaresztować – trzeba je rozwiązywać.

A ich żądania nie są księżycowe. Postulaty proponowane przez aktywistów są do wykonania od ręki. Podają nie tylko rozwiązania, ale też źródło ich finansowania. Wystarczy, że zamiast łądownać miliardy złotych w drogi i autostrady, państwo przeznaczy te pieniądze na objęcie transportem publicznym wykluczonej komunikacyjnie prowincji. Domagają się wprowadzenia dotowanego, taniego biletu sieciowego, który pozwoli całej Polsce na korzystanie z kolei.

Gdy narzekamy na ich metody, warto przyjrzeć się innym formom protestu klimatycznego. Młodzieżowy Strajk Klimatyczny działa na terenie Polski od pięciu lat i choć zdobył w tym czasie aprobatę elit politycznych, ciężko powiedzieć, by cokolwiek wywalczył. Okazuje się, że bycie grzecznym nic nie daje. Jedyne, co działa, to protesty zaburzające rytm życia codziennego; to strajkujący nauczyciele, rolnicy blokujący drogi i Ostatnie Pokolenie stojące na Wisłostradzie.

Zaskakujący jest brak poparcia proklamacyjnej lewicy parlamentarnej. Spotykamy się tutaj z wymownym milczeniem. Partia, która od lat krzyczy o zagładzie środowiskowej, w obliczu akcji chowa głowę w piasek. Upominający się o najuboższych i o czyste powietrze zostali na placu boju sami. Mimo gróźb, mimo wariatki z gaśnicą i powszechnych przekleństw wypowiedzianych pod ich adresem, walczą twarde o to, byśmy mieli jakąś przyszłość. Kiedyś będą im dziękować.

Ci, którzy uzyskali mandat posła, nie walczą o nic, bo swój cel już osiągnęli – ciepłe posadki w sejmie.

KAROLINA IKONOWICZ

MÓZDZEK ROKU

Wybrany na dwie prezydenckie kadencje Andrzej Duda zasłużył na tytuł Mózdzka Roku, ponieważ brakiem rozumu wykazywał się w mijającym roku często i gęsto. Ostatnio, gdy bez mrugnienia okiem chwalił Bogdana Święczkowskiego wybranego bezprawnie (przez sędziów dublerów) na prezesa Trybunału Konstytucyjnego.

Dudzie ręka nie zadrżała, gdy podpisywał nominację przybocznego Ziobry, mimo że prezes TK powinien być przyzwyczajony, obiektywny i apolityczny, a jaki Święczkowski jest, każdy widzi i się za niego wstydzi.

Ale tak naprawdę nadajemy Dudzie tytuł Mózdzka Roku, bo to ostatnia taka okazja. Za rok na szczęście znów będzie nikim albo najwyżej członkiem Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Ministerstwo z planem w dupie

Poprawa opieki okołoporodowej à la Leszczyna

Z okazji końca roku i kampanii prezydenckiej kancelaria premiera ustami minister zdrowia Izabeli Leszczyny postanowiła pochwalić się sukcesami w sferze opieki zdrowotnej. Z racji smutnego faktu, iż w ochronie zdrowia więcej zmieniło się na gorsze niż lepsze, pani minister skupiła się na poprawie okołowaginalnych aspektów medycyny z państwowego garnuszka. Z utrzymania w nad wyraz optymistycznym tonie spotu można się dowiedzieć, że Polska ma najlepszy w Europie program leczenia niepłodności metodą in vitro, oferuje badania prenatalne dla wszystkich kobiet bez względu na wiek, a także znieczulenia okołoporodowe dla każdej pacjentki. Jedno kłamstwo na trzy punkty to nie najgorszy wynik jak na polityka, problem w tym, że nawet spod tego ministerialnego tynku przebija bardzo brzydki grzyb.

Wszystkie trzy kwestie, którymi chwali się Leszczyna, wchodzi w skład szerszego programu dla kobiet „Świadoma, bezpieczna ja”, który wystartował w styczniu bieżącego roku i po blisko 12 miesiącach jakoś się nie rozpedził. Pakiet powstał na podstawie postulatów środowisk kobiecych i miał sprawić, że w uśmiechniętej Polsce rodaczki wreszcie będą się cieszyć pełnią respektowania ich pacjenczkich praw, a w bonusie zyskają opiekę medyczną z prawdziwego zdarzenia. *To projekt, który ma sprawić, że kobiety w każdym wieku będą się czuły bezpiecznie w kwestii ochrony zdrowia* – perorowała Leszczyna. Po blisko roku od wprowadzenia pakietu powiedzieć, że zaproponowanych rozwiązań nie udało się zrealizować, byłoby potężnym niedoszacowaniem. Do programu in vitro nie można się docześcić, zaowocował siedmioma tysiącami



ciąż. Na plus można też zaliczyć pełny dostęp do badań prenatalnych. Im dalej jednak w ginekologiczny las, tym ciemniej. Opowiadanie banialuków o dostępności znieczuleń okołoporodowych dla każdej kobiety ma krótkie nogi. Owszem, NFZ zwiększył wycenę bezpłatnego znieczulenia na okoliczność wypychania płodu z macicy, niestety, gównem z tego wyszło. Odsetek porodów naturalnych ze znieczuleniem zewnątrzoponowym w skali kraju wynosi w granicach 17 proc. Dla porównania – średnia europejska to ok. 40 proc. Dla „poprawy” sytuacji resort Leszczyny zastosował wobec szpitali metodę kija i marchewki: w maju w życie weszło rozporządzenie, na mocy którego placówki, które zwiększyły odsetek znieczulonych porodów siłami natury mogły liczyć nawet na 21-procentową premię finansową. Te, które dostępne

ści nie zwiększyły, za poród otrzymały mniej pieniędzy z NFZ. Zdawałoby się, że minister Leszczyna jako polonistka będzie dysponować bogatszą wyobraźnią, a jednak... Porodówki nie odmawiają znieczulenia rodzącym przez złośliwość czy z oszczędności anestezjologów. W szpitalach zwyczajnie brakuje anestezjologów, a brakuje ich z powodu braku pieniędzy. Anestezjolodzy nie mogą narzekać na wynagrodzenie i brak możliwości zatrudnienia w sektorze prywatnym, dla którego państwowe lecznice nie są żadną konkurencją. Ograniczanie finansowania szpitalom, które nie mają kasy na wykrojenie etatu czy kontraktu dla większej liczby anestezjologów, jest jak gaszenie pożaru benzyną.

Generalnie niesiona z dumą na sztandarze przez Leszczynę poprawa opieki okołoporodowej pozostawia –

delikatnie mówiąc – wiele do życzenia. Z ankiety Fundacji Rodzić po Ludzku wynika, że 54 proc. badanych kobiet doświadczyło przemocy w szpitalach, a 18 proc. kobiet opisuje poród jako bardzo negatywne doświadczenie. Tylko w tym roku specjalistki z fundacji udzieliły ponad 300 konsultacji online i przeprowadziły 26 interwencji w szpitalach. Za pośrednictwem umieszczonego na stronie fundacji generatora skarg zgłoszono ponad 700 (!) naruszeń.

Dla tych posiadaczek macic, których wizja ciąży nie cieszy, w zasadzie również niewiele się zmieniło. Jednym z flagowych pomysłów minister zdrowia było wprowadzenie antykoncepcji awaryjnej bez recepty. Po licznych sejmowych pierepalkach i wecie Dudy Leszczyna zrobiła piruet i finalnie w ramach rozporządzenia tabletkę „dzień po” można uzyskać w ramach recepty farmaceutycznej w sieci aptek, które podpisały umowę z NFZ. Niestety, ostatecznie tylko 10 proc. aptek bierze udział w projekcie. Głębi na pigułkę szczęścia szybkiej, chociaż drożej można skołować w receptomacie. Trudno to nazwać sukcesem w bitwie światopoglądowej.

W jednym z wywiadów minister Izabela Leszczyna podkreśliła, że nie ma planów ograniczania prawa do skorzystania z klauzuli sumienia przez lekarzy. A szkoda, bo przenoszenie przez lekarzy swoich przekonań religijnych na grunt pracy zawodowej utrudnia kobietom korzystanie z podstawowych świadczeń medycznych. Jak wynika z przygotowanego przez portal kliniki.pl raportu „Polka u ginekologa 2024”, co trzecia młoda kobieta unika badań ginekologicznych głównie z obawy przed natrafieniem na „katolekara”, który z różańcem w łapie i pal-

cem w jej piżdzie będzie komentował życiowe wybory czy wygląd.

Na ten moment nie ma systemowego sposobu, by dowiedzieć się o tym, czy dany lekarz stosuje szeroko pojętą klauzulę sumienia. Było wiele pomysłów na stworzenie rejestru medyków, którzy się nią zaścianiają, ale nic z nich nie wyszło. O skali problemu może świadczyć fakt, że

młode kobiety, aby ostrzec się przed kościelnymi ginekologami, na portalu Znanylekarz.pl zostawiają przy ich nazwiskach hasło „rzuły”, czyli papieski (od „rzułtej mordy”, jak nazywa się powszechnie w internecie papkę Jana Pawła II).

Na niechęć damskiej części populacji do badań podwozia wpływają także długie kolejki do lekarzy oraz wysokie ceny w sektorze prywatnym, z którego trzeba skorzystać, gdy w państwowym nie idzie się dopchać. Tyle względem ministerialnego zwiększania diagnostyki i dostępu do leczenia.

Szafeństwem byłoby oczekiwać, że w najbardziej zrujnowanym sektorze publicznym, jakim jest ochrona zdrowia, w ogóle, a co dopiero rychło, dojdzie do rewolucji, dlatego nie ma się co obrażać. Jeśli jednak minister zdrowia próbuje zaszczepić rozpędzoną grubymi nićmi szytą propagandą, zamiast posypać głowę popiołem, sprawy musiały przybrać naprawdę kiepski kierunek. Najgorsza deklaracja Leszczyny w spocie padła na koniec: *A to dopiero rok. Jeszcze wiele przed nami!*

IDALIA DUBICKA

Powołajmy komisję, która zbada, dlaczego pieniędzy znowu nie ma i nie będzie

To wszystko przez PiS. PiS = drożyna głośiły plakaty opozycji przed wyborami 15 października. Więc zapytany o drożynę wicepremier Krzysztof Gawkowski najpierw długo tłumaczył, dlaczego nie zna ceny kostki masła. A potem udowodnił, że rzeczywistość nie zna – bo twierdził, że masło podrożało o jakieś grosze. Następnie płynnie przeszedł do narracji o tym, że przemysł się rozpędza. To trochę jak w PRL-u. Masło drożeje, ale za to taniej lokomotywy.

Ale w końcu słuszną linię ma nasza partia, skoro w mediach można przeczytać, że jesteśmy jednym z najbogatszych państw świata i znakomicie się tu żyje. Problem jednak w tym, że ludność o tym dobrobycie i że, jak mówi Gawkowski, wszystkich stać na zakupy – nie została należycie poinformowana. I ponad połowa niedźwicznych Polaków nie ocenia naszego rządu dobrze. A Adrian Zandberg twierdzi wręcz, że komisjami śledczymi człowiek się nie naje.

Liberałowie już dawno mówili, że inflacja wynika z rozdawnictwa. Dlatego zabierają się za zaciskanie pasa ludowi. Oni sami biorą z półki i nie patrzą na ceny, bo ich stać. Za to kryterium dochodowe do pomocy społecznej na przyszły rok – 1010 zł – jest tak skrojone, aby nikomu się żadna pomoc społeczna nie należała.

Jak pisze prowadzona przez Ryszarda Szarfenberga Europejska Sieć Przeciwdziałania Ubóstwu (EAPN) *proponowana podwyżka kryteriów dochodowych w pomocy społecznej jest za niska! Już w 2025 dla kilku typów rodzin kryteria będą niższe niż granica ubóstwa*

100 porażek Tuska

skrajnego, a w 2027 r. – dla wszystkich. CAŁKOWITA PORAZKA obecnego systemu weryfikacji kryteriów!!!

Z raportu EAPN wynika, że prawie połowa ludzi pracy w Polsce – 46 proc. – doświadcza ubóstwa. I żeby temu zaradzić, jest pomoc społeczna – ale nie zaradzi, bo nowe kryterium wiąże jej ręce. Tak w Polsce liberalnej oszczędza się na biednych.

Podczas inauguracji kampanii prezydenckiej Rafała Trzaskowskiego Donald Tusk oświadczył, że był skłonny skasować program 800+, ale obdarzony wielką wrażliwością społeczną prezydent Warszawy go przekonał, by tego nie robił. Przecierałem oczy i uszy ze zdumienia, zastanawiając się, czy to ten sam wrażliwiec, który twierdził, że nie ma sensu budować mieszkań komunalnych, bo problem mieszkaniowy znakomicie rozwiązuje wolny rynek? Ten sam i rzeczywiście, nie buduje. To w rządzonej przez Trzaskowskiego Warszawie burmistrz z PO tłumaczył kobiecie na wózku inwalidzkim, że nie udzieli jej pomocy mieszkaniowej, choć jest ona bezdomna, bo w urzędach nie ma miejsca na empatię.

Wszystko zaczęło się 13 grudnia. Naprawdę nie mogli zacząć w jakiejś innej dacie? Jak bardzo trzeba być pewnym siebie – by nie rzec arogancym – by nie zwrócić uwagi na taki

„drobiazg” jak data wybuchu stanu wojennego?

Kiedy nie ruszyli 800+ i 13. emerytury, myślałem, że liberałowie przeprosili się z rozumem. Ale 14. już ruszyli.

W przestrzeni publicznej trwa wciąż debata o tym, jak ulżyć najlepiej uposażonej grupie społecznej w Polsce – przedsiębiorcom – zmniejszając np. składkę zdrowotną. Jak zabrać, zamiast dołożyć pieniądze do systemu ochrony zdrowia. Nawet pieniądze z KPO na ten cel nie pójdą. Środki na zdrowie mają pójść na ocieplenie budynków.

Po wielkich bojach o to, żeby nie przeznaczać 21 mld zł z budżetu na futurwane deweloperów w ramach tzw. kredytu 0 proc., tylko na budownictwo komunalne, okazało się, że dopłacanie zamożnym do kredytu hipotecznego nie przeszło, jednak na budownictwo na każdą kieszeń przewidziano zaledwie 1 mld zł. Czyli mniej niż za PiS-u. Ciekawe gdzie trafiły te miliardy.

Razem chciało, żeby to był jeden procent w budżecie – czyli 30 mld zł – ale to za bardzo wkurzyłoby deweloperów i banki, które żyją z drogich mieszkań i kredytów. Masowe budownictwo mieszkaniowe, umożliwiające młodym



ludziom wyprowadzenie się od rodziców i zakładanie rodzin doprowadziłoby do dramatycznego spadku cen mieszkań. Biznes na to nie pozwolił – a wiadomo, że teraz rządzi biznes.

Ani PiS wcześniej, ani teraz Koalicja zawiązana 13 grudnia, nie są winni inflacji. To światowe ceny energii i korporacje handlowe, które bezczelnie podnoszą swe marże zysku korzystając z powszechnej świadomości, że przecież jest inflacja.

Sęk w tym jednak, że płace są zbyt niskie w stosunku do cen. Stąd zjawisko pracujących biednych. Sytuację mogłaby poprawić odpowiednia legislacja. Ale na wzmocnienie Inspekcji Pracy rząd się nie zgodził. Aż tu nagle okazało się, że część miliardów z KPO zostanie wstrzymana, jeśli

rząd nie ozusuje umów śmieciowych. Ale tego rząd biznesu biznesowi nie zrobi, więc minister Pełczyńska-Nałęcz jest skłonna zgodzić się w zamian na nadanie Inspekcji Pracy realnych uprawnień – w nadziei, że to Komisję Europejską zadowoli i da pieniądze. Z tego targu wyraźnie widać, że Unia chce coś dać pracownikom, a polski rząd stara się dać jak najmniej.

W służbie zdrowia brakuje środków na planowane zabiegi czy programy lekowe, więc ludzie mru na uleczalne choroby. Umierają, bo rząd skąpi funduszy na ich leczenie.

Ciągle słyszymy od rządu dwa sprzeczne komunikaty. Że jest zająbieście i że na nic nie ma pieniędzy. Ludzie wierzą to drugie, a w to pierwsze to już nie. Chociaż usługowe media wciąż donoszą, że *Polacy inwestują w nieruchomościach na Costa del Sol, nad Morzem Śródziemnym*. Z badań jednak wynika, że nie wszyscy Polacy.

Za PiS-u, mimo że kradli, kasa była na transfer socjalny, na nowe inwestycje, na tarcze osłaniające przed covidem, wojną, inflacją, cenami energii. A od 13 grudnia jak nożem uciął, kasy nie ma na nic, z wyjątkiem armat.

Przydałaby się zatem jeszcze jedna komisja, która ustali, gdzie się podziała ta kasa, która była i jej nie ma.

O tym, jak bardzo nie się czym chwalić, świadczy fakt, że spot reklamowy na rocznicę swoich rządów Tuska zaczyna się od 800+. O ile opamiętam, nie było tego programu wśród 100 konkretnych.

PIOTR IKONOWICZ

Gambit króla życia

Historia bez happy endu. A może...?

Kiedy go odwiedzam w Szpitalu Psychiatrycznym w Choroszczy, nie przypomina tamtego pewnego siebie Jarka. Dziennikarza w telewizji, potem właściciela firmy. Patrzy w oczy, kiedy rozmawiamy. Ale nie da się ukryć zepsutych zębów oraz nadmiernej otyłości. Najbardziej jednak wzrok przyciągają drżące ręce...

Już prawie cztery lata tutaj. I nie wiadomo kiedy i czy w ogóle stąd wyjdzie. Jest wiosna 2023 r.

– Te ręce to od leków – mówi – Nabawiłem się na tym oddziale.

To Oddział III Psychiatrii Sądowej o Podstawowym Zabezpieczeniu. Wcześniej był oddział o silniejszym, więziennym rygorze.

– Trafił tu po tym, co nawywił – mówi Iwona, jego była żona. Dwa lata wcześniej sąd orzekł rozwód, bez jego winy, o co wnioskowała, ale co było trudne do uzyskania ze względu na chorobę – rozpoznaną schizofrenię.

Duch Puszczy

Studia prawnicze Jarek skończył w Lublinie. Tam też w regionalnym oddziale TVP rozpoczął karierę jako młody, zdolny reporter.

Kiedy poznał Iwonę, ona zupełnie nie wykazywała nim – ani żadnym innym facetem – zainteresowania. Była na etapie wewnętrznego rozliczania się z długiego, ostatecznie zerwanego związku. Ale Jarek to twardy zawodnik. Nie odpuścił, walczył i próbował zdobyć ją na różne romantyczne sposoby. To jej zaimpionoowało i wreszcie się poddała. Do dzisiaj uważa zawziętość za jego mocną stronę. Wtedy jeszcze inteligencję, fantazję i urok osobisty.

Pierwsze 15 lat małżeństwa wspomina dobrze. Był dobry, troskliwy, zaradny. Zdejmował z niej masę obowiązków, co doceniła później, gdy przyszło jej samodzielnie prowadzić sprawy domowe, majątkowe i inne. Odzywał się do niej z prawdziwą miłością...

Kiedy nazwał ją oficjalnym imieniem Iwona, a zdarzało się to może raz w roku, sprawiało jej to fizyczny ból. Był dobrym ojcem, a ze względu na hojność, rozrywkowy tryb życia i bezpośredni styl bycia, lubiany przez kolegów w pracy, a koleżanki – wszędzie. Jako członek Krajowego Klubu Reportażu wielokrotnie organizował na Podlasiu sesje wyjazdowe dla dziennikarzy. Korzystał wtedy z dobrych relacji z szefami lokalnych firm, szczególnie z branży mleczarskiej oraz leśnikami. Była okazja zaprezentować Siemiatyche, Kruszyńniany, Sokółkę, Białowieżę i mnóstwo innych atrakcji tego wyjątkowego, mało w Polsce znanego regionu. Klubowi koledzy wspominają wizytę na plantacji polskiego króla borówki amerykańskiej, który przy okazji pomógł wyprawić Jarkowi huczne urodziny. Wielu próbowało wtedy prawdziwej żubrówki i zbratało się z klasycznym, pędzonym nocami sławnym tutejszym trunkiem – Duchem Puszczy...

– Lampka, że coś się z nim dzieje dziwnego, zapaliła mi się w głowie, kiedy zaczął atakować w bezpardonowy, wręcz prostacki sposób uwielbianego przez nas wszystkich człowieka o gołęmb sercu, prezesa KKR Marka Rymusko – mówi klubowa koleżanka Danuta Kloc. Głośna była w środowisku sprawa, jak balujący dziennikarze z regionalnej telewizji

– wśród nich Jarosław oczywiście – wyrzucili przez okno telewizor.

Do historii Krajowego Klubu Reportażu przeszło jego filozoficzne powiedzenie: *To nieprawda, że na Podlasiu pojęcie czasu nie istnieje. Ono istnieje, ale jest kompletnie do niczego niepotrzebne!*

Szkoło powiększające

Trudno dociec, czy zwolnił się z TVP sam, czy jego zwolnili. Na podstawie kontaktów z firmami mleczarskimi Podlasia założył swoją firmę. Wszedł jakby z polecenia – Iwona pracowała jako radca prawny w Spółdzielni Mleczarskiej Mlekovita.

Jarek okazał się bardzo obrotowy w rozwoju serów, masła i śmietany po Śląsku, Warszawie, Poznaniu i Trójmieście. Szło jak woda. Firma rozwijała się prężnie, choć szczęścia do pracowników nie miał. A może i oni do niego. Był nierówny, niesłowny, wymagający i... czepliwy.

– W pewnym momencie firma dysponowała 11 samochodami! – mówi Iwona. Jest przekonana, że łatwość biznesowa i jej skala, niedospane hotelowe noce oraz hulanki przyczyniły się do rozwoju choroby. Jarek zawsze miał ze sobą butelkę wódki. Albo dwie. Do tego wschodnie przysmaki – z Kowna suszone świńskie uszka i salcesony. A że znajomych i chętnych do wypitki znajdował wszędzie, zawsze była okazja do szalonej zabawy.

Kiedy wracał do domu, był jak na haju – tak rozdrażniony. Wszystko go denerwowało: żona, dzieci, nawet ukochany pies. Zaczął być brutalny i wulgarny, pokazywał twarz macho, cara i władcy.

Najpierw, licząc, że to go zmityguje, mówiła ogólnie o odejściu. Kiedy nie przyniosło skutku – o rozejściu. Jako prawnicy oboje doskonale zdawali sobie sprawę, co to może oznaczać.

Z początku nie traktował tego poważnie. Ale kiedy w jego rękach znalazł się pozew rozwodowy, wpadł... no właśnie... w co? W panikę? Szał? Wtedy ujawniła się i nasiliła jego schizofrenia.

Napady

Iwona tamten czas pamięta doskonale, ale wspomina z najwyższą niechęcią. Czego on nie potrafił zrobić! Przyszedł nago do jej sześcia, szefa kancelarii prawnej. I pokazał goły tyłek...

Kiedys miała gości, były dzieci w domu. Patrolowi policji, który na sąsiedniej ulicy „suszył” przekraczających szybkość kierowców, zgłosił, że pod takim to a takim adresem jest napad. Podjechały cztery radiowozy, antyterroryści przewrócili dom do góry nogami. A Jarek stał naprzeciwko, filmował z telefonu i relacjonował na żywo do sieci przeszkanie domu pani mecenas.

Po pijaku dzwonił do dzieci. Córce potrafił wysyłać wulgarne filmy i wyzywać ją od najgorszych. Zmyślał, że jej chłopak jest gangsterem i kochankiem Iwony. Dorosła córka bała się wychodzić z domu, nie chciała o ojcu rozmawiać, ani nawet słuchać.

Syna, który mu pomagał w biznesie, traktował jak najgorzej, przeklinał i przy każdej okazji nim pomiatał. Zrobił go najpierw kierowcą i tragarzem, potem pełnomocnikiem. Nie raz i nie dwa przyszło mu świecić oczami za ojca, samemu mając na głowie studia, pracę magisterską, a potem egzamin na aplikację radcowską. Chłopak chciał



ILUSTRACJA: MARCIN BONDAROWICZ

ojcu pomagać – z miłości i poczucia lojalności.

A Jarek fruwał: po całej Polsce, a i za granicę go nosiło – zwłaszcza na Litwę i Białoruś. Najpierw mieszkał w zwykłych motelach. Potem w Mariottach i Sheratonach. Pieniądze się go nie trzymały. Kupował mnóstwo zbędnych przedmiotów. Ogołocił konto żony, która ze swoich dochodów usiłowała spłacać jego zadłużenia.

Na ostro

Z początkiem 2019 r. zaczęło się na ostro. Wcześniej był typem niezrównoważonego birbanta. Iwonie przyszło mocno przeżyć niejedną zdradę. Przełaził morze łez. Wytrzymywała przede wszystkim ze względu na dzieci.

A już od połowy roku nie było dnia bez nowej wiadomości. A to ukradł komuś samochód, to nie zapłacił na stacjach za paliwo. Wyprowadził się z domu. Wynajmowane mieszkanie mu wypowiedzieli, bo je zadłużył. Przez kilka miesięcy nękał Justynę B., recepcjonistkę, którą poznał w jednym z hoteli. Wysyłał jej wiele razy przez Messengera wiadomości o grożącym jej niebezpieczeństwie. Nachodził ją wielokrotnie w pracy.

W czerwcu miał obchodzić 50. urodziny. Wynajął lokal w Kruszyńnianach, zakupił niezwykle ilości jedzenia: od ryb po mięsowa i ciasta. W barku przy komunikacji stało chyba ze 100 butelek rozmaitych alkoholi. Przybył też DJ z pomocnikiem i furą sprzętu. Został wynajęty z najwyższej półki – to znany z Teleexpressu i popularny prezenter muzyczny Marek Sierocki.

Żona i syn wszystko przygotowali na tip top. Tyle że dotarło dwóch gości – jeden, dziennikarz z Wrocławia, a drugi z urzędu w Białymstoku. Pozostałych – a miało być ze 100 osób – Jarek w ostatniej chwili, nikomu nic nie mówiąc, odwołał. Sam też nie przyjechał. Koledze z Wrocławia napisał, że sprawy służbowe zatrzymały go w Katowicach...

Tomasz Podbielski, dyrektor handlowy w Spółdzielni Mleczarskiej Mlekovita, głównego dostawcy firmy Jarka, podczas sądowej rozprawy o zapłatę:

– Starał się kupować produkty w okazjonalnych cenach. Zawsze kontaktował się z kierownikami hurtowni i omawiali, co chce kupić. Przyjeżdżał osobiście lub wskazywał swojego pracownika do odbioru. Osobiście każdą transakcję i ilość negocjował z moimi kierownikami. Przerwy wynikały z powodu wstrzymania przez nas dostaw. Trzeba było dzwonić, ponaglać. Był takie sytuacje, że przywoził gotówkę do hurtowni po to, żeby otrzymać kolejną dostawę. W ostatnich trzech miesi-

cach kupował od nas więcej niż zazwyczaj. Zdarzało się, że syn przyjeżdżał na hurtownię i przywoził pieniądze za zaległe faktury.

– Ja osobiście spotkałem się z nim trzy, cztery razy i też nic takiego nie zauważyłem. Był osobą pewną siebie. Odnosiło się wrażenie, że firma dobrze prosperuje – powie w sądzie Tomasz Podbielski.

Kierownik sprzedaży także rozmawiał z nim dwa, trzy razy w tygodniu i nie zgłaszał dziwnych zachowań odbiegających od przyjętych standardów.

Współpraca zakończy się pod koniec sierpnia 2019 r. Dział handlowy przekazuje sprawę do działu windykacji.

Pastor nie poręczy

Iwona – jeszcze wtedy żona Jarka – prosiła, żeby Mlekovita zajęła samochody z firmy męża i w ten sposób pokryła zobowiązania. Niestety, nie spotkało się to z odpowiednią reakcją i teraz musi dochodzić swoich należności w sądzie. Mlekovita wygrała w pierwszej instancji w Sądzie Rejonowym w Łomży, mimo niezbitych dowodów, że – jak napisano w niejednej opinii – w chwili czynów Jarosław N. miał z powodu choroby psychicznej całkowicie zmienioną zdolność do rozpoznania znaczenia czynu i pokierowania swoim postępowaniem.

Kilka razy – między innymi za jazdę po pijaku – zatrzymują go policja.

Ze względu na agresywne i niezborne intelektualnie zachowanie odwożą go na badanie na oddział psychiatryczny. Po kilku dniach wychodzi na własne żądanie. Kilka tygodni później zgłasza się sam. – Niedobrze się czuję – mówi i prosi o pomoc. Po kilku dniach ucieka.

Zaczynają się gromadzić i osaczać go sprawy karne. W grudniu 2020 r. sąd je umarza, a cztery miesiące później zamienia areszt na pobyt w zamkniętym Szpitalu Psychiatrycznym w Choroszczy. Co pół roku na podstawie opinii biegłych jest on przedłużany, metodą niemal kopiuj-wklej: *Istnieje wysokie prawdopodobieństwo popełnienia przez*

JN czynu zabronionego o znacznej szkodliwości społecznej.

W treści opinii można przeczytać, że pacjent *ujawniał objawy psychopatyczne – tworzył błędne fałszywe sądy urojenio- we, w świecie których żył i funkcjonował. Bódcze dopływające z otoczenia interpretowane przez niego w sposób nieprawidłowy, otaczający świat jest odbierany jako wrogi, zagrażający.*

2023 r.: *Stan psychiczny JN nie jest w pełni stabilny. Nadal obecne u niego objawy psychopatyczne – urojenia – co prawda o mniejszym zabarwieniu emocjonalnym. Cechuje go całkowity brak wglądu i krytycyzmu w stosunku do choroby psychicznej oraz zachowań z tym związanych.*

Kolejne wnioski o zwolnienie są odrzucane. Lekarze boją się – i przychyliła się do tego sąd – że pacjent na wolności zaprzestanie leczenia, nie będzie brał leków, co może doprowadzić *do działań niezgodnych z prawem.* Pastor ze związku religijnego, który chce wziąć za niego odpowiedzialność, nie przekonuje Choroszczy.

40 złotych

Jarek nie może liczyć na opiekę i nadzór nad leczeniem ze strony rodziny. Poza murami psychiatrika życie idzie swoim torem. Iwona wychodzi ponownie za mąż. Dzieci kończą studia, zaczynają własną drogę zawodową i osobistą, poza tym zwyczajnie się boją. Brat odcina się całkowicie. Matka nie żyje. Ojciec stary i schorowany.

– Jestem bez szans – mówi mi Jarek tamtej wiosny. Powtarza to przy każdym kontakcie telefonicznym. Ma wrażenie, które mimo głębokiego wewnętrznego sprzeciwu w duchu podzielam, że zostanie w psychiatryku do końca życia...

We wrześniu następuje niespodziewany zwrot akcji. Jarek zostaje przeniesiony do DPS-u w Choroszczy. Informuje mnie o tym przez telefon i dodaje szelmowsko: – Ale właśnie stamtąd uciekłem...

Ręce mi opadają. Namawiam go, by wrócił dobrowolnie, bo i tak zostanie złapany i trafi z powrotem do psychiatrika. Kategorycznie odmawia. Nie wiem, gdzie przebywa. Później dowiem się, że dotarł do Lublina i zamieszkał u ojca. Jednak ten, były milicjant, nie wytrzymuje ciśnienia. Jest zdruzgotany stanem syna. Po kilku dniach zadzwoni po policję. Ta odwozi Jarka do DPS-u. Kara: zakaz przepustek do końca listopada.

Ale życie, czy raczej śmierć, pisze swój scenariusz. Dwa tygodnie później Jarek pod opieką syna jedzie na pogrzeb ojca. Spotyka się z bratem, byłą żoną Iwoną, nawet przybywają teściowie. Do sielan-ki daleko. Ale pojawia się nieć porozumienia. Z Iwoną zaczynają rozmawiać jak przyjaciele i rodzice dzieci. W niej nie ma zawziętości, on jest pogodzony z losem. Brat obiecuje pomoc, lecz ma na niego za duży wpływ bratowa.

Pobyt w DPS kosztuje ponad siedem tysięcy. Jarek ma renty 3040 zł. Tysiąc zabiera komornik, dwa DPS na pobyt i leki – po dwa mają dopłacać dzieci.

– Zostaje mi na życie 40 złotych – mówi. Ale jest prawie wolnym człowiekiem. Ma na stałe telefon, tablet. Może wychodzić poza DPS. Każdego dnia, od 9 do 17.

– Do alkoholu mnie nie ciągnie. Raz spróbowałem, ale mi nie poszedł. Odzwyczaiłem się widać przez te cztery i pół roku.

Chciałby jako spadek dostać mieszkanie po ojcu, bo brat swoje od rodziców już ma.

Pytam wprost o marzenia. – Wyjść stąd, zamieszkać z kimś, mieć normalny dom. To wszystko.

Problem w tym, że nawet jeśli uzyska mieszkanie, nie ma nikogo, kto mu pomoże w powrocie do życia społecznego, będzie codziennie pilnował brania leków i zwróci uwagę, gdyby podstępna choroba znowu na ostro zagroziła w miarę normalnemu funkcjonowaniu.

W marcu syn zawiezie go na konsultację do neurologa. Może coś się da zrobić z tym drżeniem rąk. Chyba ono na tle nerwowym, bo kiedy śpi, jest dużo spokojniej.

W naszej kulturze życie prowadzi liniowo i bezpośrednio do śmierci. W kulturze Wschodu zatacza ono spiralny krąg i wraca do punktu wyjścia: narodzin.

– Mnie tam jest wszystko jedno – mówi Jarek, a głos ma już nie taki napięty. I na twarzy pojawia się uśmiech. Błady jak grudniowe słońce.

WOJCIECH GŁUCH

PS Myślę o Tobie, Filip...



ILUSTRACJA: PAVEŁ FERENC

MÓZDZEK TYGODNIA

Elektryk generuje napięcia

Naganne zachowania ministra nauki z lewicy

Na przełomie lat 80. i 90. Big Cyc śpiewał o elektryku ze Stoczni Gdańskiej, który *mówił, byśmy mu zaufali*. Odpowiedzią punkowców na wezwanie Lecha Wałęsy był refren piosenki: *Nie wierzę elektrykom!* Były to prorocze słowa. Po roku rządów magistra elektryka po Politechnice Szczecińskiej – ministra nauki z lewicy – społeczność akademicka, pracownicy nauki i szkolnictwa wyższego, też stracili resztki zaufania.

Minister elektryk Dariusz Wiczorek, niebędący akademikiem i wykazujący wcześniej zainteresowanie turystyką i gospodarką morską, miał, mimo wszystko, spory kredyt zaufania – który w sposób wręcz szokujący roztrwonił. Najlepiej ilustruje to niedawna afera szczecińska, wskazująca, że Wiczorek, perkusista w zespole heavymetalowym Vinders, wali w podległych sobie ludzi jak w bęben. Skoro sam honorowo nie chce ustąpić, powinien zostać wywalony w trybie natychmiastowym, czego najświeższe powody wyluszcze poniżej.

Akademicki układ szczeciński

Jak wiadomo, rodzina to jest siła, a lewica ceni politykę prorodzinną, co przejęła od prawicy. Jak ujawniła Wirtualna Polska, żona ministra nauki mgr Beata Mikołajewska-Wiczorek została dyrektorką Centrum Edukacji Medialnej i Interaktywności Uniwersytetu Szczecińskiego (US). Mogło to się stać wyłącznie dzięki temu, że uczelnia właśnie zmieniła regulamin i zlikwidowała obowiązujący od niedawna wymóg posiadania przez dyrektora jednostki stopnia doktora.

US wyjaśniał w oficjalnym oświadczeniu, w sposób skądinąd mało przekonujący, iż *okazało się, że zadania dydaktyczne*

i badawcze oraz radio akademickie stanowią jedynie ułamek aktywności Centrum, które przygotowuje głównie materiały telewizyjne, transmisje, streaming i klipy filmowe dla wszystkich jednostek Uczelni. Z tego względu nie stopień naukowy ma podstawowe znaczenie, ale doświadczenie zawodowe w zakresie kierowania zespołem przygotowującym materiały multimedialne.

W styczniu br. żona rektora US, prof. Waldemara Tarczyńskiego, dr hab. Małgorzata Tarczyńska-Łuniewska, została powołana przez ministra Wiczorka na członka Komisji Ewaluacji Nauki, która zajmuje się ewaluacją czasopism czy troską o jakość kształcenia w szkołach doktorskich. A dzięki decyzji elektryka-metalowca rektor Tarczyński dostał podwyżkę o prawie jedną czwartą i teraz przynosi do domu skromne 53,5 tys. zł brutto, czyli jakieś 31 tys. zł na rękę.

Ale rektor to człowiek czynu i praca na rzecz uczelni to dla niego stanowczo za mało. Kierując Uniwersytetem, wyraźnie nie przepracowuje się, skoro ma czas być przewodniczącym rady nadzorczej spółki Fundusz Pomerania, którego udziałowcami są m.in. Bank Gospodarstwa Krajowego, samorząd województwa zachodniopomorskiego i Polska Fundacja Przedsiębiorczości. Celem spółki – czytamy na jej stronie internetowej – jest wspieranie firm z terenu Pomorza Zachodniego (mikro, małych i średnich) oraz podmiotów gotowych do inwestowania w tym regionie.

Okazuje się, że prof. Tarczyński to tęga głowa – zyskał dla US dziesiątki milionów dofinansowań w ramach resortowego konkursu. Podli ludzie – a takich nie brakuje – przypominają, że za czasów ministra Przemysława Czarnka to jego macecznik, Lublin, mógł liczyć na szczególne łaski. I dodają małodusznie, że to, co robi Wiczorek, to kontynuacja kumoterskich praktyk.

Oczywiście panowie na stanowiskach i ich szacowne małżonki twierdzą wspólnie, że wszystko jest w najlepszym porządku: nie tylko nie złamano prawa, ale nawet dobrych obyczajów.

Inna rzecz, że kolejny postępek Wiczorka sugeruje, że mógł on postępować nielegalnie, a zdaniem wielu – z pewnością nagannie etycznie.

Minister kabel

Na dzielni ci, co strzelają z ucha – czyli donoszą – nie mają najlepszej opinii. Jak kiedyś mówił Bohdan Smoleń w skeczu Kabaretu Tę o kimś, kto miał za długi język: *jeszcze ci go kiedyś do asfaltu przybiją*.

Kiedy Gabriela Fostiak – 71-letnia weteranka administracji Uniwersytetu i szefowa uczelnianego związku zawodowego – wniosła do ministra Wiczorka o audyt w tej szkole wyższej i przyjrzenie się temu, co się na niej dzieje, poprosiła go o zachowanie anonimowości. Krytykując placówkę, w której uwiła sobie gniazdko żona ministra, kobieta wyraźnie nie wykazała się instynktem samozachowawczym.

Świat akademicki ma to do siebie, że konflikty zamyka się tu pod dywan i prawie każdy boi się przełożonych, na czele z szefem wszystkich szefów, czyli rektorem – który w wyniku zmian ministra Jarosława Gowina ma na uczelni władzę większą od cara w Rosji. Jednak, zdaniem wielu, na US nie dzieje się najlepiej. Jakkolwiek uczelnia rośnie – dzięki pieniądзом przekazany przez Wiczorka – w siłę, to jednak ludziom nie żyje się dostatniej. Z wyjątkiem tych, którzy są przy żłobie.

Wkurwieni są pracownicy naukowo-dydaktyczni. Jak mi tłumaczył kolega z tamtejszej politologii, pieniądze za nadgodziny nie tylko wpłynęły dużo później niż zwykle, ale stawki zmalały, co w dobie inflacji samo w sobie jest zenujące. Studenci są wkurwieni, bo zmniejszyły się – o paręset złotych miesięcznie – stawki stypendiów. Pracownicy administracyjni zaś są wkurwieni od lat, bo punktem odniesienia ich wypłat jest pensja minimalna.

Resort przesłał pismo związkowe władzom US. Prrektorka uczelni na wrześniowym posiedzeniu Senatu US



Rys. MIROSLAW HAJNOS

zaatakowała Fostiak, mówiąc, iż *przewodniczącą jednego ze związków zawodowych skierowała donos do ministra*. Na US związkiem kieruje tylko jedna kobieta, więc każdy wiedział, o kogo idzie.

Rektor US skierował zawiadomienie do prokuratury o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez przewodniczącą związku: wywieranie wpływu na

czynności urzędowe przez stosowanie gróźb bezprawnych.

Minister Wiczorek – ach, ta heavy-metalowa bezczelność! – stwierdził, że pismo było sygnowane przez przewodniczącą związku zawodowego, a zatem nie jest ona sygnalistką. No i ustawa o sygnalistach jeszcze nie weszła w życie. Dodał, że postąpił prozwiązkowo, bo nie zamiótł sprawy pod dywan.

Ja sądzę, że szef resortu nauki i szkolnictwa wyższego powinien zostać zmieciony z planszy. Aczkolwiek przynajmniej, że nie weszła jeszcze w życie ustawa nakazująca zachowywać się przyzwoicie...

KAT

Piechą do nieba

Jezus to najlepsza partia w Polsce

Może i Polska nie jest jedna, ale za to panem jest Jezus. To nie filozoficzne rozważania schizofrenika, ale karta najnowszej historii. Wykreślone z rejestru partii politycznych ugrupowanie Polska Jest Jedna zmartwychwstało jako Ruch Społeczny Panem Jest Jezus. Skrót – PJJ – się zgadza.

Bozia w buzi

Nikt tak pięknie nie wyciera sobie gęby świętościami jak polscy katolicy. Łukasz Mejza jako rycearz Jana Pawła II, ksiądz „Salceson” jako męczennik i cała plejada im podobnych z ustami pełnymi frazesów o Bogu i oczywiście załatwia swoje ciemne interesy pod kościelnym szyldem.

Prezydent Siemianowic Śląskich Rafał Piech poszedł dalej niż wszyscy i zaprzął samego Zbawiciela do partyjnej napierdalanki. Żeby zachować skrót „PJJ”, nie zawahał się użyć imienia Pana Boga swego nadaremno.

Śmiało może konkurować z europosłanką Konfederacji Ewą Zajączkowską-Hernik. Ta wschodząca gwiazda prawicy zapytana przez red. Bogdana Rymanowskiego o zdjęcie, na którym pozowała w bluzie z ośmioma gwiazdkami, odpowiedziała, że *gdzieś tam trafiła się okazja, żeby ją kupić*. Docieśnięta argumentem: *wszyscy wiemy, co się kryje pod tymi ośmioma gwiazdkami*, odparowała z ledwo skrywanym śmiechem, że chodzi o hasło... *Jezus Pan*. Fota z „jebać PiS” na bluzie pochodziła z czasów, kiedy Konfa nie lizała Kaczyńskiemu tyłka tak otwarcie. W nowej sytuacji europosłanka musiała połączyć język i wzywać na pomoc Jezusa. Piech zaś posłużył się Jezusem, aby zachować ciągłość marki politycznej. Oni się najwyżej wypowiadają, a nas się ściga po sądach za obrazę uczuć religijnych.

Rafał Piech nawet jak na polskie warunki jest wyjątkowo ostantacyjnym dewotem. Jako prezydent Siemianowic Śląskich odstawiał takie szopki, że rozślawił swoje miasto na całą Polskę – sławą, o której jego mieszkańcy raczej nie marzyli. Piech to człowiek zawierzenia. W 2015 r. w Niepokalanowie zawierzył miasto Niepokalanemu Sercu Maryi.

Każde miasto ma osobę odpowiedzialną. W Siemianowicach Śląskich taką osobą jest Maryja. Ona otrzymała klucze

TAKI Z CIEBIE DEBIL, ŻE NAWET PREZYDENTEM MOGŁBYŚ ZOSTAĆ !!!



Rys. MIROSLAW HAJNOS

do miasta, jest jego menedżerem i je prowadzi – mówił wówczas władarz, należący do grona Wojowników Maryi.

Serce Maryi okazało się za mało potężne na Siemianowice, więc w 2022 r. Piech poprawił operację kardiologiczną, dodając do niebiańskich powierników Miłosierdzie Boże. Drugie spoufalenie z zaświatami odbyło się w Krakowie-Łagiewnikach – tam, gdzie Kurski brał swój drugi ślub, o którym twierdzi, że był pierwszy i jedyny.

Antyszczep piastowy

Polska Jest Jedna wybiła się na pandemię. W ekipie Piecha znaleźli się: prawicowy publicysta Jan Pospieszalski, wcześniej związana z PiS i Konfederacją Anna Siarkowska czy małżeństwo Elbanowskich od akcji „Ratuj Maluchy” (która nie miała nic wspólnego z motoryzacją).

Ta kolorowa (ale nie tęczowa!) zbieranina ambicje miała wielkie, ale na antyszczepionkowym zająbie nie zajęchali daleko – a dziś o koronawirusie już prawie nikt nie pamięta.

Hasło PJJ to „Bóg, Rodzina, Ojczyzna” – co skądinąd może oznaczać, że są to ludzie bez honoru. W wyborach parlamentarnych w 2023 r. partia uzyskała 1,63 proc. głosów. Mówią, że *bez Boga ani do proga* – i rzeczywiście, formacja Piecha z Bogiem w sercu i na ustach, nawet do progu (wyborczego) się nie zbliżyła. Dla sprawiedliwości należy dodać, że sam Rafał Piech od 2014 r. rządzi Siemianowicami z wysokim poparciem lokalnej społeczności, która wybacza mu dewocję, doceniając talent samorządowy.

Nie żarło, nie żarło i zdechło. Powodem wykreślenia PJJ z państwowego rejestru były, jak na religijnych patriotów przystało,

Projektowane wydatki państwa każą się zastanowić, czy leci z nami pilot.

Gdy w projekcie ustawy budżetowej na 2025 r. wyskoczyło, że wydatki na Fundusz Kościelny mają wynieść 275,7 mln zł – czyli wzrosną o prawie 20 mln zł – Ministerstwo Finansów jeło tłumaczyć, że wielomiesięczna praca dziesiątków urzędników resortu jest na niby, bo do projektu budżetu i tak wpisuje się tyle, ile winszują sobie poszczególni jego beneficjenci. O wszystkim zaś decydują posłowie. Tyle że posłowie nie wczytują się w tabelki i cyferki, tylko czepiają się kilku instytucji, o których lubią pisać media. Dlatego 99 proc. tego, co znajdzie się w projekcie budżetu, zostaje bez zmian przegłosowane. Pokazując, że ministrowie, posłowie i urzędnicy, zamiast myśleć, stosują zasadę kopiuj-wklej.

Kwiatki do kozucha

Dzięki lekturze projektu budżetu nie tylko można dowiedzieć się, że istnieje Parlament Studentów Rzeczypospolitej Polskiej, ale nawet i to, że wydamy nań w przyszłym roku 843 tys. zł. Taki parlament to nie byle co. Jego członkowie piszą o sobie, że są liderami środowiska studenckiego w Polsce. Tworzą grupę ekspertów, której celem jest *diagnozowanie najbardziej palących problemów zarówno środowiska studenckiego, jak i całego młodego pokolenia*. Jego celem jest zaś *mówienie o tych problemach wspólnym głosem*.

Krajowa Reprezentacja Doktorantów nie dość, że istnieje, to jest *ogólnopolskim przedstawicielem i wyrazicielem woli środowiska doktorantów*. A poza tym ma prawo do *wyrażania opinii i przedstawiania wniosków w sprawach dotyczących ogółu doktorantów, w tym do opiniowania aktów normatywnych dotyczących doktorantów*. Na doktorantów zrzucamy się skromną kwotą 700 tys. zł.

Żeby nie było, że budżet dopieszcza tylko jagogłowych... Dotuje też Polski Klub Wyścigów Konnych. A to dlatego, że klub jest państwową osobą prawną i nawet ma napisaną dla siebie ustawę. Wiele wyjaśnia też to, że nadzór nad jego działalnością pełni minister właściwy do spraw rolnictwa.

PKWK ustala warunki rozgrywania gonitw i kontroluje ich przestrzeganie, działa na rzecz rozwoju i promocji wyścigów konnych, doskonalenia hodowli koni, udziela zezwoleń na organizowanie wyścigów konnych i kierowanie stajnią wyścigową oraz wydaje licencje dla sędziów, trenerów, jeźdźców etc. No i prowadzi specjalistyczne szkolenia. Jak na tyle pracy, dotacja w kwocie 463 tys. zł nie wydaje się chyba zbyt przesadna. Bo tylko złośliwiec mógłby się czepiać, że kasę dostaje instytucja zatrudniająca 12 osób zawiadujących jedną z najbardziej zyskowych dziedzin, czyli hazardem. Instytucja, która ma przychody w wysokości 8 mln zł rocznie.

Kto nie da bogatemu?

Komuś mówi coś nazwa Państwowe Gospodarstwo Leśne Lasy Państwowe? A powinna... Gdy-

niejasności finansowe. Konkretnie to, że działacze zapomnieli o tak przyziemnej sprawie jak złożenie sprawozdania finansowego na czas. Prezydent Piech twierdzi, że nie ma z tym nic wspólnego. Ale ma prawo podejrzenia.

Księgowy, który miał pełną odpowiedzialność, umowę z nami, odpowiadał swoim majątkiem, swoją firmą, swoim nazwiskiem, złożył sprawozdanie dwa tygodnie po terminie. Kiedy zapytaliśmy go, co się stało, odpowiedział nam, że nie wie. Możemy się tylko domyślać – tłumaczy przewodniczący Piech w filmiku na YouTube. Obstawiamy spisek masoński lub żydowski, palce w tym mogły też maczać koncerny farmaceutyczne, którym PJJ nadepnęła na odcisk, walcząca ze szczepionkami.

Szmat czasu, czas szmat

Jednocześnie, jako człowiek wiary, Rafał Piech widzi rzeczy w szerszej perspektywie niż szaraczki. W końcu partii upatrpie nowego początku pod Chrystusowym sztandarem.

Wielu z was bało się partii, wielu z was nie chciało się zapisać do partii. Mielście z tym problem, dlatego tylko sympatyzowaliście z nami. Dzisiaj przychodzi ten moment, kiedy nie musicie się niczego obawiać, bo do stowarzyszenia możecie się przyłączyć. Wiecie doskonale, że będą chcieli nas zniszczyć, a KRS to jest tylko numerek, a Pff to jest prawdziwa siła i prawdziwa wartość – zagrzewa potencjalnych aktywistów ruchu i sam przyjmuje z satysfakcją fakt, że nie jest już partyjny. Ale od wyroku sądu o delegalizacji partii się odwołał. Niezbadane są wyroki boskie i tok myślenia dewotów. Nie po to zakładał partię, żeby być partyjniakiem – ot, logika.

Był już jeden taki, co mówił: *jak zostanę politykiem, to naplucie mi w ryj i mówicie do mnie szmato*. Kukiz się nazywał. Więc z takimi deklaracjami trzeba ostrożnie, bo czasem nawet Święty Boże nie pomoże.

ELEONORA PRONOBIS

Ten rząd stać na wszystko

by bowiem obciąż pierwsze trzy wyrazy, to objawi się to, co wszyscy znają aż za dobrze. Chodzi o Lasy Państwowe, czyli wylegarnię przekrętów, afer i niewysychające źródło honorariów dziennikarskich za opisywanie powyższych. Niemniej jednak Lasy przędą nieźle. W 2023 r. przychody firmy wyniosły 14,6 mld zł, a zysk – 639,9 mln zł. Kapitały własne Lasów Państwowych na koniec zeszłego roku miały wartość 14,29 mld zł. Po jaką więc cholere ktoś w Ministerstwie Finansów wymyślił, żeby w przyszłym roku Lasy Państwowe zasiłić dotacją w kwocie 800 tys. zł?

Dotowanie przez budżet instytucji, które – zdawałoby się – powinny przynosić zyski, to norma. Ot, choćby Centrum Badania Opinii Społecznej – znane wszem i wobec CBOS. Podlegające nie wiedzieć czemu rządowi, prowadzące badania sondażowe dotyczące opinii na tematy wszystkie. Od polityki po badania rynku. Robi to samo co dziesiątki innych sondażowni, które nie narzekają na brak zleceń. Z tą różnicą, że tamtym nikt z kieszeni podatnika nie dopłaci w przyszłym roku drobnych 8 mln zł.

Polska Agencja Prasowa obsługuje swoimi wiadomościami prasę, radio i nade wszystko internet. Za swoje serwisy kasuje całkiem fajne pieniądze. Produkuje wszak informacje, komentarze, zdjęcia i filmiki. Za pieniądze zamieszcza też materiały zewnętrzne o znamionach reklamy. Ma najbogatsze archiwa fotograficzne w Polsce. Ale żeby związać koniec z końcem, wyciąga rękę do nas wszystkich i dostanie na nią w 2025 r. 22 mln zł dotacji.

W 2023 r. przez Centrum Nauki Kopernik przewalilo się niemal 1,4 mln ludzi. W tym roku zanosí się na podobny wynik. Najtańszy bilet grupowy kosztuje 44 zł, normalny zaś 62 zł, czyli drożej niż do muzeum Prado w Madrycie. Gdyby frekwencję przemnożyć przez ceny biletów, wyszłyby jakieś ciężkie miliony złotych. Okazuje się jednak, że to nie wystarczy. Wbrew prawu Kopernika lepszy pieniądz nie tylko wypiera gorszy, ale na dodatek ginie w jakiejś kosmicznej czarnej dziurze. W związku z tym w przyszłym roku będziemy musieli wspólnie zasiłić CNK ponad 13 mln zł.

Wojskowy Instytut Wydawniczy nie jest wydawnictwem! Jest instytucją kultury. W związku z tym jego głównym zadaniem jest *wydawanie czasopism oraz periodyków skierowanych do żołnierzy Wojska Polskiego oraz promowanie szeroko pojętej obronności*. Wśród sztandarowych wydawnictw WIW znajdują się: miesięcznik „Polska Zbrojna”, dwumiesięcznik „Przegląd Sił Zbrojnych” oraz kwartalnik „Bellona”. Poza tym instytut przygotowuje wydawnictwa specjalne na potrzeby MON, rodzajów sił zbrojnych, podległych im jednostek wojskowych oraz niezależnych instytucji i partnerów biznesowych. Jest gotowy do organizacji profesjonalnych konferencji, eventów promocyjnych, a także przeprowadzenia kampanii reklamowych. Utrzymywanie tego tworu będzie kosztować podatników w 2025 r. niemal 14,5 mln zł.

Nazwa Polska Organizacja Turystyczna brzmi dumnie. I słusznie. Jej celem jest wypromowanie Polski jako kraju atrakcyjnego dla turystów, nowoczesnego, z wysokimi standardami usług i korzystnymi cenami. Działa w kraju i za granicą. Organizuje stoiska narodowe na krajowych i zagranicznych targach turystycznych, na których wystawcami są przedstawiciele branży i samorządów. Takie stoiska narodowe sprzedaje potem tym, którzy się na nich wystawiają. Oprócz tego POT chwali się zapraszaniem dziennikarzy, touroperatorów i takich tam, żeby poznali Polskę i dobrze o niej pisali. Wszystko fajnie. Tylko dlaczego po to, by jednej bardzo bogatej gałęzi gospodarki żyło się lepiej, muszą się na nią zrzucać



nie firmy turystyczne, tylko wszyscy podatnicy? I to na wcale niebagatelną kwotę ponad 96 mln zł?

Schiz instytucjonalny

Aby wiedzieć, co piszczy za Bugiem, mamy Ośrodek Studiów Wschodnich im. Marka Karpia. OSW monitoruje wydarzenia i analizuje procesy społeczno-polityczne oraz gospodarce w Rosji, na Ukrainie, Białorusi i w państwach bałtyckich. I mimo że nazwa na to nie wskazuje – w krajach grupy wyszehradzkiej i bałkańskich oraz Turcji i w Niemczech. Za zainteresowania ośrodka zapłacimy 20,3 mln zł.

Za ponad 6,5 mln zł Instytut Europy Środkowej, wymyślony w 2018 r. przez PiS, będzie badał i analizował inicjatywy polityczne, gospodarcze i społeczne w Europie Środkowej i Wschodniej. Węgry leżą w Europie Środkowej, ale mają dedykowany sobie Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka, na który zrzucimy się w przyszłym roku kwotą 5 mln zł.

O tym, że polityka wschodnia jest oczkiem w głowie naszych rządzących, świadczy to, że trzy instytucje zajmujące się nią dostaną grubo ponad 30 mln zł. Polski Instytut Spraw Międzynarodowych zajmujący się całym światem, a więc również i Europą Środkową, i Wschodnią, załapał się budżecie jedynie na 21 mln zł. Bo zajmowanie się *polityką zagraniczną, integracją europejską, bezpieczeństwem oraz międzynarodowymi stosunkami gospodarczymi* jest tańsze niż permanentna inwigi-

lacja poczyną Putina i Łukaszenki. A tak swoją drogą, to

utrzymywanie trzech struktur z własnymi władzami, księgowościami i administracjami na pewno skuteczniej zwalcza bezrobocie niż zrobienie jednego, porządnego multidyscyplinarnego think tanku.

Tak samo rzecz się ma z Centralnym Ośrodkiem Badania Odmian Roślin Uprawnych, na który wydamy z budżetu prawie 43 mln zł, a którego działania niemal dokładnie pokrywają się z tym, co robi Państwowa Inspekcja Ochrony Roślin i Nasiennictwa.

Nie ma się jednak co dziwić. Taka powielająca pracę przynajmniej trzech instytucji, skazywana od wielu lat na zagładę Inspekcja Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych ma się dobrze i załapuje się na niemal 72 mln zł z budżetu.

Wiadomo, że państwo to ministerstwa, narodowe centra, narodowe instytuty i inne najwyższe izby. Ktoś może zatem mocno się zdziwić, że w przyszłorocznym budżecie zapisano, że ponad ćwierć miliarda złotych ma pójść do spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. Najwyraźniej PiS, widać, nie miało pomysłu na jakąś megamonumentalną nazwę, więc Aplikacje Krytyczne Sp. z o.o. działają od 13 września 2016 r. jako spółka celowa skarbu państwa, informatyzując działy administracji rządowej.

Narodowe Centrum Badań i Rozwoju to wcale nie jest jakaś polska Krzemowa Dolina. Jest agencją wykonawczą Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego pomyslaną jako *platforma skutecznego dialogu między środowiskiem nauki i biznesu*. Jak się można domyślać, znając dorobek polskich naukowców, jest to kit. Dowodzi tego fakt, że w przyszłym roku w innowacyjność zainwestujemy śmieszna kwotę 87 mln zł.

Narodowe Centrum Nauki jest agencją wykonawczą powołaną do *wspierania działalności naukowej w zakresie badań podstawowych (...) bez nastawienia na praktyczne zastosowanie ani użytkowanie*. I oczywiście podpada pod ministra nauki. W sumie zajmuje się dokładnie tym samym, czym NCBiR. Na wprowadzanie nas do grona potencjalnych noblistów ma mieć żenujące 63,5 mln zł. A ponieważ maleńka ta forsja jest porównywalna z kasą na NCBiR, to wypada powtórzyć pytanie, po jaką cholere w strukturze tego samego ministerstwa mają działać dwie dublujące się instytucje?

Zwłaszcza że stosunek aktualnej koalicji do rozwoju technicznego najlepiej widać w budżetowym zestawieniu Polskiej Akademii Nauk i Instytutu Pamięci Narodowej. PAN dostanie 116 mln zł. A IPN – 652 mln zł. Na dodatek zaś na powielający większość zadań IPN Instytut Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego wydamy ponad 110 mln zł.

TADEUSZ JASIŃSKI

Najpierw Cię ignorują. Potem śmieją się z Ciebie. Później z Tobą walczą. Później wygrywasz – rzekł ponoć kiedyś Mahatma Gandhi. Odnosząc to do społeczności osób transpłciowych w Polsce, jesteśmy obecnie na trzecim etapie. Przed nami więc już tylko zwycięstwo.

Jeżeli bowiem prześledzić losy polskich środowisk transpłciowych w ciągu ostatniego półwiecza z górką, to przebiegały one tak właśnie, jak powiedział wielki hinduski mąż stanu. Zaledwie 25 lat temu zaczęliśmy wychodzić z całkowitego mroku nieistnienia i społecznej ignorancji, by w ciągu tego ćwierćwiecza stać się wręcz tematem politycznym z pierwszych stron gazet.

Temat transpłciowości we wcześniejszym okresie w ogóle nie docierał do społeczeństwa lub docierał sporadycznie, najczęściej przy okazji publikacji medialnych o „pokrzywdzonych przez los” osobach „zmieniających płeć” lub sensacyjnych zmianek w prasie brukowej o „transwestytach”, czyli facetach przebranych w damskie ciuchy. Martyrologia, sensacja, groteska – pod takimi hasłami do świadomości społecznej trafiła transpłciowość i pod takimi hasłami zadomowiła się na wiele lat.

W mijającym roku zbiegają się dwie ważne dla osób transpłciowych rocznice: 60 lat temu dokonano pierwszej w powojennej Polsce sądowej tranzycji płci (1964 r.), a 40 lat później (2004 r.) zaczął zawiązywać się w Polsce ruch aktywistyczny na rzecz osób transpłciowych. Chociaż mogłoby się wydawać, że jesteśmy pod tym względem zapóźnieni w stosunku do świata o lata świetlne, to w zasadzie powodów do wstydu nie mamy. Wstydić natomiast powinni się nasi politycy i media.

Ignorują

W latach 60. zagadnienie transpłciowości było tak marginalne, że trudno dziś nawet odnaleźć wzmianki o tamtej pierwszej tranzycji i towarzyszącym mu procesie sądowym. I trzeba było aż 40 kolejnych lat, by osoby transpłciowe przemówiły same w swoim imieniu.

Nie znaczy to, że wcześniej prób nie było. Owszem, tyle że nie były one podejmowane przez społeczność, bo taka nie istniała. Były to raczej próby zawiązywania transspołeczności i jej aktywizowania podejmowane przez lekarzy, psychologów i różnej maści społeczników. Skończyły się fiaskiem. Głównie z tej przyczyny, że ani ci, którzy usiłowali pomagać, ani ci, którym usiłowano pomagać, nie mieli wówczas społecznej świadomości zagadnienia. Transpłciowość traktowano jako osobisty problem nielicznych jednostek. Wiedza o skali i zasięgu transpłciowości nie istniała. To też jest przyczyną, dlaczego osoby trans, które przechodziły korektę płci jeszcze w latach 80. czy 90., w znacznej części nie rozumieją tego, co się dzieje obecnie. Spora część lekarzy, psychologów i różnej maści społeczników – również.

Pod koniec 2004 r. zaczynało się skromnie: od towarzyskich spotkań zwołanych przez świeżo wówczas powstały portal Crossdressing.pl. Ni-szowy bar w centrum Warszawy mogący pomieścić najwyżej kilkanaście osób, zmieścił niemal 50. Pełna konspira – impreza zamknięta, wejście tylko na hasło, ochroniarz w drzwiach... W takich warunkach zawiązywała się grupa ludzi, która wkrótce potem postanowiła zrobić coś więcej niż tylko spotykać się w ukryciu. Zaowocowało to powstaniem Fundacji Trans-Fuzja (2008 r.), która była pierwszą polską organizacją transaktywistyczną, przez wiele lat jedyną.

Tak naprawdę polski ruch na rzecz osób transpłciowych zawdzięcza swoje istnienie przełomowi, jakim był powszechny dostęp do internetu (po 2000 r.). Bo to dzięki temu osoby zainteresowane mogły uzyskać kontakt ze światem, zobaczyć, jak to wygląda za granicą i podjąć podobne działania w Polsce. A przede wszystkim – skomunikować się ze sobą.

Śmieją się

Pamiętam, jak w 2005 r. podczas jednej z rozmów z Anną Grodzką rozważaliśmy perspektywę pojawienia się w polskiej polityce osoby transpłciowej. Rozważaliśmy to wyłącznie w kategoriach humorystycznych, śmiejąc się z tego, jakiego ambarasu dostarczyłoby to społeczeństwu, politykom i mediom. Wyraziłam wtedy przypuszczenie, że o ile znam stan mentalny polskiego społeczeństwa, mediów i polityki, o tyle takie coś możliwe by było za sto lat, a przy bardzo dobrych wiatrach – za 60. Tymczasem od tamtej chwili minęło lat zaledwie sześć, a Anna Grodzka została wybraną posłanką do sejmiku jako pierwsza w Polsce, druga w Europie i trzecia na świecie ujawniona osoba transpłciowa.

W październiku 2011 r. w polskiej polityce zaistniała osoba trans. I był to jeden z tych momentów, które były nie tyle przełomem, co wręcz wstrząsem. Bo oto nagle cały polski transaktywizm z grupki społeczników walczących o prawa nielicznej mniejszości stał się poważną grupą mającą swą reprezentację w sejmie. Jednocześnie do całej populacji Najjaśniejszej dotarła w ogóle wiadomość o istnieniu takiego zjawiska, budząc najczęściej wesołość.

To był właśnie ten czas, kiedy przestano nas ignorować, a zaczęto wyśmiewać. Jakimż to

TRANS jak Rzeczpospolita

20 lat temu rozpoczął się w Polsce ruch na rzecz osób transpłciowych

wdzięcznym tematem do niewybrednych dowcipasów była postać Anny Grodzkiej, a wraz z nią cała społeczność trans! To były te lata, kiedy w dobrym tonie było, żeby każda trupa kabaretowa miała w repertuarze skecz/dowcip o chłopie przerobionym na babę. Dowcip zazwyczaj ocieślał, ale nieodbiegający od gustu sporej części społeczeństwa i jego świadomości tego, czym jest transpłciowość. Niektórym tak zostało do dziś i nadal ich wesołość wzbudza chłop wychodzący na estradę w kiecce i z mopem na głowie.

Jeszcze śmieszniej zrobiło się, gdy w 2013 r. Anna Grodzka stała się kandydatką na wicemarszałkę sejmiku. Większość śmiała się nadal, ale faktem nie na żarty zainteresowały się media, co było naturalne. Choć Anna wicemarszałkiem ostatecznie nie została, to już samo to, że jej kandydatura została zgłoszona, spowodowało wybuch medialnego zainteresowania społecznością trans na niespotykaną wcześniej skalę. A że wkrótce potem w sejmie pojawił się projekt ustawy o uzgodnieniu płci, temat transpłciowości stał się już nie tylko medialny, ale i polityczny.

Walczą

Ustawa o uzgodnieniu płci przepadła. Zawdzięczamy to opieszałości i kunktatorstwu Platformy Obywatelskiej oraz dudowemu wetu. Gdyby rządząca wówczas PO nie uważała się za najmądrzejszą partię na świecie, to uchwaloną przez sejm ustawę zdążyłby podpisać jeszcze prezydent Bronisław Komorowski. A że platformersi (i to ci z konserwatywnego skrzydła) musieli w niej koniecznie pogmarać, zrobiło się za późno i ustawa trafiła już na biurko Dudy, z którego nie miała szansy zejść podpisana.

W pewnym sensie polska społeczność transpłciowa jest jak całe to nasze nieszczęsne państwo.

Rzeczpospolita bowiem jako swoje święto obchodzi rocznicę uchwalenia postępowej konstytucji, która miała być ratunkiem dla upadającego państwa, ale nigdy nie weszła w życie. Podobne znaczenie dla społeczności trans ma uchwalona przez sejm i odrzucona przez Dudę ustawa o uzgodnieniu płci.

To nasze święto niespełnionych obietnic i nadziei. Po nim nastąpiły lata chude, podczas których przestano nas wyśmiewać, a zaczęto z nami walczyć.

Tu nie chodzi o jakichś przygodnych agresorów atakujących słowem lub czynem spotkaną na ulicy osobę trans. Tu chodzi o zinstytucjonalizowane prześladowanie przez organy państwa, Kościół kat. i działające w porozumieniu z nimi



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

organizacje. Przypomnijmy, że w czasie ośmiu lat wiadomych rządów społeczność trans wiele razy padała ofiarą nagonki ze strony oficjalnych czynników. O słynnych wypowiedziach Dudy, Kaczyńskiego czy fluorescencji Jędraszewskiego i im podobnych pisać po raz kolejny nie będę, bo to fakty znane i wyświechtane. O łapanie ulicznej, jaką policja urządziła sobie w sierpniu 2020 r. po protestach w obronie aktywistki Margot – też, bo donosiły o tym wszystkie media krajowe i zagraniczne.

Poza tymi oficjalnymi czynnikami, czy to wobec tylko transpłciowej społeczności, czy to wobec niej jako należącej do szerszego ogółu – LGBT – podejmowano także mniej jawne działania. Z okresu, kiedy przewodziłam założonej m.in. przez Annę Grodzką Fundacji Trans-Fuzja (2017–2020), pamiętam co najmniej kilka prób przeniknięcia do naszego środowiska prawackich dziennikarzy, zapewne celem wydobycia czegoś, co uznaliby potem za kompromitujące nas i nadające się do publikacji. Chyba jednak nic szczególnego nie znaleźli lub zbyt szybko zostali zidentyfikowani, więc z tych prób nic nie wyszło. Podobnie jak z prób infiltracji przez służby specjalne.

O fakcie takiego zamiaru wiedziałam bodaj jako jedyna z całego środowiska. Dziś przypuszczam, że mając tę wiedzę, byłam w stanie rozpoznać próbę infiltracji i skutecznie storpedować. Jeżeli tak, to zawdzięczam to temu, że mój wywiad działa lepiej niż służby specjalne Najjaśniejszej, przynajmniej tej w wydaniu kaczyńskim. Tak czy inaczej, musiałam to wziąć na klatę i załatwić tak, by jednocześnie nie wzbudzić popłochu wśród całej społeczności, która postępowaniem ówczesnych

władz była i tak wystarczająco strauumatyzowana. Wiedza o tym, że ich własne środowisko jest infiltrowane przez służby, raczej by nie pomogła, a nawet wprost przeciwnie.

Do zwycięstwa

Kiedy PiS zostało odsunięte od koryta, zaświtała nowa nadzieja, ale stare troski wcale nie zniknęły. Jakoś tak się bowiem zrobiło, że jeszcze za poprzedniej władzy za walkę z osobami transpłciowymi – poza instytucjami państwa PiS – wzięli się różnej maści aktywiści. Są to zazwyczaj osoby podające się za feministki, a w rzeczywistości będące reprezentantkami czegoś, co na Zachodzie nazywa się TERF (*trans-exclusionary radical feminism* – transwykluczający radykalny feminizm). To właśnie te potocznie już nazywane terfy stanowią dziś forpocztę walki z transpłciowością. Dość powiedzieć, że choć głównym zarzutem, jaki stawiają środowiskom trans jest to, że cała transpłciowość jest koncepcją ideologiczną, to trudno o coś bardziej zideologizowanego niż terfizm. Zasadza się on bowiem na tezie, że transpłciowość nie istnieje, zaś transkobiety to przebrani faceci – agenci patriarchy wciśnani do środowiska kobiet, by zniszczyć zdobycze feminizmu. Transmężczyźni natomiast to uciśnione kobiety wyrwane przez patriarchy ze świata kobiet i siłą przerobione na mężczyzn. Trudno o większą bzdurę, ale terfy w to wierzą i całą swoją narrację wraz z argumentacją dostosowują do tej tezy.

Po 20 latach działania polskiego ruchu transaktywistycznego z jednej strony możemy pochwalić się olbrzymimi sukcesami. Do takich bez wątpienia należał

fakt wejścia do głównego nurtu polityki Anny Grodzkiej, bo spowodował mentalny przełom w całym społeczeństwie. Gdybyśmy chcieli osiągnąć to samo przy pomocy działań edukacyjnych, szkoleniowych, wówczas i sto lat mogłoby być za mało.

Osobowości Anny zawdzięczamy więc skrócenie tego okresu do zaledwie dekad. Z drugiej jednak strony, podsumowując te dwa 10-lecia, trudno oprzeć się wrażeniu, że wciąż kręcimy się w kółko, stojąc w tym samym miejscu. Zaś główną przyczyną tego faktu tkwi... w mediach.

Choć media – i te mainstreamowe, i te niszowe – nie raz w tym czasie wykazywały prawdziwe zainteresowanie tematyką, to jednak trzeba stwierdzić, że nie bardzo się czegokolwiek nauczyły. Jedno, co udało się wyeliminować, to sensoryjny ton, w jakim niegdyś wypowiadały się o osobach transpłciowych. Nadal jednak nie mogą zrozumieć, że transpłciowość to zagadnienie z dziedziny tożsamości ludzkiej. Dlatego wciąż do rozmowy o transpłciowości zapraszają tzw. drugą stronę, czyli najogólniej mówiąc tych, którzy są „przeciw”. To obecnie największy grzech medialny wobec osób trans, rzutujący na to, że wszystkie niechętnie nam wypowiedzi, choćby najgłupsze, traktowane są jako poważne i równoprawne. Stąd wciąż pełno wypowiedziających się o nas kato-prawaków, funkcjonariuszy Kościoła kat., względnie – ostatnio – terfów. Można to porównać do takiej hipotetycznej sytuacji, że gdyby w XIX w. poważna gazeta robiła materiał o trudnym losie chłopstwa i zasadności jego uwłaszczenia, to zaprosiłaby do rozmowy kilku pańszczyźnianych i kogoś, kto reprezentuje drugą stronę, czyli jasnie panów latyfundystów (świeckich i kościelnych), właścicieli licznych wiosek i tysięcy chłopów.

I to jest najważniejszy zarzut do mediów: muszą zrozumieć, że zasada drugiej strony nie może obowiązywać w przypadku, gdy mamy do czynienia z kwestiami tożsamościowymi, że już o prawach człowieka tu nie wspomnę. Bo czyż można być przeciw jakiegokolwiek ludzkiej tożsamości?

EDYTA BAKER

Autorka jest transkobietą, współtwórczynią polskiego ruchu transaktywistycznego i jedyną osobą działającą w nim od początku do dziś.

Logika świątecznej przestępczości

Cicha noc,
krwawa noc

Pośród morza danych makrostatystycznych ujawniających matematyczne prawidłowości, które wydają się logiczne same przez się, intrygują mnie raczej te dane, które wprawdzie ujawniają prawidłowości, ale logiką nie grzeszą.

Statystyka wypadków drogowych – rzecz ciekawa. Powiedzmy, że w Polsce rocznie mamy 21 tys. wypadków (plus minus 4 proc.). Liczba ta pozostaje w korelacji z liczbą pojazdów i kierowców. Logiczne – mniej więcej stała liczba kierowców i pojazdów daje konieczną liczbę wypadków. Na tej zasadzie działa cała matematyka ubezpieczeniowa. Działa, bo gdyby nie działała, firmy ubezpieczeniowe poszłyby z torbami. Mniej oczywiste jest, że grudzień, styczeń i luty to miesiące z najmniejszą liczbą kolizji i wypadków. Wszak warunki drogowe są wtedy najgorsze. Można tłumaczyć to istnieniem grupy niedzielnych kierowców, którzy nie wyjeżdżają, gdy pada, czyli zimą. Ale czy to cała prawda? Wątpię.

Statystyka spraw ostatecznych, czyli śmierci nie-naturalnych, niewątpliwie przeczy zdrowemu rozsądkowi. Weźmy zabójstwa i samobójstwa. W 38-milionowym narodzie przypadków tych pierwszych jest jak na lekarstwo. Około 600 zabójstw rocznie – akurat tyle, by codziennie zapłacić rubrykę w portalach. Dwa mordercy dziennie wystarczą, by miliony żyły w przeświadczeniu, że u nas mordują na każdym kroku. Samobójstw jest dziesięć razy więcej, ale nie są tak medialne – trafiają co najwyżej na trzecią

stronę. Wniosek: dziesięć razy łatwiej samemu się uśmiercić niż paść ofiarą bliźniego.

Sprawcy i ofiary mordów, inaczej niż w wypadkach czy włamaniach, eliminują się ze statystyk. Zamordowani – rzecz jasna. Mordercy zaś, bo ich wykrywalność jest niemal stuprocentowa (w 2023 r. na 559 zabójstw wykryto 555 sprawców), lądują w więzieniach odseparowani od społeczeństwa. To powinno drastycznie zmie-

nić zewnętrzne katalizujące mordercze zachowania wśród normalnych osób.

Specjaliści od profilowania przestępców lansują tezę, jakoby każdy mógł zabić, a w każdym z nas drzemie zbrodniarz, czekający na stosowne okoliczności. To oczywiście umniejsza rolę woli i winy sprawcy – skoro okoliczności, to cóż on, biduła, mógł poradzić?

Teza o morderczym potencjale drzemiącym w każdym z nas niezbyt jednak współgra z życiową obserwacją. Mordy tysiąc razy częściej zdarzają się w kryminałach i filmach niż w rzeczywistości. Gdyby każdy był urodzonym zabójcą, mieliśmy w Polsce 3 tys. zabójstw rocznie, a mamy pięć razy mniej. Te hipotetyczne 3 tys. to i tak mniej niż 1 proc. wszystkich zgonów (około 400 tys. rocznie).

Z dziennikarskiego punktu widzenia zabójstw jest za mało. I to zdecydowanie. Brakuje zwłaszcza tych zagadkowych, rodem z Agathy Christie – wyrafinowanych intryg o majątek, władzę czy miłość. Polskie morderstwa to chamowa. Wypili, pokłócili się o mecz, jeden dał drugiemu w mordę, tamten upadł, waląc potylicą o beton – trup.

I tak doszliśmy do najważniejszej, skrzętnie ukrywanej w krajach chrześcijańskich prawdy o warunkach, w których człowiek staje się mordercą, złodziejem, bandytą lub targa się na własne życie. Okoliczności te nie-rozerwalnie wiążą się z magią świąt Bożego Narodzenia.

Te trzy, cztery dni to okres krytyczny dla statystyk. Świąta wywołują żądzę posiadania i zazdrość podlewane przeświadczeniem, że coś można dostać za darmo (prezent). Efekt to lawinowy wzrost kradzieży. W Anglii szacuje się go na 20–30 proc. w stosunku do innych miesięcy (w Polsce takich danych brak). Podobnie wzrasta liczba włamań do mieszkań i firm. Ludzie wyjeżdżają, biura stoją puste, pilnowane co najwyżej przez wczorajszego ciecia.

Co gorsza, spotykamy się z osobami, z którymi spotykać się nie chcemy. W przeciwnieństwie do kolegów czy współpracowników, rodziny się nie wybiera.

Przy wódce bez wspólnych tematów, wchodzimy na zdradliwe, konfliktogenne obszary. Stąd już tylko krok do rękoczynów, przemocy, użycia niebezpiecznych narzędzi. Ponad 80 proc. zabójstw to incydenty rodzinne, z pozoru błahe. Pozostałe dokonują się w gronie bliższych znajomych lub sąsiadów.

Rocznica urodzin Chrystusa to także epidemia samobójstw. Samotni, odrąceni, widząc rzekomo radosne spotkania innych, oceniają swoją sytuację gorzej, niż jest w rzeczywistości. Rozpacz, depresja, stryzynek z okazji wesołych świąt.

Ukrywanie tej prawdy za zasłoną sielankowości, nieszczerych życzeń i kolęd jest szkodzi. Niniejszym chcę uświadomić problem – wiedza o nim może zminimalizować zjawisko. Boże Narodzenie to niebezpieczny okres. Trzeba uważać. Być czujnym jak ważka, przebiegłym jak wąż i niewinnym jak gołąbek.

Zasiadającym do wigilijnego stołu rekomenduję: niech tylko karp po żydowsku będzie martwy, a wasze ręce niesplamione krwią. 25 lat za agresywny ruch ręką lub sztucem?! Nie oplać się.

ROBERT JARUGA

Z CZARNEJ
DUPY
SIĘ WYRWAŁO

■ **Ten rząd ma charakter rewolucyjny, tzn. stara się realizować pewną agendę ideologii, rewolucji neomarksistowskiej, gdzie miejsce katolików jest gdzieś w kruchcie, a na pewno nie w przestrzeni życia społecznego.** W więc katolicy nie powinni tworzyć muzeów, nie powinni aranżować różnych organizacji społecznych, nie powinni wpływać na wychowanie młodzieży, bo to przecież neomarksizm ma organizować kulturę, wpływać na wychowanie, a nie religia katolicka.

prof. Mieczysław Ryba, TV Trwam, 9 grudnia

■ **Radio Maryja i wszystkie dzieła przy nim wyrosłe powstały i działają właśnie po to, aby demokracja w Polsce nie mogła się przemienić w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm.** Właśnie dlatego, że głoszą prawdę od samego początku zaistnienia, to były i po dzień dzisiejszy pozostają solą w oku tych wszystkich środowisk, które odrzucają istnienie obiektywnej prawdy, obiektywnych wartości i które chcą budować swoją przyszłość i swoją potęgę na kłamstwie.

abp Marek Jędraszewski, homilia, Toruń, 7 grudnia

■ **Ledwie dwa dni temu agenci CBA weszli do siedziby Fundacji „Lux Veritatis”. To kolejny akt trwającej od dłuższego czasu wyjątkowo zadanej kampanii wymierzonej w Czcigodnego Ojca Tadeusza Rydzikę oraz dzieło Toruńskiej Wspólnoty.** W te niegodne działania zostały wprężone niektóre instytucje państwowe oraz media głównego nurtu. Cel tej operacji jest jasny. Najlepiej oddają go słowa ks. kard. Stefana Wyszyńskiego, Prymasa Tysiąclecia: „Jeżeli przyjdą zniszczyć ten naród, zaczną od Kościoła, gdyż Kościół jest siłą tego narodu”.

Jarosław Kaczyński, list do uczestników 33. rocznicy Radia Maryja, 7 grudnia

■ **Uczelnie mają nawet miliardy wsparcia od rządu. W tych placówkach szerzony jest neomarksizm. Wysłaliśmy z marksizmu i z powrotem do niego wracamy. Wysłaliśmy z PRL-u, a teraz mamy coś gorszego. Dlaczego? Bo głowy nie są dobrze poukładane.**

o. Tadeusz Rydzik, homilia, Toruń, 7 grudnia

■ **To jest niezwykle doświadczenie, kiedy człowiek chory i to na chorobę, w której nie jest się faworytem, jeśli chodzi o zwycięstwo finalne, słyszy to wsparcie i odczuwa je, a przede wszystkim czuje, że nad wszystkim jest moc Pana Boga. On przez słowa Ewangelii uczy nas, iż dla tych, którzy modlą się z wiarą, a czynią to zgodnie z planami Bożymi, w ramach woli Bożej, może to też być i rezultat w postaci cudu.**

Zbigniew Ziobro, obchody 33. rocznicy powstania Radia Maryja, 7 grudnia

■ **Najlepszym sojusznikiem wiary jest rozum otwarty na prawdę. Często odejście od Boga i Kościoła jest skutkiem ignorancji ubranej w ideologiczne szatki nowoczesności.**

ks. Janusz Chyła, X, 8 grudnia

KLECHA

Diler złudzeń

Gorzka prawda
o świątecznej
hojności: zapłacisz
później.

Mamy najbardziej pokręcony okres w roku. Pominę teologiczne bzdury. Chrystus się narodził? A może nie? Kogo to obchodzi... Myślę o innej mrocznej postaci – najbardziej realnym świętym, bo w przeciwieństwie do innych ten żyje. W każdym razie maluchy są absolutnie pewne, że Herr św. Klaus (tak się naprawdę nazywa, przecież to niemiecki wynalazek) istnieje. Skala oszustwa przeciąga czteroletni mózg. Klaus, według tych kapitalistycznych niewińatek, rozdaje dary na lewo i prawo. Socjalizm w praktyce.

Tak naprawdę jest przecież inaczej. Całe życie walczyliśmy z chciwością innych, którzy chcą nam coś zabrać. Policjanci, komornicy, handlowcy, księża – gorsi od złodziei. Złodziej kradnie szczerze, dla siebie. Reszta – dla naszego dobra, bezpieczeństwa lub potrzeb. Albo dla dobra publicznego.

Z drugiej strony, mamia nas pozornie darmowe lunchy. Żyjemy w Matrixie, w którym dwa kosztują tyle, co jeden, wszystko jest 50 proc. taniej, a przecenione oznacza pełnowartościowe. 9,99 zł? Kolejny numer marketingowej sztuczki. Niech się frajerzy cieszą,

że zapłacili 9, a nie 10! Ha! Nabraliśmy ich, a nikt za to nie pójdzie siedzieć. Ten kit wylewa się z telewizorów, atakuje w Internecie, prześladowa na billboardach. Największa ściema współczesności, którą chłonimy – bo wszyscy gramy w tę grę. Oni kłamią, my kombinujemy (my naturalnie tylko troszeczkę). Wszyscy chcą coś za nic albo tanio jak barszcz.

Aha, a potem rozczarowania. Ileż to razy obiecywano wam gruszek na wierzbie, a dostawaliście figę z makiem? Miały być łyżwy, wyszły wrotki. Telefon miał być tani, a tu zonk – droższy niż kawior. Wszystkie żony przed ślubem to anioły wcielone, a potem... cóż, diabeł ogonem macha. Nikt już nie pamięta, co komu naopowiadał. Słowo droższe od złota? Bzdura – tańsze od grochu.

Kiedy się to zaczęło? Poszukajcie w pamięci. Znajdźcie datę. 24 grudnia któregoś tam roku.



Rys. WIDUET

Dzisiaj w kożuchu wywinętym na lewą stronę, z brodą z waty, z jutowym workiem po kartoflach, z udawaną szczerością obdarował was tym, co się wam nie należało. Mielicie ograniczoną zdolność rozpoznawania czynów? Jasne. To nie zmienia faktu, że staliście się stroną nieekwiwalentnej, krzywdzącej transakcji. Chcielibyście wierzyć, że można mieć coś za nic. Naiwniacy. Ten czerwony Herr Klaus, niby nobliwy staruszek, uzależniony od coca-coli, święty jak cholera, lubiący zwierzęta i niby kochający dzieci, to po prostu podstępny diabeł w przebraniu. Chcielibyście, żeby szatan biegał z widłami i kopytami? Phi! Kto by się wtedy dał mu nabrać?

Utrata wszystkich choinkowych prawd objawionych i odnalezienie tych prawdziwych, nieco bardziej przyziemnych, zajęło mi trochę czasu. Zwłaszcza że po Świętym Mikołaju pojawiły się kolejne autorytety. *Nikt nie zbadał od dawania* – napisała czterastoletnia gówniara, Anna Frank. Jasne. *Dawanie to nie obowiązek, ale przywilej* – powiedział Rockefeller, który tak się narodził, że zdechł z 600 mld dol. na koncie. Mnie ostatecznie nawrócił znajomy klecha, który przekonywał, że radość dawania jest wielka, ale on się jej wyrzekł, zostawiając ją wiernym. Pobożny cwaniak.

Nieźle się napociłem, żeby dojść do oczywistego wniosku: za darmo to nawet w pysk nie dadzą, ciastko zjedzone to ciastko stracone, a od bajkowych postaci, takich jak Święty Mikołaj, lepiej trzymać się na dystans. Bo jak coś wygląda zbyt pięknie, to śmierdzi oszustwem na kilometr.

Kolejne rozczarowanie pojawiło wraz z wiedzą, że nie należy dawać prezentów lekarzom, nauczycielom, różnego rodzaju przedstawicielom władzy, a za przekupstwo policjanta sąsiad poszedł do więzienia.

Nie popadajmy jednak w skrajności, bo jakieś rozdawnictwo jest wpisane w życie – solidarność międzyregionalna, międzypokoleniowa, zawodowa i wszystkie inne między. Ale bez

przesady z tą bezinteresownością, bo obdarowani wypiją nas do dna i jeszcze popłaczą się nad pustą butelką.

Trzeba stawiać warunki, mieć wymagania, inaczej fundujemy im moralne dno. Dlatego mądre, rozsądne i konstruktywne dawanie to wyższa szkoła jazdy. Albo raczej dawania.

Najlepiej by było, gdyby ten cały Święty Mikołaj się wypchał!

Widząc go na ulicy, włączcie tryb sceptyka. Co normalnego faceta skłania do przebiegania się w czerwonej pluszowej kapocie i faszzerowania obcych bachorów cukierkami?

Nic. Prawdziwi mężczyźni mają ważniejsze sprawy na głowie.

Bądźmy poważni. Podeksytowany czterdziestolatek w sklepie z zabawkami to raczej kandydat na pedofila niż fan Barbie. A nawet jeśli to ten drugi, to i tak trzeba go wysłać na kozetkę. Dlatego wszelkim Mikołajom powiedzmy krótko: *Spadaj!*, nawet jeśli babcia będzie zła.

ROBERT JARUGA

Za granicą drób, kasztany, słodkości, a u nas cez i dioksyny.

Pediatrzy radzą, by żadnej z wigilijnych potraw nie dawać dzieciom, które nie ukończyły trzech lat. Chyba że chce się z pełnym zrozumieniem zaśpiewać: *A ty go matuuulu w bóluu utulaj...*

Ale przecież nie po to Agnieszka Dziemianowicz-Bąk toczyła boje, aby dzień przedświąteczny święcić, żeby kolejny raz nie wystawiać się na coś, co przypłaci się własnym zdrowiem.

Prezenty z choinki

W rogu pokoju czeka zatem choinka. Rozsiewa leśny aromat i 53 rodzaje pleśni, których zarodniki w domowych warunkach rozprzestrzeniają się błyskawicznie. Ubogającą świąteczny nastrój poprzez podrażnienia nosa, łzawienie oczu, kaszel, duszności, bóle w klatce piersiowej i zatokach oraz uczucie zmęczenia. A jak kto wrażliwy, to może się od świątecznego drzewka nabawić zapalenia oskrzeli bądź płuc.

Można też wystawić choinkę plastikową. Tę samą, która rok spędziła, kurząc się i namnażając setki form życia, przez które oczy zaczynają łzawić, oskrzela się zaciskają, a z nosa zaczyna cieknąć. Na dodatek zaś plastikowe drzewko podniesie temperaturę na Ziemi i zamorduje wieloryby. Naukowcy wyliczyli, że naturalna choinka w trakcie swojego wzrostu emituje około pół kilograma dwutlenku węgla, bo resztę zjada. Produkcja takiego samego gabarytowo sztucznego drzewka powoduje emisję aż 19,4 kg CO₂. Zneutralizowanie śladu węglowego, zostawionego przez sztuczną choinkę, trwa aż 37 lat. I właśnie tyle czasu powinno spędzić w naszym domu sztuczne drzewko, żebyśmy czuli się w pełni ekologiczni. W tym czasie poodpadają plastikowe igły, zanieczyszczając środowisko, zieleni zblednie, a roztocza w kurzu zmutują, stając się jeszcze bardziej alergizujące.

Na świątecznym stole musi być biały obrus. Pod nim sianko. W sianku roztocza, pyłki roślin kwitnących i kolejne pleśnie. Dominującymi objawami alergii na zarodniki pleśni pochodzące z sianka są astma i łzawienie oczu. Nikogo więc nie powinno dziwić, że wigilijnym gościom łamie się głos i cieką łzy.

Potem życzenia i łamanie się opłatkiem. Powstałym z wody i mąki pszennej.

Wraz z opłatkiem wprowadzamy w głąb siebie gluteomorfiny, czyli substancje opiatowe o działaniu uzależniającym; skrobię zwaną amylopektyną,

rozgałęziony wielocukier – który w niewyobrażalny sposób sprzyja tyciu – i gluten, który nawet u osób niemających nic wspólnego z celiakią może nieco namieszać w organizmie.

Ponoć odpowiada też za popadnięcie w schizofrenię. Może w tym tkwi odpowiedź, dlaczego niektórzy w czasie Wigilii biorą się za czytanie Biblii.

Następnie na stół wjeżdża barszczyk z uszkami. Czerwony barszczyk z buraczków. Krwisty od alkalizujących go związków chemicznych. Pełen cukrów rozregulujących organizmy cukrzyków. Buraczki spotęgują też doznania uskarżających się na trzustkę, a jak ktoś ma zespół jelita drażliwego, to po barszczyku może być pewny szybkiej przebieżki do toalety. Ci, których nie przegoni, też nie powinni się cieszyć. W burakach jest mnóstwo kwasu szczawowego, który źle wpływa na przyswajanie wapnia i magnezu. Poza tym, gdy kwas łączy się z wapniem, powstają złogi szczawianu wapnia, które objawiają się pod postacią kamieni nerkowych.

Na uszko

Pyszne postne uszka to ciasto, w które zawinięta jest mieszanka suszonych grzybów i kiszzonej kapusty. Ciasto powstaje z opisaną wcześniej mąki pszennej i jaj. Ponieważ jednak naukowcy odpuszcili cholesterolowi w nich zawartemu, a gotowanie zabiło salmonellę, to można skoncentrować się na farszu.

Grzyby pobierają znacznie więcej metali ciężkich niż rośliny zielone. Wysysają z otoczenia rtęć, ołów oraz kadm, i gromadzą je w swoich owocnikach. Jeśli grzyb rośnie w pobliżu ruchliwej drogi, to będzie miał więcej ołowiu. Jak zerwano go w okolicy przemysłowej – rtęci. Po Czarnobylu w całej Europie stwierdzono zwiększoną zawartość

promieniotwórczego cezu w grzybach. Instytut Fizyki Jądrowej badał zawartość cezu 134 i 137 w grzybach z Polski i innych krajów. Wyszło, że podgrzybki z lasów pomiędzy Częstochową a Opolem są bardzo skażone i nie należy ich zbierać. W jednym kilogramie suszu podgrzybkowego było 160 tys. bekereli, a powinno być 5 tys. Poza tym, żeby nie być narażonym na świecenie, nie należy jeść grzybów szczególnie lubiących radioaktywność, czyli podgrzybka brunatnego, maślaków i koźlarzy.

Oprócz grzybków w uszkach występuje kapusta kiszona. Czyli poszatkowane sfermentowane liście, doprawione dużą ilością chlorku sodu. Sól zaś nie robi najlepiej osobom z podwyższonym ciśnieniem krwi lub mającym problemy z układem krążenia. No i kapusta zawiera jeszcze goitrogeny. Związki, które hamują przyswajanie jodu przez organizm, a tym samym wytwarzanie

hormonów tarczycowych. Czym powodują powstawanie wola tarczycowego.

Nie wszędzie wieczerzę wigilijną rozpoczyna barszczyk. Są rejony, gdzie starterem jest zupa grzybowa z ziemniakami polanymi postną omastą.

Zupa grzybowa to z reguły wywar z moczonych i gotowanych do uszek i pierogów grzybów. Zawiera więc to wszystko, co woda wyciągnie z suszu. Omasta do ziemniaków to śladowe ilości cebuli smażonej na oleju. Polewa się nią gotowane ziemniaki. Tę, jeśli nie są odpowiednio przygotowane, dostarczą naszemu organizmowi solaninę. Załapiemy się na nią także, gdy ziemniak ma lekko zielonkawy odcień, a my ugotujemy go w mundurku. Solaninę wciśnie nam też babcia, która weźmie się do obierania kartofli bez okularów. Każde pozostawione oczko lub kielek grożą jedzącym wymiotami, biegunką, podrażnieniem błony śluzowej jamy ustnej, przełyku, żołądka oraz stanami zapalnymi nerek.

Pora na karpia. Długo smażył się w oleju, a tuż przed podaniem został podgrzany po raz kolejny. Z tłuszczu uwolnione zostały tłuszcze typu trans. Nie dość, że ich nazwa dla wielu osób jest niemiła, to w dodatku są toksyczne i wywołują nowotwory.

Sam karp wcale nie musi być lepszy. Często zawiera ftalany. Substancje wywołujące uszkodzenia wątroby, nerek, zaburzające gospodarkę hormonalną, pracę układu rozrodczego, a jak się uprą, to i płuć uszkadzają.

Podczas jedzenia karpia należy szczególnie uważać na ości, które są przyczyną większości wigilijnych wizyt na pogotowiu. Uwaga powinna dotyczyć też mięsa. A właściwie tego, co w nim można znaleźć. A najczęstszymi zanieczyszczeniami są przywry i nicienie. Robaki paszorytujące w karpniu, które z największą radością rozgospzczą się w trzewiach homo sapiensa, przyprowadzając go o inwazję jelitową. Czyli gorączkę, bóle mięśniowe, biegunkę oraz wymioty.

Teraz na stół wjeżdżają pierogi z grzybami. Są dokładnie tym, czym uszka, tyle że smażone.

Czas zatem spróbować kapusty z grochem. O kapuście już wiemy, więc pora na groch. Zawarte w nim hemaglutyny zlepią czerwone krwinki. Z kolei związki fenolowe zwane izoflawonami działają jak estrogeny. To tłumaczyłoby, dlaczego w wielu kulturach groch uchodzi za hormonalny środek antykoncepcyjny. Dla katolika jedzenie go powinno uchodzić za grzech. Zwłaszcza że groch powoduje u facetów spadek żywotności plemników nawet o połowę.

Poza tym w grochu są inhibitory trypsyny, które według lekarzy przyczyniają się do niedoboru niektórych aminokwasów egzogennych, co z kolei powoduje zaburzenia w trawieniu białek i stany zapalne trzustki. Groch podnosi też poziom kwasu moczowego, co wywołuje podagrę. Ale najgorsze w grochu są oligosacharydy. Dzięki nim człowiek się wzdyma, a potem puszcza bąki. Ponoć można temu zapobiec, dodając do grochu czosnek. Ale

Szopki z szopki



Święta bez szopki są jak bzykanko bez orgazmu. I podobnie jak bzykanka, szopki też różne być mogą. Najczęściej są klasyczne polskie, czyli te pełne siana, z ceramicznymi figurami Świętej Rodziny przebranej za Arabów.

Bywają szopki plenerowe z żywymi wólkami i barankami tłoczonymi się przy żłobie. Kiedyś bywały też polityczne. Z cudownie narodzonym dzieciątkiem Solidarności w asyście Kuronia z Gwiazdą. No i Herodem Jaruzielem w tle.

Dziś polskie święta to jedna wielka komerca. Drożyzna z drożyzną, drożyzną poganiane.

Ale prawdziwy Polak potrafi. Pomyśli, pokombinuje i nawet szopkę z gówna potrafi ukreślić.

Dla lepszej inspiracji w szopkarskim świątecznym przodownictwie pracy wszystkim Polakom katolikom prezentujemy szopki zrobione przez katolicką młodzież z wyspy Madera. Zrobione w domu, niczym bimberek, dostępnymi tam domowymi sposobami.

Wszystkie są wykonane z domowych zasobów. Z tanich surowców, nierzadko wtórnych, podlegających recyklingowi. Przyjaznych środowisku naturalnym, bo są to szopki bez pierdzących metanem żywych wólków.

Na szczęście też dla dzisiejszych Polaków polskich szoppek, nawet tych tradycyjnych, z masła się nie robi.

uświecająca



Co lubi śledzik?

z punktu widzenia wigilijnej atmosfery byłoby to leczenie dżumy cholera.

Na niektórych stołach wigilijnych zamiast grochu z kapustą można spotkać gotowaną fasolę. Tradycja widać każe, aby któreś z dań było wybitnie wiatropędne. Jednak w przypadku fasoli to nie wszystko. Ma w sobie taniny, które wiążą się z wartościowymi aminokwasami, zubożają w nie nasz organizm.

Wszystko to przepijamy kompotem z suszonych owoców. Na większości z nich nastąpiły mikrowykwity pleśni. Nieostrzegalne gołym okiem, ale powodujące, że ich toksyny znajdują się w kompozycji. Suszone śliwki podniosą w każdym ilości czegoś, co nosi nazwę melanche, a jest substancją zawierającą bilirubinę i kwas żółciowy. Jest ona wydzielana

przez wątrobę nie tylko w związku ze spożywaniem śliwek, ale też na skutek nadmiernego stresu, nerwów. Taki zaś kwas żółciowy bierze udział w powstawaniu wielu chorób.

Pora na śledzia w oleju? Olej niesmażony jest spoko, chyba że jest olejem silnikowym. Śledź bałtycki zaś oprócz tego, że lubi pływać, to ma w sobie coś. Tym czymś są bromoorganiczne substancje uniepalniające czy perfluorowane związki alifatyczne – taka dość toksyczna chemia mogąca wywoływać raka, zaburzać pracę mózgu, serca, nerek, układu odpornościowego i rozrodczego. Szwedzi jakiś czas temu zalecili, aby kobiety w ciąży całkowicie wyeliminowały bałtyckie śledzie ze swojej diety. Podobną ulotkę dotyczącą spożywania śledzi przez ciężarne Polki można było kiedyś znaleźć na stronach Państwowego Zakładu Higieny. Tyle że chodziło o obecność w śledziu bałtyckim rakotwórczych dioksyn.

Sprawa poszła jednak dalej. Pojawiły się zalecenia, by kobiety w wieku rozrodczym nie jadły ryb bałtyckich. Są ponoć dowody, że wiele z zawartych w nich substancji może nieodwracalnie uszkadzać komórki jajowe. Faceci też nie powinni. W badaniach wyszło, że ryby z Bałtyku mogą powodować bezpłodność lub pogorszyć jakość spermy nawet o 40 proc.

Może zatem karpia w galarecie? Gotowanie powinno nicenie i ich jajka unieszkodliwić. Dochodzi jeszcze galareta, czyli żelatyna. A tę robi się ze sproszkowanych kości zwierząt, by odebrać im kolagen. Spożywanie żelatyny grozi tylko BSE,



a ponieważ choroba wściekłych krów od dawna nie dawała o sobie znać, więc zagrożenia nie ma.

Na stole jest jeszcze słodkawa mamalyga o nazwie kutia. Czyli gotowana pszenica, mak, orzechy i miód. Mak jest spoko, poza śladowymi ilościami opium niczego złego nie zawiera. Pszenica – jak wiemy – powoduje nadciśnienie, cukrzycę, choroby serca, migreny, bóle stawów, artretyzm, alergię, a pokarmy z nią podnoszą poziom cukru we krwi bardziej niż każda inna żywność. Orzechy strasznie tuczą, a na dodatek są mocnym alergenem.

Zostaje miód, który niektórym alergikom zafunduje przejażdżkę do szpitala. Nie wspominając już o takim drobniaku, że bywają w nim obecne pałeczki jadu kiełbasianego. Wesołych Świąt!

TOMASZ BOROWIECKI

Doroczny festiwal dobroczynności

Okrucuchy do żłoba

Końcówka grudnia to czas magii i cudów. Najgorszy trąd, jaki pustoszy polską ziemię, zostaje uleczony, a zwierzęta, przemawiając ludzkim głosem, radośnie robią pauzę na kąsek z pańskiego stołu. Oszcząć bękartą w stajence, prawdziwe święto to wigilia kapitalizmu deliberatywnego.

Brokat

Przywracanie godności narodu polskiego w obecności setek tysięcy widzów i internautów weszło na stałe do zimowego krajobrazu w kraju nad Wisłą. Zaczyna się niewinnie, migawkami z przygotowań do miejskich wigilii, gdzie pomiędzy organizatorów zapewniających o zapasach kilogramów karpia i kapusty; wstawia się kadry z bezżębnym elementem emerycko-ulicznym, który zapewnia, że nie tylko udział w imprezie weźmie, ale – co najważniejsze – pokaże, jak się cieszy. A radość jest wielka, bo samotność i biedę można pod tą rybą schować i kapustą przykryć, raz do roku, owszem, ale przecież nie da się wszystkim zapewnić wysokich standardów. Właściwie tych minimalnych też nie, a skoro tak, to nie ma co narzekać. Można pochlipać, żeby poszło w prime-timie, to dobre preludium festiwalu wzruszeń. Zbiorowa ejakulacja nad smrodem biedy w okresie okoloświątecznym ma wymiar powszechny i nosi znamiona rywalizacji. Kiedyś w dobrym tonie było nie wycierać po seksie prącia w firankę, współczesnym świadectwem osobowości moralnej jest dawanie (nie mylić ze współdzieleniem!): *Jak co roku przed Świętami Bożego Narodzenia Prezydent RP Andrzej Duda z Małżonką Agatą Kornhauser-Dudą wsparli akcję „Szlachetna Paczka”, przygotowując upominki dla potrzebującej rodziny. (...) W rodzinie jest pięcioro dzieci, z których troje zmagają się z poważnymi chorobami, wymagającymi nieustannej opieki i rehabilitacji. (...) Na potrzeby rodziny zostały zakupione m.in.: potrzebne meble, specjalna żywność, środki higieniczne, ubrania, materiały szkolne, zabawki, gry. Wywichnięte od masturbacji nad samozadowoleniem nadgarstki i pozacierane piekary darczyńców „weekendu cudów”*

Szlachetnej Paczki – podobnie jak bieda – materializują się we wszystkich warstwach sałatki społecznej. Dają firmy, korporacje, samorządy i osoby prywatne. *Jezus powiedział, że trzeba kochać ubogich, a Marks, że trzeba nienawidzić bogatych, i nam się to wymieszało jako jedna religia* – mówił przed laty w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” założyciel i inicjator Szlachetnej Paczki, prezes odpowiedzialnego za nią Stowarzyszenia Wiosna, zanim oskarżony o mobbing zwinął manele. Oj, nam się nie tylko wymieszało, ale wręcz popierdoliło, co gorsza, w drugą stronę.

Smród

Chwilę przed tym, kiedy wyprasowane pudrem gadające głowy w TVN-ie i jemu pokrewnych mediach z patriotycznym namaszczeniem pochyliły się nad potrzebującymi, pod kancelarią premiera przewinął się protest osób z niepełnosprawnościami i ich opiekunów. Nie uśpiły ich gównem warte zapowiedzi rządu o podjęciu prac nad ustawą o asystencji osobistej, co za pech. *Chcę żyć, a nie przeżyć* – głosił jeden z transparentów. *Ja nie uznaję takiej biedy, gdy ktoś mówi, że już nie może, bo to jest objaw de-*

moralizacji – mówił swego czasu księżulo Stryczek i pewnie wielu przyznałoby mu rację. Bo niby skąd na to wszystko brać pieniądze?

Ledwo co premier ulżył przedsiębiorcom uciemiężonym przez wysoką składkę zdrowotną, a paskudna Unia już czyha z kolejnym chomątem. Otwiera bowiem świeży rozdział w zatrudnieniu na platformach cyfrowych.

Nowa dyrektywa przewiduje, że część pracowników wspomnianych platform (np. Glovo czy Pyszne.pl) zamiast dotychczasowego modelu samozatrudnienia może zostać uznana za pracowników etatowych. *Kurierzy będą mogli chorować do woli i świętować do woli, a jedzenia nikt nie będzie wozził, bo cudzoziemiec przyjechał do Polski zarobić jak najwięcej, a nie brać minimalną i mieć 8-godzinny dzień pracy, święta i urlopy* – zdefekował jak na komendę na platformie X były rzecznik małych i średnich przedsiębiorców. Jak wiadomo, faszyzm ma wiele twarzy, ten unijny – w dostępie do świadczeń zdrowotnych, urlopów i zasiłków dla bezrobotnych.

Brud

W odróżnieniu od ubóstwa skrajnego niedostatek bazuje na odmiennych standardach poziomu zaspokojenia potrzeb. Granica sfery niedostatku oparta jest na minimum socjalnym obliczanym przez IPiSS – wyjaśnia GUS. W II kwartale 2024 r. owo minimum dla jednoosobowego gospodarstwa domowego emeryckiego wynosiło nieco poniżej 1,8 tys. zł, dla pracowniczego – ok. 1820 zł, dla czteroosobowej rodziny – już niemal 6 tys. zł. W ubiegłym roku poniżej granicy minimum egzystencji zjechało 6,4 proc. ludzi pracujących.

Złośliwi (jak prof. Ryszard Szarfenberg, autor raportu o ubóstwie Poverty Watch 2024) twierdzą, że to wina tymczasowych umów-zleceń na niskie kwoty i coraz częstsza praca w usługach na część etatu, o fikcyjnym samozatrudnieniu nie wspominając. Na szczęście Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej z siłą i werwą, jakby rodziło bliźniaki, zapowiada, że Państwowa Inspekcja Pracy uzyska nowe kompetencje w walce z tym ostatnim kręgiem pracowniczego piekła. Brzmi równie realnie jak wspomniane prace rządu nad ustawą o asystencji dla niepełnosprawnych. Liczba inspektorów pracy od lat utrzymuje się na stałym poziomie, czyli w okolicach 1500 sztuk. Szacuje się, że do skutecznej realizacji nałożonych na inspekcję obowiązków potrzeba podwojenia kadry. Jednak – o ironio – jak powiedział w jednym z wywiadów szefujący PIP Marcin Stanecki, organ nadzoru nie ma konkurencyjnych wynagrodzeń, dlatego trudno mu pozyskać inżynierów czy prawników, którzy mogliby podjąć się zadań inspektorów. Lepiej nie mówić o tym głośno, bo niedożywionym na pseudoetatach popękają żebra ze śmiechu, a przecież nie pójdą na L4.

Koń zwalony

Kluczowe w pochylaniu się nad biedniejszymi, słabszymi i powiedzmy sobie szczerze – gorszymi – jest to, aby zostali oni tam, gdzie są. Dzięki temu za jakiś czas manewr będzie można powtórzyć. Nikt nie potrzebuje schorowanych, starych i niewydolnych życiowo elementów społeczeństwa, które zagrażają PKB. Ubóstwo ma wiele postaci, a te jeden wspólny mianownik: wpędzają w zły nastrój.

TVN-owska tuba podniecała się tego-roczną rekordową liczbą beneficjentów Szlachetnej Paczki. Winnych nie szukano, bo i po co?

Działalność charytatywna w okresie świąt jest jak coroczny obowiązkowy przegląd instalacji gazowej – musi się odbyć. Glejt w postaci ochłapu rzuconego pod stół zwalnia z odpowiedzialności za błędy systemowe. Deliberacja zaś nad szlachetnym czynem pozwala nazwać się wszystkim z wyjątkiem najbardziej zainteresowanych.

IDALIA DUBICKA



Czas na szczerść, co w dzisiejszej Polsce raczej szkodzi, niż pomaga. Przyjechał otóż do Polski Georgij Zotow, dziennikarz. Rosyjski. No naprawdę, rosyjski. Przyjechał przez Europę – bo wizę Schengen otrzymał z ambasady kraju, który nie kompromituje się kretyńskimi, bo przeciwnie, za kazami wpuszczania na swój teren obywateli Rosji dysponujących legalnie uzyskanymi wizami UE. Przyjechał, by tutaj pracować.

Gościwców, którzy właśnie podrywają się z fotela, by sprokurować mały a zgrabny donosik, że oto właśnie polską ziemię depta swym sowieckim butem rosyjski szpieg, forsujący propagandową wersję ruskiej napaści na Ukrainę, namawiam do wyluzowania. Georgij przyjechał w zupełnie innym celu. Jakim – poniżej.

Datki po terminie

Georgij Zotow realizuje w Polsce, i nie tylko, swój dziennikarski projekt. Postanowił odwiedzić i opisać obozy koncentracyjne i obozy zagłady, wyzwolone przez Armię Czerwoną w latach 1944–1945. Wobec prób pisania historii na nowo przez zachodnich historyków i instytucje – jak na przykład różne instytucje pamięci narodowej, które z kłamstwa uczyniły swą dewizę – Georgij chce sprawdzić, czy ktoś jeszcze pamięta, jak było naprawdę. A jednocześnie zbadać, jak brzmi dzisiejsza narracja w krajach, gdzie obozy te się znajdowały. Poprosił mnie o pomoc na terenie Polski.

Z Georgijem znamy się od 15 lat. Z wykształcenia historyk. Pracuje w tygodniku „Argumenty i Fakty”, od zawsze był reporterem zagranicznym. Łatwiej byłoby wymienić kraje, w których nie był. Rozmawiał z Michaiłem Gorbaczowem, synami Martina Bormanna i Rudofa Hessa, Slobodanem Miloševićem, Butrossem Ghali, Arnoldem Szwarceneggerem. Ale też z więźniami obozów koncentracyjnych i oficerami, obrońcami Moskwy w 1941 i zdobywcami Berlina w 1945, i ze zwykłymi ludźmi. Dużo tego było. „Argumenty i Fakty” to znany tytuł, choć ostatnio gorzej im się powodzi – nakład (papierowy) gazety, wciąż jeszcze wpływowej i popularnej, spadł do zaledwie trzech milionów.

Ten projekt Georgija, by sprawdzić stan ludzkiej pamięci, to rzecz wymagająca niemałych kosztów. Redakcja wahała się, czy ją stać, zatem Georgij zwrócił się do swoich czytelników (a trzeba wiedzieć, że jest on autorem kilku popularnych książek: political fiction i kryminałów). Obliczył, że potrzeba mu będzie ok. 10 tys. euro. Napisał na swoim kanale, na co zbiera. Zebrał w 12 godzin. Ludzie dawali od równowartości 5 zł do okazałych sum. Po osiągnięciu założonej sumy zbiórkę zamknął.

– I natychmiast musiałem stawić czoła gigantycznej fali skarg, pretensji i wprost awantur, bym od tych, co nie zdążyli, pieniądze przyjął – mówi.

To święta sprawa. Proszę w drodze wyjątku przyjąć mój datkę po terminie – napisała jedna czytelniczka. – Większość mojej rodziny zginęła w obozach koncentracyjnych na terenie Polski. Nie mają grobów. Muszę Panu dać pieniądze, inaczej nie będę w stanie spojrzeć ludziom w oczy.

Ludzie prosili, grozili, błagali. Dołączali fotografie dokumentów, pamiątek po zmarłych i zamordowanych w obozach, ich zdjęcia. Opisywali historie, po których nie mogłem spać. A ja wiedziałem, że przyjąć już nic więcej nie mogę. Zebrałem tyle, ile trzeba. Nie mam prawa na tym zarabiać.

Odmówił.

Wasilij Aleksiejewicz śpi spokojnie

Georgij, jak niemal każdy, czyja rodzina żyła w ZSRR w latach II wojny światowej – czy, jak mówią Rosjanie, wielkiej wojny ojczyznianej – ma swoją historię do opowiedzenia. Opisał ją na swoim kanale.

Jeździłem z Roskiem po Polsce. Strasznie mi wstyd. Przed nim.

Dawno, dawno temu żył sobie mieszkaniec Moskwy, Wasilij Aleksiejewicz Prochorow. Mówiąc wprost, żaden bohater. Lubił się napić od święta, ale za to całkiem, całkiem. Z tego powodu nie został przyjęty do partii, chociaż w tamtym czasie był ważnym człowiekiem – całym zastępcą dyrektora sklepu spożywczego, żadnym tam byle kim. Jego żona Elena dokuczała mu z powodu jego szkodliwych nawyków alkoholowych. Jak to żona. Ale ogólnie żyli zgodnie. Urodziło się dwoje dzieci – syn Walia i córka Nina. (...)

Kiedy rozpoczęła się wojna, Wasilij Aleksiejewicz nie został powołany na front: był po czterdziestce, miał papiery. Ale jego syn, Walia, został powołany do wojska, by uczyć się na kierowcę czołgu.

W maju 1943 r. Walia zaginął w akcji w pierwszej bitwie. Jego koledzy napisali, że trafił go pocisk i rozwał na kawałki. Wasilij Aleksiejewicz nie spał tej nocy. Następnego dnia udał się do komisji wojskowej jako ochotnik – aby zażądać zabrania go na front jako prostego żołnierza. Powiedział swojej żonie: – Nie będę mógł spać, dopóki nie zabiję przynajmniej jednego Niemca.

– A jeśli on cię zabije? – zapytała Elena, szlochając. – A jeśli mnie – odpowiedział spokojnie Wasilij – to położę się u boku mojego syna.

Wkrótce wysłał swojej żonie Elenie i córce Ninie list z frontu – radosny, z błędami ortograficznymi. Że zabił Niemca własnymi rękami, w walce: karabin się zaciął, więc skreślił mu kark. Wasilij był silnym człowiekiem – zginął podkowny na wakacjach u krewnych we wsi. *Teraz już mój syn mi się nie śni* – pisał. *Niemiec był młody, jak Walia. Ale nie żał mi go.*

Kule omijały Wasilija: przez dwa lata ani jednej rany. Ale na niecałe trzy miesiące przed zwycięstwem zabili Wasilija Aleksiejewicza: 16 lutego 1945 r. w Prusach Wschodnich. Po wojnie jego żona Elena i córka Nina pojechały odwiedzić jego grób, ale okazało się, że go tam nie ma – pomyłka w liście pogrzebowym. Pochowali go w Polsce. Nigdy nie znalazły mogiły.

Moja babcia, Nina Wasiliewna (Zotowa po mężu), 9 maja zawsze czytała listy swojego ojca – Prochorowa Wasilija Aleksiejewicza, mojego pradziadka. (...)

Właśnie tego Hitler nie wziął pod uwagę w swoim planie Barbarossa. Wziął pod uwagę wszystko – pokonanie ZSRR w 17 tygodni, zdobycie Moskwy i Leningradu. Nie pomyślał o jednym: że miliony prostych ludzi, których dziecko, ojciec, matka, brat, siostra zostali zabici, pójdą na front i gołymi rękami skreślą kark żołnierzowi w szarozielonym mundurze.

I tak właśnie w naszej rodzinie nie został już ani jeden mężczyzna, tylko kobiety. A takich rodzin w ZSRR były miliony. Dlatego Dzień Zwycięstwa był zawsze wielkim świętem w naszym domu. Siadaliśmy do stołu, wspominaliśmy zmarłych, cieszyliśmy się ze zwycięstwa. I nikogo nie uczyliśmy, jak należy się smucić, nie porównywaliśmy Stalina i Hitlera. I nie zajmowaliśmy się głupotami, mówiąc krótko.

To naprawdę wspaniałe święto. To nasz Dzień Niepodległości, dzień, w którym uratowaliśmy nasz naród, a przecież mógł zostać fizycznie zniszczony i nigdy więcej nie istnieć w historii.

Gratulacje dla wszystkich z okazji Dnia Zwycięstwa! Wypijmy za to!

Później, gdy już trochę pojeździliśmy po Polsce, gdzieś między Stutthofem a dziecięcym obozem w Potulicach, opowiedział jeszcze o jednym pradziadku, który po zestrzeleniu jego samolotu, ze złamaną ręką i nogą próbował wrócić do swoich, ale znaleźli go Niemcy już na neutralnym pasie i trafił do obozu jenieckiego w Żaganiu.

– Wyzwolili go czerwoonoarmiści w ostatnim momencie. Wszyscy byli na skraju śmierci głodowej. Cienkie ręce i nogi jak patyki, wielkie, napuchnięte brzuchy. Żołnierze, wspominał pradziadek, płakali, jak ich widzieli. I, nieświadomości zasad, karmili ich, ile kto chciał. Wielu potem umarło. Po wojnie wrócił, pracował jako kierowca. Do lotnictwa go nie przyjęli, bo był w niewoli. Choć order Czerwonego Sztandaru dali za wszystkie zestrzelone Messerschmitty.

W momencie otwarcia bram

Pierwszy był Majdanek. Zwiedzanie obozu zagłady w piękną pogodę ma w sobie coś nie-

rzeczywistego. Ciepłe promienie słońca czynią baraki miejscami nieledwie przytulnymi, pachnącymi nasmołowanym drewnem. Dużo przestrzeni. Dopiero na historycznych zdjęciach widać, że kiedy stały tu trzypiętrowe prycze, na których ludzie upchani byli jak beły materiał, wychudzeni, z wielkimi oczami nad kośćmi policzków z naciągniętą skórą – przestrzeni nie było tu wcale. Część pracowała, część od razu trafiała do gazu. Komory gazowe i piece krematorium zachowane są całkiem nieźle. Osiedle nowych bloków, nieodległe od terytorium obozu, pięknie się komponuje z sielską atmosferą tego miejsca w ów nad podziw ciepły jesienny dzień. Myślę sobie, że mieszkańcom tego osiedla musi być całkiem miło – tak wyjść w taką pogodę na obszerny balkon, usiąść na stołeczku z kawą w rękę i paść oczy cudnym widokiem równiutkich rzędów baraków, kominem krematorium i pomnikiem kopca usypanego z popiołów spalonych tam ludzi.

23 lipca obóz w Majdanku został wyzwolony przez wojska radzieckie 2. Armii Pancernej gen. płk. Bogdanowa i 28. Korpusu Piechoty Gwardii z 8. Armii Gwardii gen. płk. Czujkowa. To akurat wiem ze strony IPN. Bo w samym obozie się tego nie dowiem. Jeśli chodzi o wyzwolenie, to na fotografiach są amerykańscy żołnierze, którzy wyzwolili Dachau. Jaki to ma związek z Majdankiem, nie mam pojęcia, ale dobrze się zakotwicza w głowie, że wyzwoliciele to Amerykanie.

Pierwsze dane mówiły, że obozie przebywało 1,5 mln ludzi, zginęło 300 tys., z czego 200 tys. Żydów i 100 tys. Polaków. Teraz, jak informują źródła, ostatnie badania wskazują, że tamto



Wiktor Pirogow



Zamknięta wystawa w Oświęcimiu

było kłamstwem: więźniów było 10 razy mniej, bo tylko 150 tys., a zostało zamordowanych 80 tys., z czego 60 tys. Żydów.

– Ty, a czemu pokazują wyzwolenie Dachau przez Amerykanów? Nie mają zdjęć z wyzwolenia przez Armię Czerwoną? – pyta Georgij. – Jak chcą, to ja im wysłę trochę.

Nie jestem w stanie odpowiedzieć żadną błyskotliwą ripostą.

Po Majdanku: dziecięcy obóz koncentracyjny w Łodzi (Litzmannschaft). Długo szukamy śladów obozu, położonego na terenie miasta Łodzi. Przez obóz przeszło, wg różnych szacunków, od 3 tys. do 12 tys. dzieci. Ta mniejsza liczba za źródło przyjmuje dodatek historyczny do łódzkiej gazety i ustną wypowiedź pracownika łódzkiego IPN. *Tomasz Tóbrek z Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Łodzi po raz*

kolejny powrócił do tej kwestii na łamach prasy, stwierdzając, że informacje podające liczbę ofiar od 12 do 15 tysięcy dzieci są niezgodne z faktami historycznymi...

Biorąc pod uwagę zeznania byłych więźniów, wiadomo, że przez dwa lata nie mogło przez ten obóz przejść więcej niż trzy tysiące dzieci. Wiadomo również, że nie wszystkie zmarły. Skąd wiadomo, że nie mogło? Nie wiem.

Większa liczba podawana jest przez Józefa Witkowskiego w jego monografii o dziecięcym obozie koncentracyjnym. *Książka przeszła redakcję między innymi Profesora Piłchowskiego, dyrektora Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce w latach 70. i wczesnych 80. (do 84 roku) – czytam w recenzji.*

Według polskiej wersji Wikipedii to był, owszem, ciężki obóz, ale przecież nie było w nim tak



Instalacja w Dzierżni: o obozie koncentracyjnym dla dzieci i o napaści Rosji na Ukrainę



Zawiadomienie o śmierci Wasilija Prochorowa, doręczone jego córce, tzw. pohoronka

wiele dzieci. No i *nie wszystkie zmarły*. Jak podaje też to samo źródło: *Obóz funkcjonował do końca okupacji niemieckiej w Łodzi, czyli do 19 stycznia 1945 roku. W momencie otwarcia jego bram przebywało w nim około 800 małoletnich więźniów.*

Kto otworzył te bramy, dlaczego się otworzyły, czemu obóz przestał funkcjonować? Nie wiadomo. Owszem, 19 stycznia wojska Armii Czerwonej zdobyły Łódź, ale to przecież kompletnie bez znaczenia. Po prostu *otworzone bramy* obozu koncentracyjnego dla dzieci w Łodzi i już.

Po trzecim pytaniu Georgija, czy gdzieś jest jakaś wzmianka, kto wyzwolił miasto i obóz, warczę na niego, żeby dał mi spokój, bo przecież wie, że wzmianki, informacji czy choćby sugestii nie ma i nigdzie na terenie tego piekła dla dzieci (od 2 do 14 lat) w Łodzi nie będzie.

Potem pojechaliśmy do filii tego obozu, przeznaczanej dla dziewcząt, we wsi Dzierżna. Tu już mamy rosyjski ślad. Obok walącego się budyneczku stoją konstrukcje, na których są archiwalne zdjęcia i fragmenty listów dzieci do rodziców w czasie II wojny światowej. Obok fragmenty listów, pisane przez ukraińskie dzieci do swoich ojców walczących na froncie z rosyjską armią od 2022 r. Jaki to ma związek? Żadnego, ale nazwa zobowiązuje: „Muzeum dzieci polskich, ofiar totalitaryzmu”. To czytelny chwyt: ZSRR = III Rzesza. Nikt tu nikogo nie wyzwalał, Ruscy tacy sami jak hitlerowcy.

Georgij nie mówi nic, prosi tylko o tłumaczenie poszczególnych wpisów.

Prowokacja stutthofska

Stutthof. Zotow szybkim krokiem wychodzi z baraku.

– Trzeba zaraz zawiadomić policję albo wasze odpowiednią służbę. Tu ma miejsce jakaś strasza na międzynarodową prowokację.

– Co jest?

– Sam zobacz.

Wchodzę do baraku, a tam jedna cała sala poświęcona jest wyzwoleniu obozu przez żołnierzy Armii Czerwonej. Nie dość, że wiszą zdjęcia dowódcy oddziału, który wszedł jako pierwszy do obozu, to są też zdjęcia całej grupy czerwonoarmistów. Wymienieni są niektórzy z nazwiska. Piśze się o nich *wyzwoliciele, że wyzwolili obóz*. Nie wiem, czy nie dotarł tu jeszcze IPN z najnowsza wersją historii, czy zabrakło funduszy na zmianę ekspozycji, czy może udało mi się trafić na wystawę autora, dla którego słowo uczciwość nie jest pustym dźwiękiem – ale wychodzę stamtąd z rozdziawioną gębą.

Georgij kontynuuje:

– Daj numer do policji, albo nie, lepiej sam zadzwoń. Tak nie może być, żeby ludzie wie-

dzieli, że wolność więźniom przynieśli Rosjanie, nie stój tak, rusz się!

Wiem, że żartuję, ale mój rosyjski przyjaciel oczy ma bez uśmiechu. Żartuję, bo nie ma pod ręką już żadnej innej reakcji. Uśmiecham się półgębkiem, żeby wiedział, że zrozumiałem jego intencje.

Auschwitz.

To przynębiająca wycieczka. O wyzwoleniu obozu przez radzieckich żołnierzy nie ma co opowiadać. Przed salą poświęconą temu wydarzeniu jest tabliczka, że ekspozycja zamknięta jest od maja 2022 r. do odwołania. Rozumiem, że odwoływać będzie ją zakończenie wojny rosyjsko-ukraińskiej. Ale akurat ten obóz zagłady ma długą kartę zakłamywania historii.

Pamiętacie Grzegorza Schetnę, który – piastując wówczas stanowisko ministra spraw zagranicznych – ogłosił, niby półżartem, że obóz wyzwolili Ukraińcy? A gdy oburzenie zaczęły wyrażać środowiska byłych żydowskich więźniów Auschwitz, to Schetna odpowiedział, że przecież wyzwolili go żołnierze I Frontu Ukraińskiego – czyli Ukraińcy. I rozciągał usta w uśmiechu, który trudno nazwać inaczej jak uśmiechem idioty – bo przecież wiedział, że kłamie i że ludzie wiedzą, że on wie, że kłamie.

W 2015 r. nie zaproszono prezydenta Rosji na 70. rocznicę wyzwolenia obozu, a tłumaczenia oficjalnych przedstawicieli polskich władz były równie kuriozalne, jak głupie. Potem na rocznicowe uroczystości przestano zapraszać nawet rosyjskiego ambasadora.

Oswobodzenie

Неэвакуированные узники обрели свободу между 7 и 9 мая. В ужасные в лазарете Dörrnhau. «Пол был покрыт на несколько сантиметров обуви и более или менее, растворившиеся куски кала. У самых нар, и женские трупы в самых неправдоподобных позах, чаще всего на жи в мочу. Останки умерших узников лежали также на нарах, между тел жизни. Те, кто ещё оставался в живых, поглядывали на, стоящую у д выражения, взглядом». [А. Мостович] После освобождения некотор Т. Цитрона, занялись организацией госпиталей для тяжелобольных лей. В месте Zentralrevieru Tannhausen был основан госпиталь „Blut госпиталь „Bahnhof“. Госпитали были созданы также в Глушине, на т

Opis jednej z gablot w muzeum w Gross Rossen, że „otrzymali niepodległość”, po rosyjsku

Udawanie, że w czasie II wojny światowej Rosji albo nie było, albo to ona rozpoczęła tę wojnę, a Zachód z Hitlerem na czele broniił zdobyć cywilizacji zachodniej, nie jest tylko polskim pomysłem. Obóz Salapsils na Łotwie był również obozem dla dzieci, ale specyficznym. Tu dzieci służyły przede wszystkim jako obiekty medycznych eksperymentów, w tym – do pobierania krwi. Niektórzy twierdzą, że to była krew dla niemieckich żołnierzy, niektórzy tę wersję odrzucają, twierdząc, że pracowano nad sposobami konserwowania krwi lub szpionką na tyfus plamisty. Pozostaje faktem, że nieformalnie był to dziecięcy obóz koncentracyjny. Ile dzieci tam było, nie wiadomo, według jednych szacunków 12 tys.; według innych – 2 tys. Zginęło, według źródeł radzieckich i rosyjskich, co najmniej 632 dzieci – tyle znaleziono dziecięcych szkieletów w jednej ze zbiorowych mogił.

Łotewska oficjalna wersja twierdzi, że był to wychowawczy obóz pracy, dzieci tam wcale nie zabijano umyślnie, choć nie wyklucza się, że niektóre mogły umrzeć od trudnych warunków. I żadnych eksperymentów medycznych tam nie prowadzono. Po prostu kolonia wychowawcza.

– Jak to, wychowawcza? – Jewgenija Gorbunowa z trudem łapie oddech. – Nas tam męczyli, zabijali. Krew dawali rannym żołnierzom, których przywozili z frontu. Dzieci, szczególnie młodsze, umierały często, z głodu i tęsknoty. Często zdarzało się tak, że któreś podczas posiłku spadało na podłogę, ale myśmy się nie schylali, by pomóc, tylko jak najszybciej dojadaliśmy z jego miski...

W Gross Rosen zaraz przy wejściu mówi się o Związku Radzieckim. Ze 17 września napadł na Polskę i jak władze ZSRR represjonowały Polaków podczas okupacji i po niej. Mówi się o wcielaniu na siłę Polaków do Armii Czerwonej. O I i II Armii Wojska Polskiego nie mówi się wcale. A o wyzwoleniu pisze się w ekspozycji, że więźniowie *użytkali wolność*. Od kogo, jak, dostali pod choinkę, kurier przyniósł? Jakim trzeba być sukinsynem bez czci i sumienia, żeby pisać

coś takiego w miejscu, w którym ludzie ginęli jak muchy, a przestali ginąć, gdy przyszli tam żołnierze z furażerkami z czerwoną gwiazdą.

...

Żegnamy się z Georgijem we Wrocławiu. Stąd pojedzie do Terezina w Czechach, gdzie będzie go pilotować miejscowy obywatel. Uświadamiam sobie, że nie zapytałem go ani o wrażenia, ani o to, co myśli o Polsce i Polakach, ani o to, czy kiedykolwiek spodziewał się zobaczyć, to co zobaczył. Nie zapytałem, bo wiem, co by odpowiedział.

To się dzieje krok po kroku. Od okraszonego uśmiechem debila zdania, że w składzie I Frontu Ukraińskiego walczyli Ukraińcy, poprzez niedopuszczenie do złożenia wieńców na cmentarzu żołnierzy radzieckich w Warszawie, aż do tekstu premiera Tuska, że *wojna przyszła ze Wschodu*. Jeszcze niedawno nie myślałem, że to w ogóle możliwe, że można zaprzeczać faktom. Otóż można. Bez problemu. Już nawet pamiętne zdanie Pawła Hertza o radzieckich żołnierzach, dzięki którym przestały dymić kominy Majdanka i Oświęcimia – że *oni nas nie wyzwolili, oni nas ocalili* – straciło swój głęboki sens. Stało się niepotrzebne, bo dzisiaj prawda stała się niepotrzebna.

Dzisiaj obowiązuje opowieść o wojnie, która przyszła ze Wschodu i pouczenie posłanki Żukowskiej adresowane do kanclerza Scholza: że Roskim nie można ufać, bo w 1944 r. Armia Czerwona nie zatrzymała się na linii Bugu, tylko doszła do Berlina.

– Ona naprawdę tak powiedziała?

– Naprawdę, Georgij.

– A czy to prawda, że ona jest Żydówką?

– Prawda.

– Czy ona naprawdę nie rozumie, że jej by nie było na świecie, kretyńki jednej?

– ...

– No tak... To do zobaczenia kiedyś.

MACIEJ WIŚNIEWSKI

Gen polskiej władzy

Polską suwerenną I Rzeczpospolitą rządzili cudzoziemscy migranci zarobkowi.

Polscy narodowo-katoliccy patrioci czczą I Rzeczpospolitą. Stawiają ją za wzór polskości i suwerenności. To tamta Rzeczpospolita, zmitologizowana Sarmacja, miała potężny gen polskości, to z niej poczęli się wszyscy dzisiejsi prawdziwi Polacy.

Ta pierwsza Rzeczpospolita napawa ich dumą, bo koronę królewską nosiła, była bogata, imperialna, przodująca we wszelkich kategoriach polskości. Była też w ich mniemaniu Polską czysto polską, rządzoną przez prawdziwych Polaków w interesie Polaków. Ale pozwalającą też żyć w niej tym nie-Polakom. Tolerancyjną wobec nich, bo każdy wie, że Polacy zawsze słynęli ze swej gościnności i tolerancji wobec innych.

Piastowie, czyli kto

Jednak wszelkie dostępne źródła historyczne wskazują, że pierwszy zapisany w szkolnej historii władca Polski

książę Mieszko I zapewne nie był świadomy, że jest władcą polskiego państwa. Zapewne nie czuł się Polakiem. Historycy spierają się o jego narodowość.

Być może był skandynawskim wikingiem, bo miał gwardię złożoną z tamtejszych zabijaków. Być może nie miał sprecyzowanego poczucia swej narodowości. Na pewno czuł się władcą – szefem tworzonej struktury państwowej.

Jego państwo, jak każda korporacja, wymagało profesjonalnej kadry. Rządzeni przez niego pra-Polacy nie mieli kompetencji ku temu. Dlatego Mieszko do wojennej roboty wynajmował skandynawskich migrantów zarobkowych, a do administracji państwowej – chrześcijańskich mnichów. Przede wszystkim z ówczesnych Czech, bo z niemieckimi sąsiadami walczył. Dlatego wszedł w kontrakt małżeński z czeską księżniczką Dobrawą i nawet się ochrzczył. Kiedy dokładnie to uczynił, nie wiadomo. Może w roku 966. Ochrzcili się pewnie też jego współpracownicy. Lud polski jeszcze nie, bo wtedy nie budowano kościołów dla ludu.

Budowa korporacji, która stała się potem Koroną polską, wymagała stałego dopływu gotówki. Wówczas uzyskiwało się ją, rabując bogatszych sąsiadów, nakładając cła, opłaty targowe, podatki. Niestety ówczesni bogaci sąsiedzi Mieszka byli silniejsi militarnie od niego, ziemie przyszłej Korony były bidne, bez miejskiej, czyli rzemieślniczo-handlowej, infrastruktury. Dlatego pierwszy władca Polski budowę przyszłej Korony finansował z handlu niewolnikami. Sprzedawał swych poddanych i słowiańskiego pochodzenia, czyli ówczesnych Polaków, bogatym muzułmanom z dzisiejszej Syrii, Iraku, Jordanii, Egiptu. Dziś wielu tamtejszych mieszkańców ma słowiańskie geny. Należy im się Karta Polaka jak psu buda.

Kiedy Mieszko ochrzczył się, nowa religia zabraniała mu sprzedawania ludzi wrazym muzułmanom. Wtedy sprzedawał pra-Polaków handlarzom ludźmi żydowskiego pochodzenia, a oni opylali ich przyszłym dźihadystom.

Sprzedawał naszych przodków tak masowo, że w języku łacińskim, a dziś angielskim, słowo *Slave* ma dwa znaczenia. Słowianin i niewolnik.

Jego syn i pierwszy koronowany król polski Bolesław Chrobry etnicznie był pół-Czechem. Po matce. Ojciec jego, jak już wiecie, miał nieświadomą narodowość. Może był Norwegiem, a może chłopakiem z ówczesnego Jarocina. Gdyby Czesi mieli zasady jak Żydzi, to ten polski król byłby etnicznie Czechem. Co wtedy wstydem nie było.

Opcja niemiecka

Syn króla Bolesława, też król Polski zwany Mieszkim II, miał ojca, który narodowościowo na pewno był w połowie Czechem. Druga połowa jest etnicznie nieznana. Po matce, księżniczce Emnildzie, Mieszko II odziedziczył geny lużyckie. Szybko przyjął jednak opcję niemiecką, bo ożenił się z Niemką. Księżniczką Rychezą, wnuczką niemieckiego kajzera Ottona II.

Zatem jego syn, książę polski Kazimierz I zwany Odnowicielem, był Niemcem po matce i Czechem po ojcu i dziadku.

Jego najstarszy syn, Bolesław II zwany Śmiałym, też polskim królem został. Choć narodowościowo po ojcu był Niemco-Czechem, a po matce, księżniczce Dobroniedze, pół-Ukraińcem.

Po śmierci polskiego króla Bolesława II, etnicznie Niemco-Czecho-Ukraińca, rządził jego brat Władysław I Herman. Nie walczył o polską koronę królewską, przyjął jawnie opcję niemiecką. Pewnie dlatego dostał przydomek *Her Man*.

Za to jego młodszy syn, Bolesław III Krzywousty, choć korony polskiej nie odzyskał, to skutecznie powiększał swe księstwo, walcząc z opcją niemiecką. Po matce był Czechem, a po ojcu odziedziczył geny ukraińskie i niemieckie.

Bolesław III podzielił swą Polskę pomiędzy pięciu synów. Zapoczątkował tym powstanie Polski dzielnicowej rządzonej przez pączkującą dynastię Piastów.

Piastowie mnożyli się, kopulując z Niemkami, Czeszkami, Ukrainkami, Węgierkami, Litwinkami i swą piastowską rodziną. Kopulacja Piastów z Piastami przyniosła wiele chorób zwanych dziedzicznymi. O posiadaniu ich świadczą ich przydomki. Dwójkę książąt zwano Laskonogimi, jeden był Płatonogi. Innego zwano Noszak, bo z powodu zaawansowanej podagry noszono go w lektyce. Byli Biali, czyli albinosi. Wielu z nich miało problemy z psychiką. Traumą miał każdy i każda też.

Koronę polską odzyskał po ponad stu-letniej przerwie książę Przemysław II. Syn polskiego księcia poznańskiego Przemysła I i Elżbiety, córki wrocławskiego księcia Henryka Pobożnego. Miał zatem gen polski.

Był władcą aktywnym. Kazał zabić swą żonę Ludgardę. Co ówczesna opinia publiczna przyjęła ze zrozumieniem, bo Ludgarda była bezpłodna i niemieckiego pochodzenia. A wtedy nurt narodowy rósł w Wielkopolsce. Niestety, Przemek II lubił wypić, jak to Polak. Kilka miesięcy po koronacji balangował z kolesiami podczas ostatków w Rogoźnie. W czasie imprezy ktoś zabił pijanego króla. Potomni oskarżyli Brandenburczyków, czyli Niemców, bo tego wymagała ówczesna poprawność polityczna, ale twarde dowody nie było. Cóż, jaki melanż, takie życie.

Kolejnym polskim koronowanym królem był Wacław II, jawny rodowity Czech. Fachowiec. Wprowadził w państwie polskim urząd starosty, istniejący do dzisiaj. Przeprowadził reformę monetarną, dał Polsce silną walutę. Ponieważ był reformatorem, a nie przegranym wodzem, to nie jest popularny i szanowany w polskiej szkolnej historii.

Kiedy umarł, jego syn Wacław III, też Czech i prawowity następca polskiego tronu, zachował się jak Polak. Popił w Ołomuńcu, jak Przemek II w Rogoźnie. Potem miał wezwać panienki. Podczas bara-bara ktoś zaszytłował króla Wacka. Sprawcy nie znamy, bo wszyscy byli pijani.

O podżeganie do tego morderstwa oskarżano kolejnego króla Polski Władysława I Łokietka. Etnicznie Polaka, bo syna trzeciorzędnego kujawskiego księcia Kazimierza i drugorzędnej śląskiej Piastówny księżniczki Eufrozyny.

Kiedy ten Władek został księciem, miał jedynie ok. 140 cm wzrostu, wysoki wskaźnik braku wiedzy i doświadczenia politycznego. Ponościł klęskę za klęską. Ale miał dwie zalety. Szybko się uczył i żył bardzo długo. Przeżył swych konkurentów jako mąż stanu.

Dodatkowo miał syna Kazimierza III zwanego potem Wielkim. Etnicznego Polaka, bo z matki Polki – Jadwigi Bolesławówny z prowincjonalnego Kalisza. Jego ojciec przez lata miał tak marne notowania, że żadna cudzoziemska księżniczka nie chciała się wydać za takiego gołodupca.



Żydowski król i królowa polski

Kazimierz III dowiódł, że Polak potrafi. Uznał, że najważniejsza jest gospodarka, i wielce zmodernizował państwo polskie. Nie udało mu się jedynie zapewnić swego polskiego następcy tronu.

Ale może i lepiej, że tak się stało. Może rozumny Kazik miał już dość mieszaniny w tych degenerujących się Piastach. Oddał „murowaną” Polskę Europejczykom.

Władza importowana

Po Kaziku Wielkim państwem polskim i Polakami rządzić zaczęli jawni cudzoziemcy. Najpierw Ludwik Węgierski. Po ojcu Węgier, a po matce, córce Łokietka, jeszcze pół-Polak. Potem królową została jego córka Jadwiga. Spłodzona przez węgiersko-polskiego ojca, urodzona przez Elżbietę z Bośni.

Następnie Polską długo rządził importowany z Litwy Władysław II zwany Jagiełłą. Po ojcu Litwin, po matce Ukrainiec. Miał on z ukraińską żoną synów Władysława i Kazimierza. Obaj byli królami polskimi. Etnicznie byli ćwierć Litwinami i w trzech ćwiertciach Ukraińcami.

Król Kazimierz miał trzech synów, też polskich królów.

Jan Olbracht, Aleksander i Zygmunt I Stary byli po matce austriackimi Niemcami, po ojcu Litwino-Ukraińcami. Warto przypomnieć, że austriackim Niemcem był też Adolf Hitler.

Syn Zygmunta I Starego, kolejny król polski Zygmunt II August, był etnicznie po matce Włochem, a po ojcu litwino-ukraińco-niemiec-kim Austriakiem.

Po śmierci Zygmunta Augusta wygasła w Polsce dynastia Jagiellonów.

Dzięki niej Korona dostała rozległe ziemie ukraińskie, zwane potem Kresami. I jak to zwykle z podarunkami jest, tak i z tymi Kresami było. Polacy litewskiego podarunku nie szanowali.

Europejska menażeria

Po bezpotomnej śmierci Zygmunta Augusta dzielni Polacy uznali, że żaden Polak nie nadaje się na polskiego króla. Wybrali sobie Henryka Walezego. Etnicznie pół-Francuza i pół-Włocha. Kiedy importowany władca poznał

polskie realia, to porzucił tron polski i uciekł do Francji.

Po nim polscy patrioci wybrali na swojego króla Węgę z Siedmiogrodu. Ten wytrwał na tronie. Bo najpierw nie miał dokąd uciec. A potem przewlekłe choroby związały go z Polską aż do śmierci.

Po nim patriotyczni Polacy wybrali królem Zygmunta III Wazę. Etnicznie pół-Fina, pół-Polaka. W pakiecie z nim dostali też długoletni konflikt ze Szwecją.

Potem Polacy wybrali na króla syna Zygmunta III Wazy, znanego jako Władysław IV. Etnicznie ćwierć Polaka, ćwierć Fina i w połowie niemieckiego Austriaka.

Władysław IV miał szansę zostać też carem w Moskwie, gdyby przeszedł na prawosławie. Ale gen katolicki nie pozwolił mu na to. Sto lat później jedna prowincjonalna niemiecka księżniczka dostała podobną propozycję. Przeszła na prawosławie i została carycą Katarzyną II.

Gen katolicki nie oponował za to, kiedy Władek państwową kasę zamiast na wojsko, to na panienki wydawał. Panienki nie najświętsze.

Po chutliwym Władku IV Polacy wybrali królem jego brata Jana Kazimierza. Też cudzoziemskiego nieudacznika. On to koronował na królową polską znaną częstochowiankę, czarną Żydówkę, migrantkę z Ukrainy, czyli Matkę Boską Częstochowską.

Zniesmaczeni skandynawskimi genami Wazów, polscy patrioci wybrali potem kreującego się na obywatelskiego swojaka Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Etnicznie pół-Polaka i pół-Ukraińca. Ten zajmował się przede wszystkim obżarstwem. I umarł z tej pasji.

Po nim wybrano Jana III Sobieskiego. Etnicznie Polaka z ukraińskimi genami.

Był on zdecydowanie za bardzo wykształcony i za mądry jak na oczekiwania polskich patriotów. Za co ukarano potem jego syna. Profilaktycznie utracając jego kandydaturę na władcę Polski.

Potem polscy patrioci wybrali na króla Augusta II. Księcia Saksonii, czyli Niemca. Ten od razu wciągnął Polskę w swoje wojny.

Kiedy umarł, pojawiła się kandydatura Polaka Stanisława Leszczyńskiego. Okazał się znów zbyt mądry i po chwili królowania musiał szukać roboty na emigracji. W imieniu francuskiego króla zarządzał Alzacją i Lotarynią. Zapamiętano go tam jako dobrego gospodarza dbającego o rozwój i bogactwo tego regionu.

W Polsce polscy patrioci wybrali syna Saksonii i Augusta II. Zwanego potem Augustem III. Jego panowanie jest dziś synonimem okresu ciemnoty i regresu gospodarczego.

Ostatnim królem I Rzeczpospolitej wybrano Stanisława Augusta Poniatowskiego. Miał dobry gust i smak kulturalny. Charakteru władcy już nie.

Oni

Pomiędzy I Rzeczpospolitą i odrodzoną II Rzeczpospolitą ziemie polskie należały do różnych niesuwerennych polskich księstw, królestw i w końcu trzech suwerennych cesarstw. Ówczesnymi ziemiami polskimi władali królowie pruscy i sascy, carowie rosyjscy, cesarzowie austriaccy i niemieccy.

Chociaż wielu z nich było naprawdę pierwszorzędnymi władcami, to nie zostali wpisani w szkolne pocztę królów i książąt polskich. A niektórzy przeprowadzili na tych ziemiach gruntowne, oczekiwane przez wieki reformy.

Bardziej zmodernizowali polskie społeczeństwo niż importowani przez polskich patriotów też cudzoziemscy władcy.

Odrodzona w 1918 r. II Rzeczpospolita została republiką. Choć jej orzeł bezprawnie zachował królewską koronę. Jej pierwszy demokratycznie wybrany prezydent Gabriel Narutowicz został rychło zamordowany przez polskiego „patriotycznego” zamachowca.

Bo zdaniem prawdziwych Polaków nie miał Narutowicz wystarczająco silnego genu polskości.

PIOTR GADZINOWSKI

Nostalgia po naszymu

Tęsknota za światem, którego nie było

Ech, kiedyś to człowiek mógł wypić, zakąsić domowym ogórkiem kiszonym... A dziś? Wszystkiego lekarz zabrania, to ci szkodzi, tamto ci szkodzi, za duży cholesterol, za mało zrobionych dziennie kroków. Lepiej kiedyś było – tak pewnie wygląda nostalgia w oczach niejednego wujka Edka, z którym można się spotkać na rodzinnych uroczystościach. A i ciocia Wieśka przy takich okazjach lubi powspominać, jacy kiedyś faceci byli męscy i rycerscy, a nie stado mięczaków, którzy, gdy zobaczą małą myszkę, gonią do psychoterapeutki.

Nostalgia, czyli tęsknota za widzianną przez różowe okulary przeszłością, to przypadłość wielu jednostek. Lecz istnieje też nostalgia społeczna, która ma duże znaczenie nie tylko dla tych, którzy ją podzielają, ale i dla wszystkich innych. W epoce coraz szybszych i coraz głębszych zmian, sztucznej inteligencji, światłowodów, mediów społecznościowych, nostalgia dotyka ludzi w różnych miejscach na świecie. Za przeszłością nie taką, jaką była, lecz taką, jaką chcielibyśmy, aby ona była.

wrocki w serwisie Niezależna pisał parę tygodni temu: *Męczeństwo 37-letniego ks. Jerzego Popiełuszki – porwanego przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, torturowanego i w końcu zamordowanego – było ciemnym ukoronowaniem drogi, którą obrał i którą konsekwentnie kroczył ten wielki kapłan. Zawsze wierny Bogu, odważnie służący drugiemu człowiekowi i kochający Polskę.*

Wiadomo, że nic tak nie ożywia prekampanii prezydenckiej jak trup. Nawrocki trochę ogrzał się w cieniu męczeństwa. I każdy zrozumiał, że gdyby Popiełuszko mógł głosować, wybrałby człowieka PiS-u. A tu jak na złość 30 opozycjonistów w liście otwartym go zjebało, pisząc m.in.: *Jesteśmy oburzeni, że prezes Karol Nawrocki korzysta ze wsparcia IPN w swojej kampanii politycznej. Oficjalne serwisy społecznościowe IPN promują jego kandydaturę. Jako działacze opozycji antykomunistycznej wielokrotnie krytycznie ocenialiśmy IPN za fałszywe przedstawianie polskiej historii. Teraz zostały przekroczone kolejne granice.*



Jako iż własna koszula bliższa cię niż cudza, warto przelecieć lotem koszącym nad nostalgią, której duchy unoszą się nad obecną polską polityką.

Duchy poczęte na styropianie

Ludzie, którzy urodzili się u zarania kapitalistycznej Polski, są w połowie czwartej dekady życia. A jednak media głównego nurtu wciąż każą szczególnie wsłuchiwać się w głos opozycjonistów z czasów komuny, choć to dziwne, że ktoś przez parędziesiąt lat po końcu PRL dalej żyje przewagami historycznymi. Przypomina to słynnych chińskich aparatczyków, którzy dobrze po osiemdziesiątce wciąż byli działaczami młodzieżowymi.

Solidaruchy pamiętające, jak swego czasu spali na styropianie w zakładach pracy, wypowiadają się na prawo i lewo o wszystkim. Są słuchani, przynajmniej oficjalnie, z szacunkiem, wszak pokonali oni radzieckie (w ich nomenklaturze: sowieckie) Imperium Zła, cierpieli w stanie wojennym. Bez ustanku przypomina się „karnawał Solidarności”, kiedy to naród podobno zjednoczył się przeciw wspólnemu wrogowi.

Najzabawniej, gdy ci wszyscy opozycjoniści biorą się za łby, powołując się na swoją kartę kombatancą, rzekomo przydającą ich słowom wagi i powagi. Najlepiej zaś powoływać się na martyrologię, bo jak powszechnie wiadomo, Polak to masochista, który lubuje się w cierpieniu. Polak radosny to nie-Polak, wszak nie sposób się cieszyć, gdy wrogowie wciąż dybią na Ojczyznę Jana Pawła II pod opieką Matki Boskiej Częstochowskiej.

Szef IPN i kandydat niezależny Prezesa na prezydenta dr Karol Na-

Dr Nawrocki przytomnie odpowiedział, że wśród popierających go na najwyższy urząd w państwie są oczywiście także wybitni działacze opozycji antykomunistycznej.

Nostalgia za „karnawałem Solidarności”, a nawet w jakimś sensie stanem wojennym, jest tęsknotą za prostym jak włos Mongola światem, w którym role są rozpisane: my jesteśmy dobrzy, oni są źli. My jesteśmy mądrzy, oni są głupi. My stoimy po słusznej stronie historii, oni to obrońcy reżimu. My to gorący patrioci, oni to zdrajcy ojczyzny.

Świat dzisiejszy jest zbyt skomplikowany i złożony, niejednoznaczny i – jak by powiedział Zygmunt Bauman – płynny, aby powyższa wizja miała w ogóle zastosowanie. A jednak nawet ludzie, którzy tych czasów nie pamiętają, zakochani bywają w tej komiksowej wizji.



KIEDYŚ WÓDKA BYŁA BYŁA INNA!
... ZDROWA BYŁA!



Wyklęci, czyli błogosławieni

Narodowcy nieszczególnie się jarają Solidarnością. Tęsknią za silniejszymi emocjami, podziękując wrogość wobec komuny, składając hołdy żołnierzom wyklętym, choć tak naprawdę w mediach, edukacji czy w IPN-owskiej propagandzie – błogosławionym.

Owi wyklęci wszak z bronią w ręku skutecznie bojowe hasła wymierzone w Polskę Ludową. Śmierć wrogom ojczyzny. Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę. A na drzewach zamiast liści wisieć będą komuniści. Jak to w kapitalizmie, gdy jest popyt, jest i podaż. Pojawili się firmy – z których najbliższa jest miła sercu Dudy i Morawieckiego Red is Bad – zaspokajające potrzebę noszenia tzw. patriotycznej odzieży.

Koszulki i bluzy z wyklętymi często są ozdobione podobiznami wilków, co tłumaczy napis na pewnym T-shirtcie: *Ponieważ żyli prawem wilczym, historia głucho o nich milczy. Możemy spotkać też napisy: *Żołnierze wyklęci. To historia tej ziemi. Za nią przelewali krew. Oczywiście się też klasyczne: *Bóg, Honor, Ojczyzna. Plus hołdy dla konkretnych ludzi, np. „Inki” czy „Lalka” (Józef Franczak), ostatniego z wyklętych, który walczył z komuną z bronią w ręku jeszcze w roku 1963 r. Wydaje się, że władze PRL popełniły gruby błąd, zabijając go w potyczce – człowiek był faktycznie uzbrojony i niebezpieczny, ale raczej nadawał się do psychiatryka.***

Gówniarze i gówniary, a także starsze idiotki i debile (tu uwaga: nie od-

nosimy tej inwektywy, rzecz jasna, do prezydenta pewnego kraju, nazwanego tak przez pisarza Jakuba Żulczyka), kochają wyklętych, bo symbolizują oni czystość, dzielność, szlachetność, romantyczne uniesienie, a także świat, w którym – jak się niektórym wydaje – fajnie byłoby żyć. Bo każdy kibol, jak wiadomo, po II wojnie światowej walczyłby z bronią w ręku z komuną. Bo nienawidzi komuny, a i marzy mu się chwala bohatera, którą dziś osiąga, handlując mefeldronem i latając z maczetą po ulicach. Zabawne, że gdy



istnieje państwowo wspierany kult wyklętych, gdy błogosławi się ich w książkach, filmach czy w muzeach, czciciele nadal mówią o nich jako o *zapomnianych* czy *niewygodnych*.

Skoro dzieciom mawia się, że komuna była be, to ci, co zabijali komunistów, musieli być świętymi za życia, będąc wzorem prawości.

Nostalgia za wyklętymi jest plastrzem na ranę społeczeństwa konsumpcyjnego, w którym jedyne bohaterstwo, jakie jest cenione, to hasło *bogac się lub zginąć, próbując*. Zarabianie kasy, start-upy, influencerzy – to rzeczywistość przyziemna i wypłukana z czegokolwiek, co ma posmak jakiegokolwiek wzniosłości. No i zmaganie się z koniecznością zapłacenia czynszu, zapchania żółdka kebabem i kupna butów na zimę dla dziecka jest skrajnie nieatrakcyjne w porównaniu do biegania z giwerą po lesie i zabijania ubeków.

Na koniec warto się jednak zająć lewicową nostalgią, bo i taka istnieje.

Czerwone tęsknoty

Pamiętam, jak w podstawówce markerem mazałam po ścianie napis: *komuno, wróć!* Sukcesy wyborcze SLD i Kwaśniewskiego, a także – na lokalną skalę – Adama Gierka, jednoznacznie

kojarzonych z PRL, pokazują, że tęsknota za słusznym minionym reżimem była czymś, co napędzało miliony ludzi w Polsce w pierwszych latach kapitalizmu. Harujący uczciwie całe życie mieli dość przekreślenia ich biografii przez nawiedzonych solidaruchów, tęsknili za – biednym, ale jednak – państwem opiekuńczym. Przerażała ich przestępczość, której brutalność była wręcz szokująca i nie do przyjęcia dla ludzi wychowanych na prasie PRL, która często (aby nie straszyć ludzi i dbać o własny wizerunek) cenzurowała doniesienia o niektórych zbrodniach kryminalnych czy zanieczyszczeniu środowiska.

I postkomuniści zawiedli te nadzieje na całej linii. Dali dupy. Tak się wstydzili pochodzenia z nieprawego łoża, że nie obronili tego, co warte było obrony. Historyk idei Bronisław Łagowski trafnie to ujął, pisząc przez lata, że rolę postkomuny było bycie ugrupowaniem konserwatywnym, czyli dążącym do zachowania tego, co było w porządku w PRL. A ludzie, którzy zaczynali karierę w PZPR, wstydzili się tego, co czyniło ich tak atrakcyjnymi w oczach elektoratu.

Ale, jak wiadomo, natura nie znosi próżni. Co dziadery spierdoliły, to młodzieki płci obojga próbują nadrobić, mając wsparcie (najczęściej ciche, ale czasami bardzo głośne) starszych. I nie, nie są to zabawy synalków i córeczek z dobrych domów, którzy przestronny pokój w apartamentowcu na osiedlu chronionym upstrzyli czerwonymi flagami z sierpem i młotem. Moje wieloletnie doświadczenie pokazuje, że są to dzieciaki jebane na każdym kroku przez niskiej jakości studia i gównianą robotę. Dzieciaki, które żyją nadzieją, że po opłaceniu czynszu zostanie im coś na jakąś taną trawkę zakupioną przez kolegę ze Śląska Cieszyńskiego, zagłębia nielegalnych używek w skali kraju.

Młodzieki mają w dupie poprawność polityczną, wiedzą, że ich magisterki, a często i doktoraty, mniej znaczą na rynku pracy niż papiery na wózek widłowy czy uprawnienia spawacza. Są jak młody Marks, który lubił wypić szampana, ale jak mu ktoś postawił. Znają biegle angielski, nienawidzą kapitalizmu, bo wiedzą, że chuja dał ich steranym życiem rodzicom, a dla nich pozostaje zwykłe modlitwa, aby babcia wyciągnęła sztylwo kopyta, to będzie gdzie mieszkać.

Lewacy czasem nostalgicznie wspominają czasy znane z opowiadań rodziców czy dziadków, gdy robota była dla każdego, a państwo jakoś tam poczuwało się, by obywateli nie zdechli z głodu. No i przez długi czas ludzie mieli nadzieję, że choć jest im ciężko, to może ich dzieciom będzie łatwiej. Tęsknią za światem, w którym nie trzeba było się obawiać wypierdolenia z roboty, gdy się zajdzie w ciążę, były żłobki i przedszkola przyzakładowe (tak, wiem, że było ich nawet wtedy za mało).

Albo w ogóle, jak mój kolega, mówią, że chcieliby żyć w czasach, gdy kapitał miał nad sobą bata w postaci lewackiej partyzantki lub nawet grup terrorystycznych.

Svetlana Boym, wybitna znawczyni nostalgii, napisała kiedyś, że wszyscy tęsknimy za czasami, kiedy nie byliśmy nostalgiczni. Fajnie by było, gdyby nostalgia była dopalaczem do działań skierowanych na przyszłość, a nie opium ułatwiającym znieść podłą teraźniejszość. Bo duchy nostalgii to często upiory, demony...

ZUZANNA JURCZYŃSKA

Przed Twe ołtarze zanosim ruchanie

Czystość i higiena podstawą udanego życia seksualnego, także księżowskiego.

Seks to jeden z najczęstszych gości polskich kościołów. Zagląda tam więcej razy w ciągu roku niż większość Polaków. Zazwyczaj występuje w konfesjonale lub na ambonie, rzadko zjawia się osobiście, a jeśli już, to w zakrystii. Zdarzają się wyjątki, ale raczej nieudokumentowane. Inaczej było ostatnio w Dębicy: para została przyłapana na gorącym uczynku w zimnej świątyni.

Podczas ostatnich ogłoszeń duszpasterze z dębickiej parafii Miłosierdzia Bożego przekazali wiernym, że w sobotę 30 listopada w dolnym kościele doszło do bukowującego zdarzenia. Para młodych osób miała zachowywać się „w sposób niemoralny”. Niektóre media spekulują, że mogły to być miłotne igraszki, choć oficjalne szczegóły nie zostały ujawnione. Natychmiast zareagowali wierni, którzy byli akurat na adoracji i prze-rwali incydent – czytamy na facebookowej stronie Wydarzenia Rzeszów/Podkarpacie. Następnie ustalono, że była to para nastolatków uprawiająca seks oralny.

Bóg jest wszędzie, ale nie wszędzie są księża. Tam, gdzie są, pilnują, by Boga nie obrażać. Ponieważ dębicki stosunek był pozamałżeński, pozalóżkowy i – co najgorsze – oralny, a więc niepro-wadzający do prokreacji, małolaci cudzołóżnicy tak rozjuszyli Boga, że potrzebna była specjalna msza „ekspiacyna”. Takie okolicznościowe guśla odprawa się, gdy dojdzie do publicznego bluźnierstwa, świętokradstwa, zgorzelenia lub pomniejszego czynu z kościelnego kodeksu wykroczeń. (Uwaga: nie dotyczy pedofilii kleru!).

Do użytku wewnętrznego

Nie tylko młodzież ma pokusy. Także duchowni są nieustannie wodzeni na pokuszenie – podobno nawet bardziej, bo Szatan mocniej interesuje się tymi, którzy z nim walczą. Rzeczywistość jest taka, że księża próbują w sposób nadprzyrodzony tłumaczyć nieumiejętność trzymania przyrodzenia na wodzy.

Teologiczną potrzebę w tej materii dostrzeżono w archidiecezji poznańskiej. To kościelna jednostka terytorialna znana z takich specjalistów od seksu jak abepe Juliusz Paetz czy Marek Jedrzejewski. Wpadła nam w ręce broszurka do użytku wewnętrznego poznańskiego kleru, zawierająca katalog kapłańskich frustracji, fascynacji, fobii i fetyszy, ubranych w górnolotne frazy.

Stworzona przez Karolinę Staszak i dominikana Wojciecha Surówkę książeczka ma służyć księżom w rozpoznawaniu i zwalczaniu cielesnych pokus ku chwale Matki Kościoła. Szkoda, żeby tak cenna i wartościowa publikacja kurzyła się na plebaniach, więc prezentujemy co smakowitsze kąski. Zwłaszcza że nie jest to taka sobie pozycja, tylko zatwierdzona i rozesłana przez kurię do wszystkich księży propozycja pomocy w rozwoju duchowym.

Broszura nosi tytuł „Nowenna o czystości kapłanów”. Nowenna to rozpisa na dziewięć dni modlitwa. Modłom towarzyszą rozważania – i to one dostarczają największych wrażeń – ale i pobożne prośby są perełkami. Każdy ksiądz, który podejmie wyzwanie (dziś powiedzielibyśmy: challenge) dziewięciodniowej modlitwy w intencji własnego nie-ruchania, powtórzy codziennie takie oto słowa: *Wyrzekam się stosunków sprzecznych z naturą, a nawet myślenia o nich, oraz promowania ideologii, która podważa stwórcę zamiast Boga; Wyrzekam się obrazów, które napędzają mnie pożądliwością, erotyki i pornografii, oraz używania swojego ciała niezgodnie z jego celem dla chwilowej przyjemności; Wyrzekam się manipulowania ludźmi, wykorzystywania swojej pozycji, pożądliwości rodzącej przemoc oraz instrumentalnego traktowania osób, do których jestem posłany; Wyrzekam się głoszenia fałszywych opinii na temat moralności chrześcijańskiej, negocjowania piękna celibatu i prób przypodobania się światu poprzez podważanie nauczania Kościoła...* Wszystko to przeplatane refrenem: *Jeżu Chryste, proszę o czystość dla siebie i swoich braci kapłanów. Jest gruby, a będzie jeszcze grubiej.*

Naturę oszukasz

Pierwszego dnia nowenny pobożny kapłan od razu dowiaduje się, co jest źródłem zła wszelkiego i kryzysu w Kościele. Rewolucja seksualna – powtarzają autorzy broszury za nieżyjącym papieżem

MOJE POSTANOWIENIE NOWOROCZNE: CODZIENNIE ANAL!



Ratzingerem. W różnych seminariach ustanowiono kliki homoseksualne, które działały mniej lub bardziej otwarcie i znacząco zmieniły klimat w seminariach – nie certollił się Benedykt XVI. Stawiał sprawę jasno (a teraz przypomina się to poznańskim księżom): *Jeden z biskupów, który wcześniej był rektorem seminarium, zorganizował pokaz filmów pornograficznych dla kleryków, rzekomo z zamiarem uodpornienia ich w ten sposób na zachowania przeciwne wierze. W seminariach wiedzieli jak uprawiać homopropagandę na długo przed Netflixem.*

Drugiego dnia pragnący czystości dowiadują się zaś, że grzechy przeciwko naturze nie są tylko „grzechami ciała” – one są występkiem przeciwko Bogu jako Stwórcy ludzkiej natury. Do tego typu nieczystości należą oczywiście zaliczyć także seksualne wykorzystywanie dzieci. Ale występowanie przeciwko naturze zaczyna się także na poziomie intelektu, kiedy ludzki rozum oderwany od Boga jest w stanie pomyśleć nie tylko o współżyciu seksualnym przeciwno naturze, lecz nawet zanegować samą naturę. Do tego dąży właśnie ideologia LGBTQ+.

Dlatego nieczystość kapłana w tej materii związana jest zarówno z pełnieniem aktów homoseksualnych i pedofilnych, jak i z popieraniem ideologii, która podważa lub neguje stwórcę zamiast Boga.

Bardzo ciekawa hierarchia. Po polsku brzmiałoby to mniej więcej tak: no wiadomo, ruchanie dzieci to nie jest fajna sprawa, ale takie np. małżeństwa jednopłciowe czy nawet związki partnerskie to katastrofa, bo są przeciw naturze. Ba, fantazja o homoseksualnym stosunku jest zbrodnią tego samego kalibru co czyn pedofilski. Juliusz Paetz w grobie się przewraca, księża truchleją.

Ręka boska broni

Dnia trzeciego autorzy prawią o waleniu konia. W ich języku nazywa się autoerotyzmem, co dodaje szlachetnego rysu tak nagannej – zdaniem autorów nowenny – czynności. Przywołują biblijną opowieść o Onanie, który zmarnował nasienie, nie chcąc zapłodnić wdowy po swoim bracie. Zanim rozmłodniony ksiądz kolejny raz wezwie na pomoc Chrystusa Pana, dowie się, że nocne polucje są dobre i tylko w ten sposób można pozbywać się spermy z organizmu, żyjąc w celibacie. Już ojcowie Kościoła doskonale zdawali sobie sprawę z tego, czym jest autoerotyzm i jak może on utrudniać, a czasem

wręcz uniemożliwiać rozwój duchowy. Wiedzieli też, że ciało męczyzny zostało tak stworzone, że produkuje nasienie, które od czasu do czasu musi zostać usunięte. Ojcowie nie byli ani pruderyjni, ani zanadto ciekawscy, ale nazywając rzeczy po imieniu, tłumaczyli adeptom drogi duchowej, w jaki sposób możliwe jest zachowanie czystości. Święty Jan Kasjan w Regułach pisze: „Znakomitym dowodem osiągnięcia nieskazitelności jest to, że gdy śpimy, nie mamy żadnych rozkosznych doznań i wydzieliny z narządów płciowych wydostają się na zewnątrz ze względu na wymogi natury, kiedy nie zdajemy sobie z tego sprawy”. Nie ma w tym negowania potrzeb ludzkiego ciała, ale jest szczerza próba odczytania jego rytmu i dostosowania się do niego.

Kasjan bardzo podkreśla intencjonalność działania człowieka. Zdaje sobie sprawę, że całkowite zapobieżenie polucjom przekracza granice ludzkiej natury, chodzi więc nie o ich wyeliminowanie, lecz o „ograniczenie do nieuniknionych i bardzo rzadkich przypadków – będących wymogiem natury, jaki daje się mnichowi we znaki zwykle co dwa miesiące”...

Zachwycająca precyzja w wyliczeniu czasu nabrzmiewania jaj. Bardzo szczegółowe instrukcje, jak na pisanie jedną ręką.

Po samogwałcie księża zapoznają się z teorią oraz biblijną praktyką gwałtu właściwego. Autorzy wydubali w księdze, którą nazywają Pismem Świętym, dość liczne i szczegółowe jak na taką pozycję opisy niedobrowolnego seksu. Ale zaraz...

Trzeciego dnia (tego z masturbacją) księża dowiedzieli się, że ogromne znaczenie ma styl życia – to, czym się karmimy, jakie książki czytamy, jakie oglądamy filmy oraz w jakim towarzystwie przebywamy. Wszystko to wpływa na nasz świat wewnętrzny, a przecież „jakość myśli poddawana jest próbie w czasie nocnego spoczynku – pisze św. Kasjan. Można powiedzieć, że jest to elementarz: jeśli przez cały dzień kapłan karmi się erotyką lub wprost pornografią, to będzie miał problem z czystością nie tylko w nocy... Piątego dnia nowenny serwuje im się biblijne hard porno. Trochę nam się to kłóci, ale nie kończyliśmy teologii.

Bród, smród, bogactwo

Nie zaleca się księżom przesadnego dbania o siebie i upodobniania się do ludzi. Ksiądz to ma być ksiądz, a nie pizda w rurkach. Ma chodzić – jak przystało na świątobliwego męża – w sutannie, a nie na siłownię.

Niewierność kapłaństwu może przybierać współcześnie dwie formy. Po pierwsze, niektórzy księża chcą być jak wszyscy inni, dlatego nie noszą stroju duchownego,

NA CHU) MI PORANNY WZWÓD?



oddają się świeckim pasjom, karmią się tym, co oferuje im świat: świeckie książki, seriale, podróże, markowe ubrania, wyborne wina, siłownia, kosztowne gadzety itp. Prędzej czy później taki styl życia zaczyna dominować, a znika zamilowanie do tego, co duchowe – dowiaduje się wielkopolski pleban. Innymi słowy, ksiądz ma być głupi, gruby i śmieszny. Takiego pokusy same ominą szerokim łukiem.

Księża sami pewnie nie wiedzą, co noszą pod sutanną – a i my jesteśmy pod wrażeniem. Skarżąc się na ciche przyzwolenie księży na spółkowanie w męskim gronie, autorzy przywołują osobliwe argumenty. W bogatej spuściźnie św. Piotra Damiana znajdziemy list skierowany do papieża Mikołaja II. Tym razem mnich nie porusza tematu homoseksualizmu wśród kapłanów, ale właśnie kwestię milczenia ich zwierzników. W odpowiedzi Damiani został upoważniony przez papieża, żeby porozmawiać na ten temat z pewnymi biskupami.

Chciał, jak sam pisze, „zaryglować święte łądzwie i założyć kłamry wstrzemięźliwości na genitalia kapłanów”. Święte łądzwie – to naprawdę nowa jakość w myśleniu o klerze. Choć pochodzi z XI w.

Żeby nie było, jest też o kobietach. Wobec niewiast – twierdzą autorzy – księża zachowują się dwojako.

Z jednej strony są mizogini, którzy w każdej kobiecie widzą wyłącznie zagrożenie, izolują się od kobiet, traktują je z góry, nie cenią roli niewiast we wspólnotce Kościoła. Dochodzi nawet do sytuacji, w których ksiądz rzuca oszczerstwo na innego kapłana, ponieważ nie podoba mu się, że jego brat współpracuje z kobietą. Nieczystość oczywista zobaczcie nieczystość. Z drugiej strony są księża, którzy przeciwnie – nie unikają kobiet, lecz kontakty z płcią przeciwną traktują jak margines kapłańskiego życia, a nawet – co gorsza! – odszkodnie od niego. Nie potrafia zauważyć, że postawiona na ich drodze kobieta ma w sobie wielki potencjał służeńiu Bogu, który można wydobyć – piszą Wojtek i Karolina, może na podstawie własnych doświadczeń. Wydobywanie potencjału służenia Bogu to jedna z oryginalniejszych metod podrywu, o których słyszeliśmy.

Prawda w oczy kole

Jeszcze raz: cytowana tu broszura to nie jest to żaden średniowieczny podręcznik dla klechów (choć średniowieczni i starsi autorzy są obficie cytowani), ale publikacja wypuszczona w roku 2024 z zaleceniem, by czerpać z niej garściami – więc dość do-brze oddaje stan umysłowy polskiego kleru na dziś. Autorem jest członek zakonu, który uchodzi za tę normalniejszą część Kościoła (to jakie są mniej normalne?). Jeżeli założenie było takie, że po dziewięciu dniach spędzonych z tą fascynującą lekturą odczeka się wszystkich, nawet seksu – to zostało ono zrealizowane. Innych możliwości zastosowania tej lektury nie znajdujemy.

Autorzy chyba przewidzieli, że wykwit ich intelektu i fantazji trafi w niepowołane łapska, bo rykoszetem oberwało się dziennikarzom. Zniewołenie drugiego człowieka, wykorzystanie go narusza nie tylko jego godność, ale także uruchamia mechanizm zemsty. Dzisiaj jest ona realizowana nie za pomocą miecza, ale pióra dziennikarza. Osoba, która doznała krzywdy ze strony księdza, ma prawo się domagać od Kościoła sprawiedliwości. Jeśli jej nie otrzyma, może posunąć się do zemsty. Jest to zrozumiałe. Konsekwencje za czyn jedynego przestępcy w sutannie ponosi cała wspólnota Kościoła – czytamy w cytowanym już odcinku o gwałcie. A więc informowanie o przestępstwach księży to pomoc w zemście na Kościele. Jeżeli zemsta bywa słodka, to jest właśnie ten przypadek.

Na koniec zacytujemy tu, co dominikania z koleżanką zaserwowali poznańskim księżom na sam początek we wprowadzeniu: *Jest takie polskie powiedzenie: „Spojrzeć prawdzie w oczy”. Znaczy to tyle, co uświadomić sobie prawdę, pogodzić się z faktami czy też zdać sobie sprawę z nieprzyjemnej sytuacji. Oczywiście widzenie jest tutaj synonimem myślenia. Aby spojrzeć prawdzie w oczy, musimy przestać się okłamywać, przestać żyć w iluzji oraz fantazjować na własny temat. Innymi słowy, musimy się nawrócić, czyli zmienić swoje myślenie. Nowenna, do której zapraszamy, ma właśnie w tym pomóc kapłanom Kościoła katolickiego...* Chłopa-paki, spojrzcie prawdzie w oczy: to jest pojebane, co czytacie, piszecie, robicie i innym każecie robić. Ogarnijcie się w nowym roku!

MATT KOBOSKO

Piedestał z piuska

Utytułowani a skromni

Karol Wojtyła odmienianie oblicza tej ziemi rozpoczął od udzielenia swojego imienia i wizerunku. Na skwerach pod kościołami zaroilo się od pomników Polaka papieża. Miasta zaś prześcięły się w nadawaniu jego imienia ulicom, skwerom i parkom. Nie jednym imieniem zresztą. Dzięki czemu choćby w Krakowie, Rzeszowie czy Rykach występują ulice Karola Wojtyły i Jana Pawła II i nie są to te same ulice.

Najpierw powoli

Wojtyła nie miał problemu ze zgadzaniem się na patronowanie szkołom, szpitalom, domom kultury czy czegokolwiek. Łykał przyznawane mu honoris causy jak pelikan, brał w ciemno honorowe obywatelstwa czego się dało. Dzięki temu papież Polak jest dziś honorowym obywatelem ponad 300 polskich miast i gmin oraz patronem ogromnej liczby wszystkiego, co dało się nazwać jego papieskim imieniem.

Do czasów Wojtyły stawianie pomników ludziom żyjącym nie uchodziło, tak jak robienie z nich patronów ulic. Czynili tak tylko dyktatorzy, a i to nie wszyscy. Nieświecka tradycja zapoczątkowana za Wojtyły się jednak przyjęła. Jako pierwszy skorzystał z niej adiutant papieża kardynał Stanisław Dziwisz. Ma już trzy pomniki, nie wspominając o jego facjacie upiększającej płaskorzeźbę przy Ołtarzu Trzech Tysiącleci w Krakowie. Żeby oddać podręcznemu Wojtyły sprawiedliwość, należy dodać, że na pomnikach robi za tło swojego szefa.

Po oddaniu, co papieskie, Wojtyła, polscy samorządowcy doszli do wniosku, że rodzimi biskupi też zasługują na honory. W hierarchii są przecież tylko nieco niżej, a łakną oznak uwielbienia bardziej niż kasy, hektarów, działek i dotacji, które już dostali.

Zaczął się wyścig na zaszczyty. Najtańszym z nich było przyznanie honorowego obywatelstwa. Hierarcha się cieszył, a samorządowcy mieli okazję porobić sobie z nim fotki i zaliczyć wyzerkę z popijawą, do której żaden gminny czy miejski podatnik się nie mógł przyczepić.

Na początku lat 90. z tytułami nie przeginano. Załapywała się na nie ścisła wierzuszka i nie liczni biskupi diecezjalni. Abp Henryk Muszyński w latach bycia metropolitą gnieźnieńskim dostał tylko dwa honorowe obywatelstwa. Ale za to ówczesny nuncjusz Józef Kowalczyk już trzy. Leszek Sławoj Głódź lata 90. kończył tylko z jednym obywatelstwem honorowym – Białegostoku.

Honorowy dorobek rezydującego w Łodzi abp. Władysława Ziółka to wówczas ledwie obywatelstwo właśnie Łodzi. Józef Michalik rządzący w Przemyślu stał się honorowym obywatelem Krosna i Łańcuta. Wiktor Skworc kończył poprzednie tysiąclecie jedynie z obywatelstwem Rudy Śląskiej. Bp Roman Marcinkowski dostał wtedy jedyne swoje honorowe obywatelstwo w Sztutowie, w którym się zresztą urodził.

Podobnie miał Stanisław Gądecki. Gdy tylko został biskupem pomocniczym, to Strzelno, z którego pochodził, uczyniło zeń honorowego obywatela. Z czego po siedmiu latach Gądecki się z hukiem wypisał, bo rodzinna miejscowość nie chciała, żeby obok Gądeckiego honory obywatelskie pełnił w niej papież Wojtyła. To jedyny wówczas tego typu przypadek.

Ruszyła maszyna

Po chudych w obywatelstwa dla biskupów latach 90. nadeszły dwie dekady tłuste w honory. Samorządy jęły się prześcigać w wywyższaniu hierarchów.

Dziwisz dochrapał się kilkunastu honorowych obywatelstw z Buenos Aires włącznie. Muszyński, Kowalczyk, Michalik – po kilka. Głódź, który początkowo sam dobierał sobie miasta chcące mu czynić honory, czyli Warszawę, potem brał jak leci: Radzymin, Wołomin, a nawet powiat moniecki i gminę Sokółka.

Andrzej Suski ścigał się na obywatelstwa honorowe z Damianem Zimoniem i Antonim Dydyczem, który przebił konkurencję, sięgając po medal Zasłużony dla Powiatu Bielskiego.

Parę długości za rekordzistami zostali tacy prominenci jak prymas Polak czy kardynał Nycz. Oni jednak startowali w innych konkurencjach, licytując się na przykład na doktoraty honoris causa czy odznaczenia państwowe.

Im bardziej dziwne tytuły, tym lepiej w episkopacie były widziane. Ziółek ma więc przyznany przez PKOl złoty medal Za Zasługi dla Polskiego Ruchu Olimpijskiego, odznakę Adwokatura Zasłużonym i honorową odznakę I stopnia Polskiego Czerwonego Krzyża.

Zimoń zremisował z Ziółkiem Adwokaturą Zasłużonym, ale dołożył do niej tytuł Niezawodnemu Przyjacielowi, przyznawanemu przez ZHP, i lokalnymi wyróżnieniami takimi jak Śląski Smaragd, nagroda Ślączki czy Złota Lampka Górnicza.

Łódzki biskup pomocniczy Adam Lepa postarał się o medal o Niepodległość Polski i Prawa Człowieka, medal Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej i członkostwo honorowe Katolickie-

go Stowarzyszenia Filmowego i Katolickiego Stowarzyszenia Dziennikarzy.

Leszek Sławoj Głódź w tej kategorii też miał coś do powiedzenia. Co prawda został nagrodzony tylko brązową odznaką Zasłużony dla Ochrony Przeciwpowodzi, ale złoty medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis dostał jak najbardziej zasadnie, bo jak sam mówił, stanowił inspirację do świetnej roli Janusza Gajosa w „Klerze”, paru zaś innych biskupów posiadających ten sam medal niczym się dla kultury nie zastrzyżyło.

Edward Frankowski budził wśród kumpli z episkopatu niekłamną zazdrość, bo wszyscy zastanawiali się, jak, nie będąc związkowcem, dostał tytuł Honorowego Członka NSZZ Solidarność.

Bp Stefan Cichy nie był Głódziem, a brązową odznakę pożarniczą też dostał. Ma też coś, czego nikt inny w episkopacie nie dostąpił – tytuł honorowego dyrektora generalnego górnictwa.

Słyszał ktoś szerzej o arcybiskupie Kupnym? Bo jak nie, to

warto wiedzieć, że był łasy na błyskotki niczym sroka i miał układy w policji. Stąd złoty medal Za Zasługi dla Policji i złoty medal Za Zasługi dla Pożarnictwa. Medal Komisji Edukacji Narodowej też ma i nawet srebrny medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis. Prócz tego na jego szyi zadyndał medal 100-lecia Powstania Policji Państwowej oraz medal 30-lecia powstania NSZZ Policjantów, jak też Krzyż Niepodległości z Gwiazdą kl. I za zasługi patriotyczne i działalność na rzecz środowiska policyjnego.

A dokąd tak gna?

Radujące hierarchów błyskotki i tytuły od jakiegoś czasu jęły być strupem dla gremiów nimi szafujących. Zaczęło się od honorowego obywatela Gdańska Henryka Jankowskiego, po tym jak do ludzi przebiły się pośmiertnie jego preferencje seksualne i faceta trzeba było z przestrzeni publicznej pozbyć.

Do tego dołożył się Watykan z Gulbinowiczem i jego dzieciolubnością. Kardynał potracił więc pośmiertnie honorowe obywatelstwa, których miał więcej od Dziwisza. Nikt nie zamachnął się na przyznane Gulbinowiczowi orderu Orła Białego i Odrodzenia Polski z Gwiazdą. Nie anulowano złotego medalu Zasłużony Kulturze Gloria Artis ani złotej odznaki Zasłużony dla Ochrony Przeciwpowodzi. Orderu Uśmiechu też mu żadna kapituła pośmiertnie nie zabrała, jak i Dziecięcej Nagrody Serca, Diamentowego Feniksa czy Perły Honorowej Polskiej Gospodarki. Nie wspominając, że imię Gulbinowicza nosi wciąż Ośrodek Badawczo-Naukowo-Dydaktyczny Chorób Otepionych Akademii Medycznej we Wrocławiu.

W 2021 r. stołeczni radni po tym, jak Stolica Piotrowa sponstponowała Leszka Sławoja Głóźdza, skorygowali decyzję z 2005 r. i purpurat honorowym Warszawiakiem już nie jest, tak samo jak i honorowym Białostocczaninem. Abp Tadeusz Rakoczy, po tym gdy Watykan go odsunął za krycie pedofilii, został w 2021 r. wykreślony z listy honorowych obywateli Kęt i Oświęcimia.

W tym samym roku, gdy Watykan opuścił facetowi szlaban na wszystko za aferę z molestowaniem dzieci, bp Stefan Regmunt zrezygnował z tytułu honorowego obywatela Zielonej Góry, ale do dziś budzi niekłamną zazdrość kolegów, bo zachował odznakę honorową Za Zasługi dla Ochrony Zdrowia.

Nikomiu z gremium przyznającego od lat tytuł Małopolanina Roku, którym uhonorowano dotychczas kilku hierarchów i księdza, nie wpadło do głowy, co zrobić z laureatem ks. Stryczkiem, który okazał się bohaterem zupełnie nie Szlachetnej Paczki.

Bp Andrzej Dziuba wciąż jest obywatelem honorowym Łowicza, choć za uszami ma tuszowanie afer podwładnych pedofilów w sutannach.

Bp Andrzej Suski miał kilka honorowych obywatelstw i udowodnione ukrywanie przed organami księży pedofilów. Ale tytułów nie stracił.

Antoniemu Dydyczowi wyciągano bagatelizowanie pedofilii. Były nuncjusz abp Kowalczyk nie raportował przypadków księży pedofilii w Polsce, gdy był nuncjuszem i krył miłującego kleryków abp. Juliusza Paetza.

Malczyce, których honorowym obywatelem jest pogoniony z biskupstwa Edward Janiak, niegdysiejszej decyzji nie zmieniły. Nie stracił też tytułu Leśnika Roku ani Dębowej Statuetki „Przeglądu Leśniczego”.

Don Stanislao Dziwisz stał się bohaterem watykańskiego opracowania dowodzącego, że ucinął łeb wszystkim aferom pedofilskim, gdy był sekretarzem papieża. Sam Karol Wojtyła dla światowych mediów uchodzi za faceta, który dawał ciche przyzwolenie do robienia z dziećmi, co się księżom podobalo.

Nie zdarzyło się w historii Kościoła, by ktoś kanonizowany został karnie zdegradowany. Świętymi są więc mordercy, ludobójcy, gwałciciele i inni mocno nefajni ludzie. O ich dekanonizacji nikt nigdy nie pomyślał. Tak samo będzie i z Wojtyłą.

Jego nikt nie ruszy. Stąd apele, aby pozbawić go honorowych obywatelstw Poznania, Warszawy i innych miast, były i są mocno na wyrost. Jednak zupełnie inaczej wygląda to w przypadku Dziwisza. Znaczący Watykanu twierdzą jednak, że wykopanie go sprzed ołtarzy nastąpi dopiero po jego śmierci.

Najciekawsze jednak jest stanowisko samorządowców z miejsc, których wymienieni hierarchowie są obywatelami honorowymi. Jest ono dwojakie. Jak gada się z tymi, gdzie rządzi PiS, to tam obywatelstw pozbawia się biskupów dopiero po oficjalnym stanowisku Watykanu. Tam, gdzie rządzi nie-PiS i nie-PSL, dobrze robi pokazanie, jak to się jest z narodem, i odbiera złym ludziom niesłusznie przyznane tytuły. Żaden przy tej okazji nie wspomina, że sam za ich niegdysiejszym przyznaniem głosował.

Dlatego bp Ignacy Dec, dla którego korekta płci to bluźnierstwo, a *aborcja, eutanazja i związki partnerskie nie podobają się Panu Bogu*, ma kilka obywatelstw. Jest nawet obywatelem honorowym Dolnego Śląska. A od 2023 r. leżącej wszak w tej krainie Świdnicy. Gdy Świdnica witała nowego obywatela, krajem rządziło PiS. Teraz – wręcz przeciwnie i pewnie dlatego w ostatnim roku żaden hierarcha nie został nigdzie honorowym obywatelem. Ale z drugiej strony, żaden też nie przestał nim być.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

+ Ksiądz Jacek K., duchowny z diecezji sosnowieckiej zatrzymany w październiku za popełnione przestępstwa seksualne, usłyszał w prokuraturze kolejne dwa zarzuty. Chodzi o przestępstwa przeciwko wolności seksualnej i obyczajności na szkodę osób małoletnich poniżej lat 15. Klecha nie przyznaje się do winy. Za każdy z zarzucanych mu czynów grozi od dwóch do 12 lat więzienia.

+ Roman Giertych pozałił się w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”, że podczas mszy świętej kapłan odmówił udzielenia mu komunii. Powodem zachowania duchownego miał być fakt, że poseł Koalicji Obywatelskiej zgłasował za rządowym programem finansowania in vitro. Giertych miał zostać przeproszony za incydent po tym, jak wyjaśnił klesze, że obecnie w procedurze nie trzeba zamrażać zarodków. *Księża nie są wykształceni, często niewiele wiedzą* – podsumował farbowa-

ny na wszystkie barwy polityczne poseł. Prześladowania katolików przez katolików nie ustają.

+ Zrzeszający środowiska katolickie oraz prawicowe Ogólnopolski Komitet Obrony Gietrzwałdu pod patronatem Grzegorza Brauna zorganizował 14 grudnia w całym kraju protesty pod sklepami sieci Lidl. Protestujący sprzeciwili się w ten sposób budowie centrum dystrybucyjnego w Gietrzwałdzie, która zdaniem przeciwników inwestycji negatywnie wpłynie na będące celem licznych pielgrzymek Sanktuarium Matki Boskiej Gietrzwałdzkiej. Męczeństwo bezrobocia w Gietrzwałdzie z pewnością zostanie docenione przez Matkę Boską.

+ Sąd odrzucił skargę rydzikowej Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu związaną z zarzutem dyskryminacji w naborze na studia. Przypomnijmy: na



początku roku ministerstwo funduszy zażądało od AKSiM zwrotu 25 proc. środków z dofinansowania projektu „Informatyka medialna twoją szansą na sukces”. Decyzja resortu zapadła po tym, jak Komisja Europejska zakwestionowała warunki

związane z tym projektem, a konkretnie wymóg uczelni przedstawienia przez studentów opinii od księdza proboszcza. Sąd Administracyjny w Warszawie uznał, że doszło do naruszenia przepisów w zakresie dyskryminacji. I bardzo dobrze.

+ Dyrektor Radia Maryja o. Tadeusz Rydzik zdecydował o wytoczeniu procesu stacji TVN. Chodzi o wyemitowany na antenie TVN 24 reportaż „29 lat bezkarności. Fenomen ojca Tadeusza”, który cztery lata później pojawił się również w internecie z cyfrą 32 na początku. Duchowny uważa, że materiał w kłamliwy sposób przedstawia rodzinę Radia Maryja oraz jego samego. W pozwie dyrektor Radia Maryja domaga się przeprosin, usunięcia reportażu z internetu oraz wpłaty na rzecz Fundacji Dzieło Nowego Tysiąclecia 650 tys. zł. Co się pośmialiśmy, to nasze.

+ 8 grudnia, w dniu święta Niepokalanej, Poczecia Najświętszej Maryi Panny, w sanktuarium św. Jana Pawła II w podwarszawskim Radzyminie miało miejsce zawieszenie TV Republika opiece Matki Bożej. Widać dziennikarze telewizji muszą liczyć już tylko na cud.

KLECHA

Wieści o pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Wyobraź sobie, że...

Prawdziwe bajki tylko dla dorosłych

Niewiele rzeczy tak mnie wkurza jak nachalna, przeszkadzająca, kłamliwa i często debilna reklama. Wciskają mi ją w każdą szczelinę ekranu telefonu i komputera. Jestem wściekła, kiedy atakują mnie nią z ekranu telewizora i radia, a kompletnej furii dostaję, kiedy bładym świtem lub w czasie popołudniowej drzemki budzi mnie dzwonek telefonu, a radosny głos składa mi propozycję zakupu nowego modelu samochodu za pół miliona złotych...

Nie wątpię, że masz tak jak ja. To czemu łykamy to grzecznie jak pelikany rybkę?!

Czy może być inaczej?

Oczywiście można – a może nawet należy – powiedzieć, że się nie da. Cały ten turbokapitalistyczny świat opiera się przecież na sprzedawaniu, a sprzedawanie na reklamie, manipulacji, kłamstwie i propagandzie. Wyobrażam sobie agresję przedstawicieli biznesu, jaką by wzбудził ktoś, kto ogłosiłby, że wprowadza taką „rewolucję”. Zakaz reklamy to przecież atak na podstawy „jedynie słusznego” systemu.

Biorąc pod uwagę znaną w świecie „subtelność” przedstawicieli kapitału, działających w obronie swoich interesów, jest dla wszystkich jasne, że każdy poważny polityczny ruch, który odważyłby się podważać ten system, jest narazony na wszelkie znane cywilizacji re-

presje. Zatem oczywiście reprezentujący „rewolucjonistów” aktywiści musieliby poważnie liczyć się z karą śmierci, z torturami na okrasę. Ja, wiedząc to, nie czuję jednak lęku. Nie dlatego, że czuję się bohaterką, ale dlatego, że nikt mnie nie traktuje poważnie. Śmiało, przyjacielu, Ciebie też nikt (oprócz mnie) nie traktuje poważnie. A zatem do dzieła!

Wyobraź sobie, że jakaś grupa szaleńców założyła partię i wygrała w naszym zmaltretowanym kraju wybory, niosąc na sztandarach hasła: *Precz z reklamą! Wolność od propagandy! Szanujcie nasze „nie”...*

– i zaczynają działać. Ale to dobrzy, niegłupi ludzie, z przekonania demokracji. Wiedzą, że wolność (także ta od reklamy i propagandy) nie może oznaczać zakazu. Są przecież tacy ludzie, którzy

bez wskazówek, pouczeń i zachęt nie potrafią działać i funkcjonować – oni też mają prawo do życia. Nie można także wykluczyć, że ci politycy obawiali się brutalnego natarcia rozjuszonych gildii zjednoczonych właścicieli kapitału? Nie wiem.

Ale obiecaliśmy – mówią. Trzeba zatem ludziom to dać. Nie kasujemy jednak tego, co istnieje. Zrobimy system równoległy. Zbudujemy społeczne, niezależne media bez reklam. Niechciany reklam!

Jednak co znaczy, że reklama jest niechciana? Znaczy to, że ludzie nie chcą takiej, którą się im wciska. No bo przecież nie o to chodzi, aby nie było dostępu do informacji o promocjach czy nowych produktach i ich właściwościach. Czemu mielibyśmy nie mieć – dla przykładu – prawa poszperać w internecie, tak jak w sklepie, przeglądając informacje o rzeczach, które nas interesują, albo po prostu dla konfrontacji ze swoimi marzeniami lub dla uruchomienia swojej wyobraźni? Ale jeśli tak, to może powinny być jakieś miejsca, gdzie można poszukać informacji komercyjnych czy nawet przedwyborczych przechwałek polityków?

Wyobraź sobie, że nasi dzielni politycy, prowadzeni duchem rewolucji, jak pomyśleli, tak zrobili (a przecież to niemal niewyobrażalne!). I w pierwszych 100 dniach swoich rządów stworzyli nasz Polski Alternatywny System Medialnej Odpowiedzialności (PASMO). Spośród 100 obietnic wyborczych, jakie



Rys. WIDGET

składali, zrealizowali wszystkie. Ja wymienię tu tylko najważniejsze z nich, dotyczące mediów, czyli naszej dzisiejszej bajki:

- publiczne radio i telewizję bez reklam (od 20 lat się o to upominano!);
- dwa alternatywne do istniejących projekty internetowych mediów społecznościowych – też bez reklam i ukrytych algorytmów;
- „Lornetę” – wyszukiwarkę internetową pozbawioną algorytmów kierujących w stronę reklam;
- niezależną od polityków i presji kapitalistów ogólnopolską gazetę;
- zakaz – obłożony surowymi karami – reklamowania przez telefon, e-mail i drogą pocztową;
- publiczny portal internetowy zwany PuPI – czyli wyszukiwarkę dla informacji handlowych (reklam), w której chętni mogliby poszukiwać, według swoich kryteriów, takiej informacji.

A teraz wyobraź sobie, że to nie jest finansowa ani jakościowa klapa. Wręcz przeciwnie. Większość obywateli korzysta z tych mediów, doceniając komfort unikania reklam. Dostrzeżono przy tym także znacznie wyższą jakość dziennikarską i merytoryczną nowo stworzonych mediów. Skąd ta nadzwyczajna jakość? To proste: kierujący tymi mediami i pracujący w nich dziennikarze nie są już zmuszeni do

stosowania żenująco tanich chwytów w poszukiwaniu słuchalności, oglądalności czy klikalności dla przyciągania reklamodawców. Zależy im tylko na widzach i czytelnikach. Króluje prawda oraz jakość przekazu, a ludzie żyją dłużej i szczęśliwie...

A skąd kasa na tę rewolucję? Z opłat za licencje na działalność – pobiera się je od spółek medialnych, które oferują reklamy. Nareszcie rzetelnie ściągają się od nich podatki! Pozyskuje się także pieniądze z opłat za obecność we wspomnianym wcześniej publicznym portalu reklamowym (PuPI). A w całym państwie jest wreszcie sprawiedliwy system podatkowy, w którym najbogatsi nie płacą mniej od zwykłych ludzi.

A co? Boicie się, że podniesienie podatków dla krezusów spowoduje ich eksodus z Polski? Rewolucjoniści antyreklamowi się nie boją. I słusznie! Wiedzą, że w Danii i krajach nordyckich bardzo wysokie podatki dla najbogatszych nie odstraszyły inwestorów. Obecne są tam wszystkie wielkie firmy świata. W naszej bajce też z nami pozostaną...

A my żyjemy długo i dużo bardziej szczęśliwi.

A jak zrobili to, że o nowo powstałych mediach można powiedzieć, że są publiczne i niezależne? A to już inna bajka...

ANNA GRODZKA

Życie W DOBROBYCIE

Przeciętny Polak czy Polka, gdy widzą podawaną przez GUS średnią płacę w gospodarce narodowej, czują, jak ich krew zalewa. W powszechnym odczuciu bowiem padające co miesiąc kwoty brane są z kosmosu. Żeby więc społeczeństwu zrobić zadość, GUS od kwietnia publikuje również medianę zarobków. Jej wysokość oznacza, że połowa pracowników w Polsce dostaje więcej, a połowa mniej niż podana kwota. Dzięki tej swoistej schizofrenii wiadomo, że w maju średnia płaca w gospodarce narodowej wyniosła 8400 zł brutto, a mediana 6481 zł brutto. Liczby te różnią się od siebie o – bagatela – 19 proc.

Większość ekonomistów już od dawna postuluje, żeby nie liczyć wydumanej średniej płacy, ale podawać medianę. Choćby dlatego, że jest ona obliczana nie z wąskiej grupy firm zatrudniających wielu pracowników, ale opiera się na danych z mikrofirm, od osób na samozatrudnieniu, jednostek sfery budżetowej, organizacji członkowskich, fundacji, stowarzyszeń, samorządów gospodarczych, partii politycznych, związków zawodowych i innych organizacji społecznych. Jeśli się więc w tej grupie śmiesznie zarabiających osób rozpuści zarobki szefów wielkich polskich korporacji i firm, to wyjdzie, że zarabiamy śmiesznie mało. Majowa mediana, gdyby ją przeliczyć z brutto na to, co się dostaje na rękę, daje bowiem nieoszałamiającą kwotę prawie 4750 zł. Czyli połowa z nas zarabia mniej. Oczywiście każda statystyka ma do siebie to, że jest w stanie udowodnić wszystko. Majowe dane GUS nie mogą więc być wyjątkiem i obwieszczają, że w budownictwie kobiety zarabiają przeciętnie o 16,2 proc. więcej niż mężczyźni. Co chyba nie tyle pokazuje prymat kobiet, a raczej to, że w tym sektorze wynagrodzenia dla pracowników fizycznych płacone są w większości pod stołem. To zaś rozwała w drzazgi tak wiarygodność oficjalnych plac, jak i skuteczność Państwowej Inspekcji Pracy.

Nie tylko to. Tramwaje Warszawskie poszukują pracowników. Dla chętnych organizują dni otwarte, podczas których można poznać szczegóły pracy motorniczego, zobaczyć tramwaj szkoleniowy i otrzymać pomoc w wypełnieniu dokumentów. To oczywiście jakieś bzdury, bo wszak najważniejsze jest, ile motorniczy zarobi. A tu zaskoczenie, bo warszawska spółka podała średnią kwotę wynagrodzenia brutto motorniczego w III kwartale 2024 r., która zadaje kłam temu, co wyliczył GUS. Bowiem pieniądze, które przeciętny warszawski motorniczy zarabia miesięcznie, to 9692,56 zł brutto, co daje 7398,90 zł na rękę.

Cyfry są przedmiotem zainteresowania nie tylko GUS. Bazują na nich również inspektorzy NIK. Właśnie przedstawili raport dotyczący tzw. certyfikatów ETS. Czyli czegoś, czym straszyl Polaków przez lata PiS. Zdaniem polityków z Nowogrodzkiej mieliśmy tak drogi prąd właśnie dlatego, że Unia zmusiła wszystkie firmy palące wę-

glowodorami do płacenia haraczu. PiS nie wspominało jednak, że wszystkie te opłaty trafiały nie do Brukseli, ale do budżetu państwa polskiego. Ten zaś z tytułu opłat ze sprzedaży praw do emisji gazów cieplarnianych w ramach ETS zarobił w latach 2013–2023 ponad 94 mld zł. Większość tej kwoty – 84 mld zł – budżet pozyskał w latach 2019–2023. Kasa z ETS powinna iść na inwestycje promujące odnawialne źródła energii i wspierające odchodzenie od paliw kopalnych. Znaczący wszelkiego rodzaju programy dopłat do pomp ciepła, fotowoltaiki, samochodów elektrycznych, termomodernizacji czy innych tego typu opcji. Ale nie szła, bo – jak to ujął Marian Banaś, prezes NIK – z dochodów pochodzących ze sprze-

żadzy uprawnień do emisji gazów cieplarnianych jedynie nieco ponad 1 proc. przekazano bezpośrednio na cele związane z redukcją emisji tych gazów lub zarządzaniem tymi emisjami. Ze wspomnianych 94 mld zł ponad 12 mld zł wydano jednak w ramach założeń ETS. Co się stało z resztą miliardów, inspektorzy nie wiedzą. Pewni są natomiast tego, że gospodarowanie środkami pochodzącymi ze sprzedaży uprawnień do emisji gazów cieplarnianych było zgodne z przepisami. Znaczy to tylko tyle, że mamy prąd najdroższy i najmniej ekologiczny w Unii, ponad 80 mld zł gdzieś się rozlało, ale ponieważ wszystko jest cacy, to od nowego roku będziemy mieli jeszcze wyższe rachunki. Prawda, że to żelazna logika?

Powszechnie wiadomo, że palenie papierosów poprzez emisję CO₂ działa źle na klimat. Unia co prawda nie nakazała obłożyć fajek opłatami za uprawnienia do emisji gazów cieplarnianych, ale polski rząd, miast wydawać szmal z ETS na zieloną energię, postanowił wykazać się klimatycznie choćby w małym zakresie. Od miesięcy podnosi więc akcyzę na papierosy i końca tych podwyżek nie widać. Jednak palacze nie powinni się zalamywać. Wiceminister finansów Jarosław Neman powiedział przecież: *Nieprawdą jest, że w 2027 r. paczka papierosów będzie kosztować 30 zł. Cena papierosów w 2027 r. będzie wynosić ok. 26–27 zł.* Ciekawe, czy za kilka lat NIK będzie potrafiła powiedzieć, na co poszła forsa z tej akcyzy?

TTJ



Rys. TOMASZ WATIER

głowodorami do płacenia haraczu. PiS nie wspominało jednak, że wszystkie te opłaty trafiały nie do Brukseli, ale do budżetu państwa polskiego. Ten zaś z tytułu opłat ze sprzedaży praw do emisji gazów cieplarnianych w ramach ETS zarobił w latach 2013–2023 ponad 94 mld zł. Większość tej kwoty – 84 mld zł – budżet pozyskał w latach 2019–2023. Kasa z ETS powinna iść na inwestycje promujące odnawialne źródła energii i wspierające odchodzenie od paliw kopalnych. Znaczący wszelkiego rodzaju programy dopłat do pomp ciepła, fotowoltaiki, samochodów elektrycznych, termomodernizacji czy innych tego typu opcji. Ale nie szła, bo – jak to ujął Marian Banaś, prezes NIK – z dochodów pochodzących ze sprze-



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Zjadasz, płacisz – zdrowie tracisz!

Różne sondażownie twierdzą, że dla 89 proc. Polaków informacja, że dany produkt został wyprodukowany w kraju, jest zachętą do zakupu. O polskich produktach spożywczych mamy tylko dobre zdanie. Jesteśmy przekonani, że są najzdrowsze we Wszechświecie.

Chorowite chlewiki

I tego mniemania nic nie zmienia. Nawet fakt, że w raportach RASFF – europejskiego systemu szybkiego alarmowania o stanie żywności i pokarmów – niemal co rok jest kilka dyscyplin, gdzie albo Polska przoduje w wykrytych przekroczeniach, albo jest na podium. Naszemu krajowi obrywa się niemal zawsze za brak samokontroli karmy dla zwierząt, w której mamy rekordowe wyniki obecności salmonelli, zanieczyszczeń mikrobiologicznych, alergenów oraz pozostałości leków weterynaryjnych. Za obecność dokładnie tych samych nefajnych rzeczy w drobiu Polska jest niekwestionowanym mistrzem Europy. Coś, co europejski nadzór żywnościowy nazywa ładnie *pozostałościami leków weterynaryjnych*, to głównie antybiotyki.

Bo w Polsce nawet dziecko hodowcy wie, że antybiotyki podawane zwierzętom powodują same korzyści. Przyspieszają rozwój, pobudzają apetyt, zabezpieczają przed niektórymi chorobami, zmniejszają liczbę zwierząt niedorozwiniętych oraz zwiększają przyswajalność białka przez organizm zwierzęcy. W tuczu świń o ciężarze od 15 do 95 kg antybiotyki dają zwiększenie przyrostów o blisko 15 proc. Poprawiają wyniki szybkiego tuczu brojlerów. Wpływają na zwiększenie ciężaru jaj. A podawane cielętom zwiększają u nich przyrosty masy do 15 proc., jednocześnie uodporniając je na przeziębienia i biegunki.

Główny Inspektorat Weterynarii, raportując dane dotyczące popytu na antybiotyki w Polsce, pisze od lat, że *tendencja sprzedaży jest niestety tendencją wzrostową*.

W 2022 r. w Polsce zużycie antybiotyków na kilogram masy ciała hodowanych zwierząt wyniosło 196 mg. Do kupy inwentarz zeżarł 838 ton antybiotyków. W 2011 r. było tego 475 ton.

Oczywiście przez te wszystkie lata Główny Inspektorat Weterynarii deklarował, że *zużycie antybiotyków na kilogram żywności w polskich hodowlach nie odbiega od ogólnego poziomu w UE, więc mówienie o drastycznym wzroście poziomu stosowania antybiotyków jest nieuzasadnione*.

Takie sformułowania nieustannie bawią specjalistów z branży. Zwłaszcza w kontekście tego, co ponad dekadę temu udowodniła TVN. Czyli istnienia w Polsce olbrzymiego czarnego rynku, który zajmuje się obrotem tanimi naszpikowanymi antybiotykami paszami. I samymi antybiotykami zresztą też. Wyszło, że oficjalne dane o sprzedaży antybiotyków hodowcom można schować w kaptcie. Drugi obieg dostarczał bowiem rolnikom trzy razy tyle specyfików, co oficjalny. I – zdaniem hodowców – to się nie zmieniło.

Zakaz stosowania antybiotyków jako stymulatorów wzrostu wprowadzono w Polsce w roku 2006. Gwarancją przestrzegania tego prawa miały być regularne kontrole ferm i hodowli. Antybiotyki można więc stosować tylko, gdy zwierzęta chorują. Ich podawanie musi być zatwierdzone przez weterynarza. Po wyleczeniu rekonwalescenci przechodzą karencję przed ubojem, aż do całkowitego usunięcia pozostałości antybiotyków z organizmu zwierzęcia. Przed wprowadzeniem mięsa na rynek jest ono dokładnie badane. Wszelkie odstępstwa od normy to łamanie prawa, za które producenci są karani bardzo wysokimi grzywnami i przepadkiem całej partii mięsa, która jest poddawana utylizacji.

Normy te nie obowiązują jednak drobnych hodowców, w związku z tym nikt nie sprawdzi jakości produkowanego przez nich mięsa, nie bada go na okoliczność antybiotyków i sterydów.

Procedury, jak widać, są. Ale są też wielkie pieniądze do zdobycia. I dlatego system kontroli jest dziurawy. A jest, bo jak bez dopingu uzyskać cykl produkcyjny kurczaka w ciągu sześciu tygodni jego życia? A dokładnie tyle ptaszyna ma rosnąć od wyklucia do chwili kupienia truchła w sklepie.

Jego krewniak chowany w wiejskim podwórku w tym wieku jest ledwie wielkości pięści.

Przyrosty kurcząt na fermach wynikają z wysokobiałkowych pasz naszpikowanymi sterydami. Sterydy wywołują u ptaków wielki apetyt, ale rozwalają im układ odpornościowy. Żeby jednak nie chorowały, wciska się im antybiotyki, które nie dopuszczają do infekcji stada. Co prawda rozwała

im to wątroby, ale w sześć tygodni szlag ich z tego powodu nie trafia. Specyfiki – jak w sporcie – podaje się w taki sposób, by w trakcie badania mięsa były nie do wykrycia.

Opryskliwe jabłka

Co jakiś czas w jakimś europejskim kraju wycofuje się polskie owoce. Kiedyś Szwedzi znaleźli w kilogramie jabłek 0,08 miligrama chlorpiryfosu przy dopuszczalnym maksymalnym unijnym limicie 0,01 miligrama. Było to za PiS, więc politycy tej partii orzekli, że przekroczenie to wina Unii, bo jeszcze do niedawna dopuszczalne było znalezienie w jabłku 0,5 miligrama tego pestycydu.

Z badań żywności wynika, że w niemal 6 proc. polskich warzyw i owoców jest więcej pozostałości pestycydów, niż wynoszą dopuszczalne normy. Zgodnie ze standardami stężenie tych środków było w 47 proc. naszych ekologicznych warzyw i owoców. Prosty rachunek pokazuje, że bez pestycydów jest mniej niż połowa.

Statystycznie jesteśmy ponoc w zużyciu pestycydów daleko za średnią unijną. Jeszcze 12 lat temu statystyki mówiły, że polski rolnik zużywa ok. 1 kg tych substancji na hektar. Dziś zużyjemy ok. 2 kg, na Zachodzie Europy – 2,5 kg.

Wyliczenie Eurostatu jest obarczone błędem wynikającym z tego, że podzielono ilość pestycydów na deklarowane przez polskich producentów rolnych hektary uprawne. A tych, zdaniem znawców, jest o ok. 20 proc. mniej. Gdy do tego dorzucimy, że naprawdę towarowa uprawa odbywa się na dwóch trzecich tego arealu i tam wylewa się wszystkie fungicydy i herbicydy, to okaże się, że w ilości stosowanych środków ochrony roślin nie tylko nie ustępujemy Zachodowi, ale nawet go przewyższamy.

Jednak jak za PiS, tak teraz, gdy wsią rządzi PSL, obowiązuje rządowy optymizm i kombinowanie, jak by tu zwiększyć sprzedaż najlepszej w świecie polskiej żywności polskim konsumentom. Choć do tego, że każdy rząd opowiadał bajki o ekologii i przymiotach naszego rolnictwa, można się było

przywzyczać. Wciskano nawet, że polskie jest zdrowsze, bo stosujemy mniej niż na Zachodzie nawozów sztucznych. Tyle że to ściema.

Nawozy są rozsiewane głównie na polach wielkoobszarowych. Czyli tych, z których plony trafiają do największych zakładów przetwórczych, gdzie zaopatrują się giganci dostarczający towary do sklepów. Wórków ze związkami azotu, potasu i fosforu ładuje na tych arealach tyle, ile w całym cywilizowanym rolnictwie. Ci, którzy mają małe gospodarstwa, z reguły nie nawożą. No i tego, co zbiorą, nie sprzedają, tylko wykorzystują do skarmiania siebie i produkowanego na własne potrzeby mięsa.

W 2023 r. wszystkie stacje monitorujące jakość powietrza w Polsce odnotowały 13-krotne przekroczenie dopuszczanej przez WHO wartości benzo(a)pirenu, przy której pojawia się prawdopodobieństwo nowotworu. Wszystkie, czyli również te z terenów rolniczych. A może nawet przede wszystkim. 76 proc. emisji tego cholerstwa w Polsce powstaje w wyniku indywidualnego ogrzewania budynków. Znaczący na wsiach i w małych miastach.

Benzo(a)piren ma to do siebie, że jest w cudownie prosty sposób wchłaniany przez rośliny. I to zarówno te, które zjada potem człowiek, jak i przeznaczone na paszę dla zwierząt wcinanych przez człowieka.

W emisji wymienionego węglowodoru przebijamy wszystkich w Unii, i to wielokrotnie. Nasze uprawy i hodowane zwierzęta też przebijają. Na razie zanieczyszczenia żywności benzo(a)pirenem nie ma w spisie kontrolowanych skażeń i dlatego nikt z tego powodu nie ściga polskich płodów rolnych.

Inspektorzy do inspektów

Przez poprzednich osiem lat dla poprawy dobrostanu psychicznego producentów żarcia PiS starało się, żeby nie było kontrolerów. W tym celu wystarczyło im mało płacić. Dlatego inspektorów jest ok.

15 proc. mniej niż w 2015 r. To wystarczy, by kilkadziesiąt zespołów mających kontrolować firmy produkujące żywność nie było w stanie robić tego, co do nich należy. Czyli sprawdzać, czy do sklepów nie trafia jakaś trutka.

Kolejną przyczyną tego, że historie o zdrowej polskiej żywności są bajkami, jest i to, że Polska nie dostosowała się nawet do unijnych ustaleń dotyczących bezpieczeństwa żywności, z których wynikało, że tą kwestią w każdym kraju powinna się zająć jedna instytucja, a w najgorszym wypadku kilka, ale z jedną, która za działania innych będzie odpowiedzialna. Co prawda w 2017 r. Rada Ministrów przyjęła zgodny z europejskimi rozwiązaniami projekt ustawy o Państwowej Inspekcji Bezpieczeństwa Żywności, tyle że dzięki lobby rolniczemu ustawa nie była procedowana.

I dlatego w Polsce kompetencje w zakresie bezpieczeństwa żywności ma kilka instytucji. Podlegają one trzem organom naczelnym. Kontrolowaniem jedzenia zajmuje się więc u nas Państwowa Inspekcja Sanitarna, która sprawdza bezpieczeństwo żywności pochodzenia niezwierzęcego na etapie produkcji oraz wszystkich produktów żywnościowych na sklepowych półkach. To samo, tyle że w zakresie żywności pochodzenia zwierzęcego ma w swoich kompetencjach Inspekcja Weterynaryjna. Inspekcja Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych nadzoruje – niespodzianka – jakość handlową artykułów rolno-spożywczych. Kontrolować artykuły spożywcze może również Państwowa Inspekcja Ochrony Roślin i Nasiennictwa. A w eksport żywności zaangażowana jest Krajowa Administracja Skarbowa. Gdyby tego było mało, to to, co trafia na talerz, może również kontrolować Inspekcja Ochrony Środowiska, tyle że na etapie rośnięcia roślin i hodowania zwierząt.

Oprócz tego nad zawartością polskich talerzy czuwają również: Państwowy Instytut Weterynaryjny oraz Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego – Państwowy Zakład Higieny.

Każdy z instytucjonalnych kontrolerów ma swoje definicje, przepisy i zestaw kar. Najczęściej u każdego te same zwroty znaczą coś zupełnie innego. Stąd ustawiczne spory kompetencyjne pomiędzy Inspekcją Weterynaryjną a Państwową Inspekcją Sanitarną dotyczące nadzoru nad produktami pochodzenia zwierzęcego.

Przy takim bażlu ostatni działający kontrolerzy robią wszystko, żeby niczego nie znaleźć. Dzięki temu ich praca przebiega sprawnie, a wziętki od kontrolowanych płyną szerokim strumieniem.

Dzięki paranoi instytucjonalnej, pogoni producentów rolnych za zyskiem oraz brakowi przepisów dotyczących stosowania konserwantów, przeciwutleniaczy, emulgatorów czy wzmacniaczy smaku, każdy Polak zjada rocznie ponad 2 kg substancji oznaczonych na opakowaniach literą E i paroma cyframi.

Nie ma żadnej instytucji, która ma uprawnienia do kontrolowania wszystkich tych substancji łącznie.

Wcinamy też większość partii produktów żywnościowych, które powinny być wycofane ze sprzedaży i zutylizowane. Nim bowiem informacja o ich szkodliwości przepłynie do czynników decyzyjnych i wróci do sklepów, mija taki czas, że niebezpieczne żarcie już dawno jest strawione przez konsumentów. Dzieje się tak z 90 proc. przypadków zakwestionowanych przez kontrole partii towarów żywnościowych.

Jeszcze zabawniej wygląda kwestia bezpieczeństwa żywności u samych rolników. Prowadzone przez NIK niemal co roku kontrole pokazują, że nic się w tej sprawie nie zmienia. Więc *Inspekcja Weterynaryjna nadzór nad transportem własnych zwierząt przez rolników sprawuje jedynie marginalnie*. Ba, według inspektorów NIK weterynarze nie znają nawet przepisów o ochronie zwierząt, zasad rejestracji ubojów ani kwalifikacji osób przeprowadzających ubój. Nie ma się więc co dziwić, że hodowcy informują tylko o niektórych ubojach.

Czy wsią władza PiS, czy PSL, nic się nie zmienia. Lobbing rolniczy i umizgi do wiejskiego elektoratu powodują, że polskie żarcie wciąż będzie trulo. A niemający o niczym pojęcia telewizyjni żurnaliści, stojąc gdzieś przy drodze za miastem, będą dalej pisać z zachwytu nad naszymi nieskażonymi niczym płodami ziemi. Tej ziemi.

TOMASZ BOROWIECKI

Zniewolenie słów

Lewica, nie walcząc o język, przegrywa walkę o swoje istnienie

Dla większości społeczeństwa, jak się zdaje, nie jest w gruncie rzeczy istotne, jakie słowa i zwroty dobiera, żeby wyrazić swe myśli. Polacy mówią byle jak, nieźbornie, niechlujnie. W dialogu lub dyskusji są krzykliwi, niezorganizowani, wypowiadają się emocjami, a nie argumentami. Są niekonsekwentni w myśleniu, a to ma odbicie w mowie. I czynach.

Nie oglądam regularnie żadnej stacji telewizyjnej, bo nie ma po co; mógłbym usłyszeć tylko bełkot. Z prasy stale czytuję zaledwie dwa tytuły; po latach zrezygnowałem z „Polityki” ze względu na używanie przez nią wyrażenia „komunizm” na określenie lat Polski Ludowej. Takiego ustroju w Polsce nie było. Pismo używa „komunizmu” – podobnie jak inni – jako inwektywy. Krzysztof Czyżewski z sejmieńskiego ośrodka Pogranicze napisał tak: *Dzisiaj z języka chcę mnie wykluczyć albo przez język sprawować władzę nade mną media, rynek, ideologie – nowe i te stare, których śmierć przedwcześnie wieszczono* („Kroniki według Muzeum im. Marii Konopnickiej w Suwałkach”, 2015). Ma rację. I wywołuje tym samym pytanie: jak się bronić przed atakami rzeczywistości? Na razie – odpukać – jeszcze atakami słownymi, psychicznymi, rzekłbym szerzej.

Dla siebie, w celach ratunkowych, kilkanaście lat temu stworzyłem niszę w postaci – nazwałem to tak – *komputerowego listu otwartego do przyjaciół* – „Komu-ni-katy 2”. Od czasu do czasu składałem w komputerze parę kartek wypełnionych tekstami, wierszami, felietonami, listami, powielałem w ilości 40–45 sztuk, wkładałem do kopert i rozesyłałem do znajomych, przyjaciół, ludzi bliskich mi ideowo. Mogłem ów samizdat wydawać bez najmniejszej cenzury, pisać o rządzących, nie przebiegając w słowach, publikować w nim to, co chciałem, a nie to, co (ongiś, gdy byłem na etacie) nakazywał wydawca. Sama radość, oddech wolności. Wówczas też – wolny od zniewolenia przez salony warszawki, czemu uległa cała polska lewica – zacząłem sobie po kawałku analizować polską rzeczywi-

stość językową. Dlaczego? Ponieważ od dawna przeczuwałem, że rodzi się coś społecznie niebezpiecznego. Że wyłazi jak z mora – obudzony przez panów Obojga Kaczyńskich – obскурantyzm II Rzeczypospolitej, klerikalizm połączony z faszyzującym autokratyzmem Piłsudskiego, z jego obozami koncentracyjnymi, kultem wojska i wojny, a wszystko podlane jest tzw. patriotyczno-katolickim (miłym dla durniów) sosem.

Słowa są ważne. Język jest ważny!

Trzeba by te dwa krótkie zdania wbijać ludziom myślącym (zwłaszcza lewicy) pałką do łba. SLD, będąc u władzy, zupełnie nie zrozumiał wagi tych stwierdzeń. Ba, nie chciał rozumieć! Podobnie wielu moich znajomych, przyjaciół lekceważyło obiekty, kiedy irytowała mnie numeracja Rzeczypospolitych, liczni machali ręką z powodu istnienia „komunizmu” w Polsce, inni dali się zauroczyć II RP z jej obozami, zamordyzmem, cenzurą, kultem jednostki, mimo powszechnej wtedy biedy.

Prof. Jerzy Borejsza uważa, iż *faszizm zaczyna się od języka. Zmiana języka jest znakiem ostrzegawczym* („Polityka”, 2017). Z kolei Witold Nawrocki zapisał: *Znana to praktyka z analiz językowych, jakie przeprowadzali Nachman Blumental, Victor Klemperer, George Orwell i inni, opisując język w służbie zniewolenia i eksterminacji. Nie chodzi w nim o pierwotne znaczenie słowa, ale o zastosowanie słowa jako pomniejszającej me-*

tafory, w celu dyskredytacji piętnowanego obiektu („Dziś”, 2006). Piotr Tymochowicz („Trybuna”, 2006) mówił: *Bardzo charakterystyczna jest tu kariera pojęcia postkomunizm. To jest wytwór politycznego czarnego piaru, ponieważ każdy, kto pamięta czasy PRL, rzekomego komunizmu, ten wie, że w Polsce nie było żadnego komunizmu, tylko bardziej czy – częściej – mniej udolne formy wcielania w życie rozmaitych strategii socjalistycznych. I oto po 1989 roku wyrosli nagle tzw. postkomuniści. Równie dobrze można by nie tylko księży, ale też ministrantów nazwać postinkwizytorami. (...) Skoro wszyscy mówią o postkomunistach, to młodzi ludzie rzeczywiście zaczynają wierzyć, że był jakiś komunizm. To jest wielki sukces postpiarowy prawicy.*

Jakie mechanizmy doprowadziły do tego, że w Polsce słowa odkleiły się od pierwotnych znaczeń? Oczywiście – my sami i umiejętna manipulacja nami. Ale po kolei...

Polski Ludowej nie było?

Zacznijmy od podstawowej kwestii, to jest numeru aktualnej Rzeczypospolitej. Lech Wałęsa, przebijając nogami do fotela prezydenckiego, rozpetał nagonkę na prezydenta Wojciecha Jastrzębskiego, żeby ustąpił mu miejsca. A kiedy dostał wreszcie ów mebel, natychmiast ogłosił nastanie III RP. Posłuszne mu prawicowe, ale i bezrozumne lewicowe media, politycy i wiele osób publicznych, jak za panią matką kupiło takie nazewnictwo.

Gdyby przyjąć tę ideologiczną, a nie porządkującą figurę, to logicznie

rzecz biorąc, wychodzi, że nie było w naszych dziejach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Nie było realnie funkcjonującego państwa polskiego, a 45 lat życia wielomilionowego narodu wyparowało! Jeśli jednak nie było Polski – PRL, to gdzie w takim razie robiła swe doktoraty PRL-owska opozycja („straszenie prześladowana”, jak wiadomo)? Gdzie kręcił najlepsze filmy Andrzej Wajda? Dlaczego te „zniewolone” seriale – ponoć niezasługujące na określenie „polskie” – wciąż wracają na ekrany telewizyjne?

Co śmieszne, jeden z głównych przedstawicieli nurtu nieuznającego PRL, Lech Kaczyński, wręczył Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski słynnemu trenerowi piłkarskiemu Kazimierzowi Górskiemu, właśnie za sukcesy tamtego okresu. Ba, podkreślał to nawet w przemówieniu do Górskiego.

Dla ówczesnej polskiej piłki nożnej był to pierwszy tak wielki sukces – mówił – *Nie było wcześniej tak olbrzymiej ilości pozytywnych emocji w społeczeństwie, które tych emocji potrzebowało. Cała Polska to panu pamięta i będzie pamiętała zawsze...* Dlaczego Kaczyński mówił o Polsce, czyli PRL? Dlaczego stwierdzał: *Pol-ska, polskiej* – skoro to ponoć nie była Polska?! Czemu nie wypiął się na Górskiego za sukcesy w „nieistniejącym” państwie? Bo Górski był zbyt popularny, legendarny wręcz! Bo dzisiejsze państwo nie ma czego przeciwstawić tamtym sukcesom?

Jeśli PRL jest potrzebna (do oskarżeń zwłaszcza), to wówczas słyszymy, że istniała. Lecz jeśli jest niewygod-

na – słyszymy opowieści o okupacji i inne bzdury.

Jest oczywiste, iż kolejna Polska (1944–1989), na pewno inna niż przedwojenna, może nosić tylko numer trzeci. W latach 1989–1990 zmienił się ustrój, to prawda przez większość aprobowaną, zatem po Okrągłym Stole powstała IV RP. Wszystko zatem wskazuje, że pisanie, mówienie o kapitalistycznej formacji narzuconej nam przez rząd Tadeusza Mazowieckiego (nikt narodu nie pytał o zgodę!) jako o III RP jest ewidentnym błędem! A uparte jego powielanie jakąś aberracją. Jednakże mimo oczywistości błędu nazwa weszła w życie i jest wciąż używana, także – co dziwne – przez lewicę i lewicowego (teoretycznie) prezydenta, który na dodatek utrwalił to w konstytucji.

Postkomunizm?!

Kolejnym narzuconym przez prawicę i odmienianym na wszelkie możliwe sposoby słowem jest *komunizm*. Mamy *komunistę*, *postkomunizm*, są *komuna* oraz – jako antidotum – *komuch* wymyślony w „NIE”. Nic by mi ten *komunizm* nie przeszkadzał, gdyby rzeczywiście mówił o czymś, co istniało w PRL. Tymczasem, jak pamiętam, z poprzednim ustrojem rozstaliśmy się akurat na etapie tzw. rozwinętego socjalizmu. Na podobnych zasadach, niezrządco zresztą zamykając, funkcjonuje *totalitaryzm*. Jednak nawet porządni historycy występujący w mediach, niestety, *komunizm* ani *totalitaryzm* nie negują! Wbrew logice i prawdzie. Jak można mówić o komunizmie, skoro za Gomułki funkcjonowały indywidualne gospodarstwa rolne, zakłady rzemieślnicze, a np. za Gierka istniały prywatne firmy, niektóre spore, potem tzw. polonijne, nieźle rozwinięte było prywatne rolnictwo (i to jak nigdy przedtem i po-



Żywy towar tanio wynajmę

Rynek pracy w kraju, w którym nie ma bezrobocia, zaskakuje.

W 2010 r. bezrobocie w Polsce wynosiło 12,4 proc. Działo wtedy u nas niecałe 3 tys. firm noszących dumne miano agencji zatrudnienia. Zajmowały się wyszukiwaniem pracy osobom jej szukającym i pracowników firmom potrzebującym rąk do pracy.

Dziś bezrobocie to ok. 5 proc., a agencji zatrudnienia mamy prawie 9 tys. Dziwne? Nie do końca otóż. Prywatne pośredniki muszą z czego żyć. Nie mogą liczyć na kasę od bezrobotnych, bo ci najzwyczajniej w świecie groszem nie śmierzdzą. Kasę mają zaś przedsiębiorcy. Gdy bezrobocie jest wysokie, firmy nie mają problemu ze znalezieniem rąk do pracy. Chętni pchają się sami. W takiej sytuacji dla firmy idiotyzmem byłoby korzystanie z pośrednika, któremu trzeba by za to płacić.

Zupełnie inaczej wygląda jednak sytuacja, gdy chętnych do roboty jest niewiele lub ich nie ma. Biznesmeni – chcąc nie chcąc – muszą wyskoczyć z kasy i zacząć korzystać z firm headhunter-skich. Te, czując interes, będą się więc otwierały na potęgę. Dzięki temu w kraju, w którym redukuje się personel powiatowych urzędów pracy z powodu braku bezrobotnych, prywatny biznes headhunterski kwitnie.

Agencje nietowarzystkie

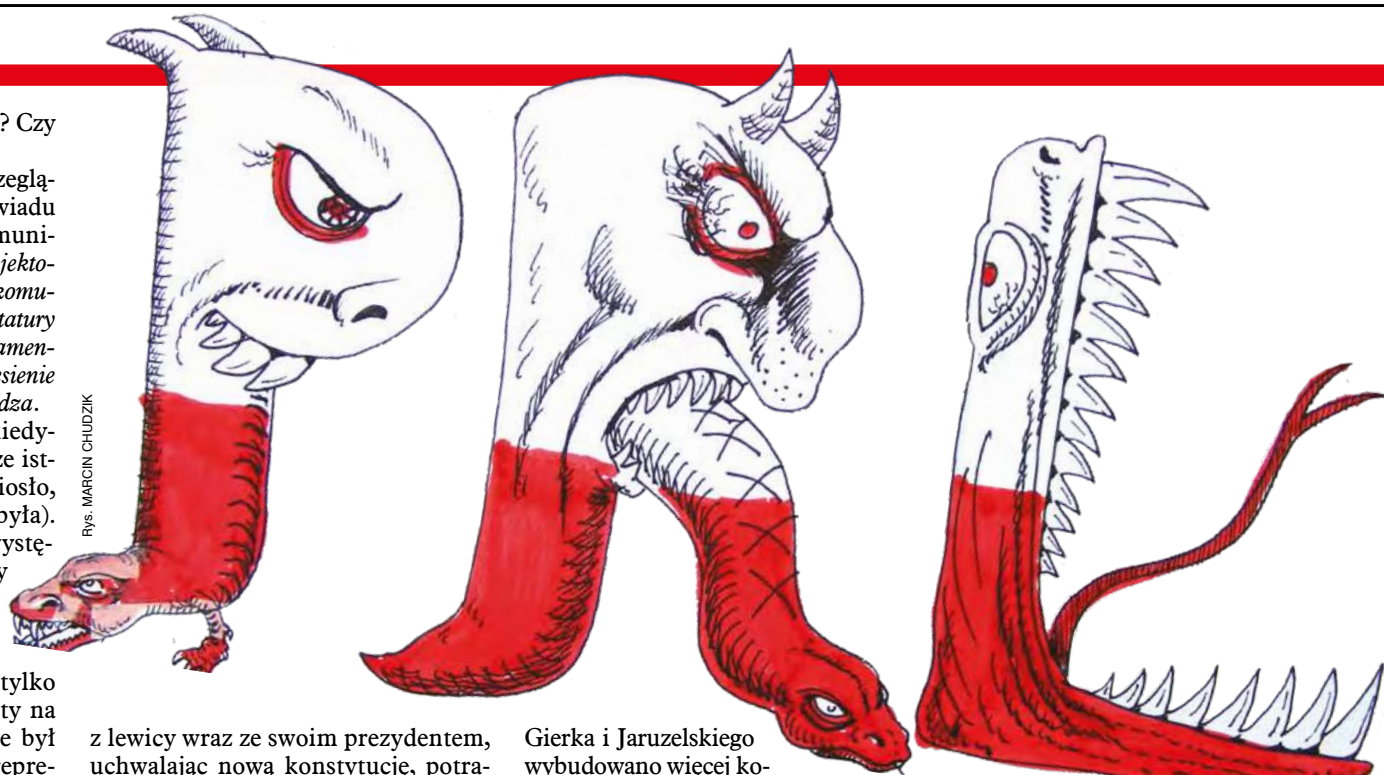
Cudowne rozmnożenie prywatnych agencji zatrudnienia to niejedyna ciekawostka polskiego rynku pracy. Drugą, znakomicie większą, jest nieustająca popularność agencji pracy tymczasowej. Firm, których w epoce internetowych wyszukiwarek roboty i kosmetycznego bezrobocia być nie powinno. Tymczasem są. Nieco tylko skromniejsze niż jeszcze w 2018 r., gdy zatrudniały 776 tys. osób. Dziś agencje wciąż dają robotę prawie 600 tys. ludzi, a mamy ich w Polsce niemal 4 tys.

Jeśli komuś to wszystko wydaje się zaskakujące, to śpieszę wyjaśnić, że połowę zatrudnianych przez agencje pracowników stanowią osoby z nienaszymi paszportami. Gros z nich to oczywiście Ukraińcy. Zdziwienie więc może być nieco mniejsze, ale tylko trochę, bo przecież 300 tys. osób wynajmowanych przez jedną firmę innym firmom, to wciąż Polacy.

Leasingowanie, dzierżawienie, czy nawet sprzedaż i wynajem rąk do pracy są zgodne z prawem. Działalność firmy oferującej pracowników jest prosta jak budowa młockarni manualnej. Agencja pracy tymczasowej zgłasza się do przedsiębiorcy z propozycją obniżenia kosztów pracy. Ma czystą historię w KRS i jest wpisana do rejestru agencji pracy prowadzonego przez urząd marszałkowski. Oferuje, że przejmie pracowników i zatrudni ich na takich samych warunkach, jakie mieli dotychczas, i oczywiście będą robili to, co robili do tej pory. Biznesmen będzie zwolniony z zajmowania się zwolnieniami, urlopami i obróbką kwitów. Ma jedynie płacić agencji pensję netto danego pracownika, składki ZUS i podatku dochodowego. Najzabawniejsze, że od lat tak sądy, jak i Państwowa Inspekcja Pracy uznają taki mechanizm za niezgodny z prawem. Państwo wykazuje się tu oczywistą hipokryzją, bo czemu outsourcing pracowników ma służyć jak nie okradaniu państwa?

Skoro pracownik przychodzi do przedsiębiorcy wykonywać jakąś robotę codziennie o wyznaczonych porach i słucha kierownika z tego przedsiębiorstwa, to jest pracownikiem. I to tego przedsiębiorstwa, a nie firmy outsourcingowej. Tak stanowi kodeks pracy. Tyle że jest też ustawa o pracy tymczasowej, która taki myk – z bólem – ale dopuszcza.

Jaki interes ma taki przedsiębiorca, skoro od każdego zatrudnionego u siebie przez agencję



Rys. MARCIN CHUDZIK

tem), występowała spółdzielczość? Czy to są cechy komunizmu?

Prof. Andrzej Walicki w „Przeglądzie” (2013) już w tytule wywiadu wołał, że „W Polsce nie było komunizmu”! Udowadniał, iż istotą zaprojektowanej przez Karola Marksa utopii komunistycznej jest nie jakaś forma dyktatury politycznej, ale antyrynkowy fundamentalizm postulujący całkowite zniesienie rynku, własności prywatnej i pieniądza.

Czy coś takiego mieliśmy kiedykolwiek w naszym kraju? Zawsze istniały prywatne rolnictwo, rzemiosło, spółdzielczość (jakakolwiek była). Komunizm w obecnej Polsce występuje jako epitet. Podobnie gdy się chce kogoś obrazić, wystarczy go nazwać Żydem, Arabem, Murzynem. Należałoby zatem krzyczeć, prostować, gdzie tylko można, że mieliśmy ustroj oparty na marksistowskich podstawach, że był to socjalizm. Inny, najbardziej represyjny, był stalinizm, a już coś innego działało się za Gomułki (zresztą należy odróżnić „wczesnego” od „późnego”), a jeszcze inaczej trzeba patrzeć na czasy gierkowskie. Tymczasem

zwykli Polacy mówią dziś swobodnie: za komuny i jest to już, niestety, powszechny zwrot potoczny, a więc najtrudniejszy (prawie niemożliwy) do wyrugowania. Także w pracach naukowych (zwłaszcza u promotorów prawicowych) komunizm się przyjął. Propaganda rządowa zadziałała skutecznie!

W tym czasie Polacy „niezwykli”, czyli posłowie – w tym nieszczęśnicy

z lewicy wraz ze swoim prezydentem, uchwalając nową konstytucję, potrafili wpisać (czego nie mogą wprost pojąć!) nieistniejący między Bugiem a Odrą *komunizm* jako zbrodniczy ustroj, którego nie wolno propagować. Co obecnie pokutuje i odbija się na wszelkich niewygodnych dla władzy osobistościach, gdyż pozwala prawić prześladować przeciwników politycznych za ich biografie. Niestety, wpisu o zbrodniach rzymskiego kościoła, w tym o inkwizycji i stosach, nie wprowadzono. Dlaczego?

To może zaskakiwać rozsądnych ludzi np. z zagranicy, lecz totalitaryzmem w Polsce jest nazywany ustroj, w którym – zwłaszcza pod koniec jego istnienia – istniała jawna opozycja (nb. – nie rozumiem, dlaczego zwykle dodaje się „demokratyczna”), znane były nazwiska czołowych jej działaczy, wydawano pisma, w których autorzy podpisywali utwory literackie, publicystykę czy rozważania polityczne prawdziwymi nazwiskami. Najnowsze encyklopedie i leksykony definiują totalitaryzm poprzez monopol informacyjny i panowanie jednej państwowej ideologii. Czy ustroj panujący w PRL był totalitaryzmem? Jaki mógł być wtedy monopol ideologiczny, jeśli w czasach

Gierka i Jaruzelskiego wybudowano więcej kościołów niż (chyba) od czasów Mieszka I do II wojny? A w tychże kościołach jawnie głoszona była zupełnie inna ideologia niż państwowa.

Dlaczego tak głupio?

Problem wobec powyższych wywodów brzmi wg mnie następująco: dlaczego tylu rozsądnych, logicznie myślących ludzi pozwalało sobie przez lata (do dziś!) wmawiać jawne nieprawdy? Dlaczego ulegali typowo goebbelsowskiej propagandzie prawiicy? Dlaczego nikt nie protestował i zdecydowanie nie prostował kłamstw? Dlaczego żaden lewicowiec (a mieliśmy ponoć lewicowego prezydenta, premierów, ministrów), występując w różnych telewizjach, stacjach radiowych, nie odważył się zaprotestować przeciw bzdurom i opluwaniu własnych życiorysów? Dlaczego lewica mówi językiem prawiicy? Czy dla lewicy naprawdę wartość słowa się nie liczy? Wygląda, że nie!

Lewica, obywatele, środowiska myślące ponoć o niezależności nie szukały własnych rozwiązań, w tym medialnych. A jeśli nawet szukały – to mało co się z tego ostało. Nieliczne próby

(np. powołanie pisma przez Leszka Millera) kończyły się po tupnięciu „Gazety Wyborczej”. Podobnie załatwiono niezależne „Wiadomości Kulturalne” KTT. I tak front (propagandowy? ideowy?) został przez „niezależnych lewicowców” odpuszczony. A przecież jego głównym narzędziem był/jest język. Mógł to być własny język. Ale nie było (i nie ma) go gdzie kształtować. Lewica jest ideowo i medialnie bezzębna.

I tu mamy po części odpowiedź na pytanie o *komunizm* lub *III RP* – nie mając własnego języka (= myślenia), trudno o coś walczyć, do czegoż przekonywać społeczeństwo. Zwłaszcza jeśli się uznaje, że faktycznie „wam mniej wolno”... To też oznacza brak charakteru.

Prof. Jan Kurowicki tak objaśnia mechanizmy nowej Polski: *Transformacja nie tylko zmiotła poprzedni ustroj. Uczyniła też podstawową zasadą poprawności politycznej ideę, że Polska Rzeczpospolita Ludowa była kulturalną, literacką i artystyczną czarną dziurą, zniewalającą i gnębiącą naród. Na jej tle wyróżniali się pozytywnie jedynie (jawni lub skryci) twórcy opozycyjni. Resztę zaś tworzących, która*

do nich nie przystała, uznano za miernoty lub nędznych moralnie karierowiczów. Niezależnie więc od charakteru swych dokonani, byli wdeptywani w ziemię i skazywani na publiczną śmierć. Ale z pewnym wyjątkiem. Ci mianowicie, którzy posypali głowy popiołem, pokajali się w słusznych gazetach, nawrócili na „prawdziwą” dla Polaków wiarę (...) byli „rozgrzeszeni”. Szybko wrócili do łask. Do gazet, telewizji, radia, wydawnictw... Kurowicki ani się nie pokajał, ani nie miał zamiaru zostać członkiem takiego establishmentu. *Brzydzi mi – napisał o dawnych kolegach. Niepowtarzalny KTT zaś słusznie wywodził: Kto panuje nad językiem publicznym, kto narzuca tematy publicznej debacie, ten panuje nad poglądami społeczeństwa. Jest to prawda, której doświadczaaliśmy nieraz, a której skutki zwłaszcza formacje lewicy odczuwają do dzisiaj.* („Przegląd”, 2008).

Konkludując, jeśli formacja nie ma własnego języka, czyli własnego narzędzia do opisanie (i rozumienia świata) – to po prostu nie ma własnego projektu społecznego istnienia. Parę lat temu w „Przeglądzie” Tomasz Jastrun zacytował Ryszarda Kapuścińskiego. Celny fragment wypowiedzi wybitnego reportera brzmiał tak: *Wojna we współczesnym świecie zaczyna się od zmiany języka w propagandzie. Kiedy śledzimy język, to, jak on się zmienia, jak zaczynają pojawiać się pewne słowa, okazuje się, że raptem, nie wiadomo skąd, pojawiają się takie słowa, jak wróg, nieprzyjaciel, zniszczyć, zabić... A zatem zaczyna się pojawiać język agresji, język nienawiści. Inaczej mówiąc to, co się nazywa „hate speech”. Jeszcze nie ma żadnej wojny, nie ma w ogóle jej śladu, w ogóle nic się o tym nie mówi. Natomiast zaczyna się zmieniać język komunikacji. I w tym momencie, po tych zmianach języka, po tym jak one się zaczynają nasilać i ukierunkowywać, widzimy, że zaczyna się zbliżać zawierucha wojenna.* Patrz: Polska.

W 2016 r. w „Irybunie” Piotr Gadziński napisał tekst, w którym najbardziej wymowny jest tytuł. „Sami sobie to szambo...”. Niestety, miał i wciąż ma rację!

EUGENIUSZ KURZAWA

pracy tymczasowej musi jej odprowadzić haracz? Nikt wszak nie ma złudzeń, że marża narzucona przez agencję jest w stanie zrównoważyć koszty działu kadr, który pracowników obsługiwał, zwłaszcza że dział kadr i tak firma mieć musi, bo ktoś w niej przecież pracuje. O haracz pobierany przez agencję pracy tymczasowej mogłyby być zatem wyższe zarobki każdej zatrudnianej za jej pomocą osoby.

Patologia uświadomiona

Aby możliwe było wykonywanie pracy tymczasowej, konieczne jest nawiązanie relacji między trzema podmiotami. Agencją pracy tymczasowej, pracodawcą użytkownikiem – czyli pracodawcą wyznaczającym pracownikowi skierowanemu przez agencję zadania i kontrolującym ich wykonanie – oraz pracownikiem tymczasowym, czyli osobą zatrudnioną przez agencję na rzecz i pod kierownictwem pracodawcy użytkownika. W przypadku umowy o pracę tymczasową pracownik, podobnie jak na etacie, ma prawo do urlopu wypoczynkowego oraz nadgodzin płatnych zgodnie z kodeksem pracy. Okres świadczenia pracy w ramach umowy tymczasowej wliczany jest także do stażu pracy. Agencje pracy tymczasowej zatrudniają pracowników zarówno na umowach cywilnoprawnych, jak i umowach o pracę tymczasową. Bez względu na formę zatrudnienia z wynagrodzenia pracownika odprowadzane są do budżetu państwa podatki oraz składki na ZUS dla osób, które podlegają ubezpieczeniu społecznym. Tak stanowią przepisy polskiego prawa.

Czy zatem przedsiębiorcy korzystający z agencji są idiotami, czy w tym wszystkim jest jakieś drugie dno? Bo jest.

PIP przez kilka lat prowadziła kontrole tego segmentu. Na 354 firmy skontrolowane przez inspekcję w 2019 r. nieprawidłowości stwierdzono w 82 proc. podmiotów. Co druga agencja pracy tymczasowej nie przestrzegała przepisów określonych w ustawie o promocji zatrudnienia i instytucjach rynku pracy. Ponadto blisko 50 firm oferujących pracę tymczasową nie miało certyfikatu potwierdzającego wpis do rejestru podmiotów prowadzących agencje zatrudnienia.

Aż 128 agencji pracy tymczasowej nie ustaliło z pracodawcą warunków zatrudnienia pracowników. Łącznie dotyczyło to 1706 osób. Ponad 64 agencje nie dały osobom zatrudnianym danych kontaktowych do swoich przedstawicieli, co uniemożliwiło bezpośredni kontakt z pośrednikiem 129 pracownikom, a 62 agencje nie wyda-

ły zaświadczeń o okresie zatrudnienia na stanowisku pracownika tymczasowego 1378 osobom.

432 pracownicy nie otrzymali przed zawarciem umowy informacji na piśmie o warunkach zatrudnienia – nie dopatrzyło tego obowiązku 47 agencji. 648 pracowników tymczasowych miało problemy z wynagrodzeniami w 31 agencjach. 24 agencje pracy tymczasowej zatrudniały na podstawie umów śmieciowych, mimo że powinny zaoferować umowy pracy tymczasowej.

Żeby tylko! Na 33 skontrolowane firmy zatrudniające Ukraińców czy Białorusinów nieprawidłowości stwierdzono w 30 podmiotach, co stanowiło 91 proc. wszystkich. Agencje pomagały cudzoziemcom znaleźć pracę nielegalnie, nie zawierały z nimi pisemnych umów, dawały do podpisywania umowy z niedozwolonymi klauzulami bądź nie przedstawiały przed podpisaniem umowy jej tłumaczenia na język ojczysty, przez co przyszli pracownicy nie byli w stanie zapoznać się z zasadami obowiązującymi podczas wjazdu, pobytu i pracy w Polsce.

Kolejne kontrole przeprowadzane w agencjach przez PIP w następnych latach pokazywały, że nic się nie zmienia.

Pojawiam się i znikam

Agencję zatrudnienia w Polsce może założyć każdy. Zamknąć oczywiście też. Od lat rotacja agencji utrzymuje się na bardzo wysokim poziomie. Co roku rejestruje się niemal 2 tys. firm i tyle samo jest skreślanych z rejestru. Nic zatem dziwnego, że

ze składkami na ZUS zatrudnianych przez agencje ludzi i z ich zaliczkami na podatek bywa różnie. Nader często kasa ta do państwa nie wpływa.



Rys. JANUARY

Oczywiście pracujący na tymczasówkach o tym nie wiedzą, bo gdy jedna firma pada, zostają przejęci przez inną agencję na tych samych zasadach.

Marża ściągana przez agencję powoduje, że pracownicy tymczasowi nie zarabiają tyle, ile powinni. Nie mają też realnych możliwości wywalczenia podwyżek. Dlatego ci, którzy mogą, szukają czegoś lepszego. Na tymczasówki wskakują więc ludzie bez wyboru, najczęściej cudzoziemcy niekumający realiów polskiego rynku pracy.

Jeśli z raportu ministerstwa pracy wynika, że około 54 proc. pracowników tymczasowych w Polsce zatrudnionych jest na podstawie umów cywilnoprawnych, to znaczy, że większość dotyczy zatrudnianych cudzoziemców. Dla obywateli innych państw rodzaj umowy nie ma znaczenia. Zależy im na takiej, która da wyższy zarobek.

Procederów psujących rynek nie brakuje. Agencje uciekają się do rozmaitych forteli, żeby ominąć przepisy związane z ubezpieczeniem

społecznym, legalnym zatrudnieniem czy też zasadami wynagradzania.

Jednym z modnych myków jest włączanie imigrantów zarobkowych zza wschodniej granicy w struktury firmy poprzez sprzedaż im udziałów. Tacy udziałowcy pracują z pominięciem ozusowania ich wynagrodzenia, bo wspólnicy w spółkach z o.o. i akcyjnych nie są objęci systemem ubezpieczeń społecznych.

Zarówno PIP, jak i uczciwsza część branży wiedzą dobrze, że podejrzone agencje najczęściej zarejestrowane są w małych miejscowościach, wirtualnych biurach, a zarząd jest często spoza Polski. Niejednokrotnie nie podają telefonów kontaktowych, nie mają strony internetowej, a reprezentacja wspólników np. na zgromadzeniach wspólników ukraińskich odbywa się za pośrednictwem jednego pełnomocnika.

Dzięki temu umowy z kontrahentem taka agencja rozlicza po obowiązujących stawkach, choć pracownikom-udziałowcom płaci kasę pomniejszoną o składki na ZUS.

Oczywiście są też agencje, które płacą pracownikom pod stołem, fałszując ewidencję czasu pracy czy godziny świadczenia usług lub zatrudniają nielegalnie cudzoziemców. Zdaniem ekspertów takich agencji jest coraz więcej. Im bardziej rosną koszty pracy, tym więcej jest firm posuwających się do niefajnych praktyk.

Klientów korzystających z usług agencji pracy tymczasowej – a często są to bardzo duże firmy – to nie rusza. Wychodzą z założenia, że jest to problem agencji. Dla nich ważne jest, że tanio kupili usługę i sami nie muszą w ten sposób „optymalizować kosztów zatrudnienia”.

Okradaniu pracowników wciąż służą wadliwe rozwiązania systemowe oraz niedostosowanie przepisów do zmieniającej się rzeczywistości. Nie ma też wyraźnych przepisów regulujących minimalne stawki płacone agencjom zatrudnienia za świadczone przez nie usługi. Resort pracy nic nie robi. A można by wprowadzić odpowiedzialność wobec firm, które korzystają z agencji okradających pracowników i ZUS. Jeżeli korzystające z pracowników tymczasowych spółki będą czuły odpowiedzialność karną na sobie, to zaczną sprawdzać, z kim pracują, i nie wpakują się przez pośrednika w gigantyczne kary finansowe.

Ale dlaczego resort pracy miałby się zajmować czymś takim? Ważniejsze przecież są transfery socjalne dla małżeństw obchodzących złote gody.

TADEUSZ JASIŃSKI

Im się te pieniądze po prostu należą

Długoletnie pożycie antykomunistyczne

Jeżeli dwie osoby, które pobrały się dziesięć lat temu, nie rozwiodły się i wciąż żyją, to według polskiego prawa zasługują na medal i uścisk dłoni prezydenta, burmistrza lub wójta. W poprzedniej kadencji do senatu wpłynęła petycja zakładająca wypłatę dla takich par nagrody finansowej. Senatorowie, którym najwidoczniej się nudzi, sięgnęli właśnie do tej propozycji. Gdyby im wyszło, zaczęlibyśmy wracać do starej dobrej tradycji zapoczątkowanej w II Rzeczypospolitej, a kontynuowanej w PRL, która obowiązywała nawet przez kilka lat po obaleniu systemu komunistycznego.

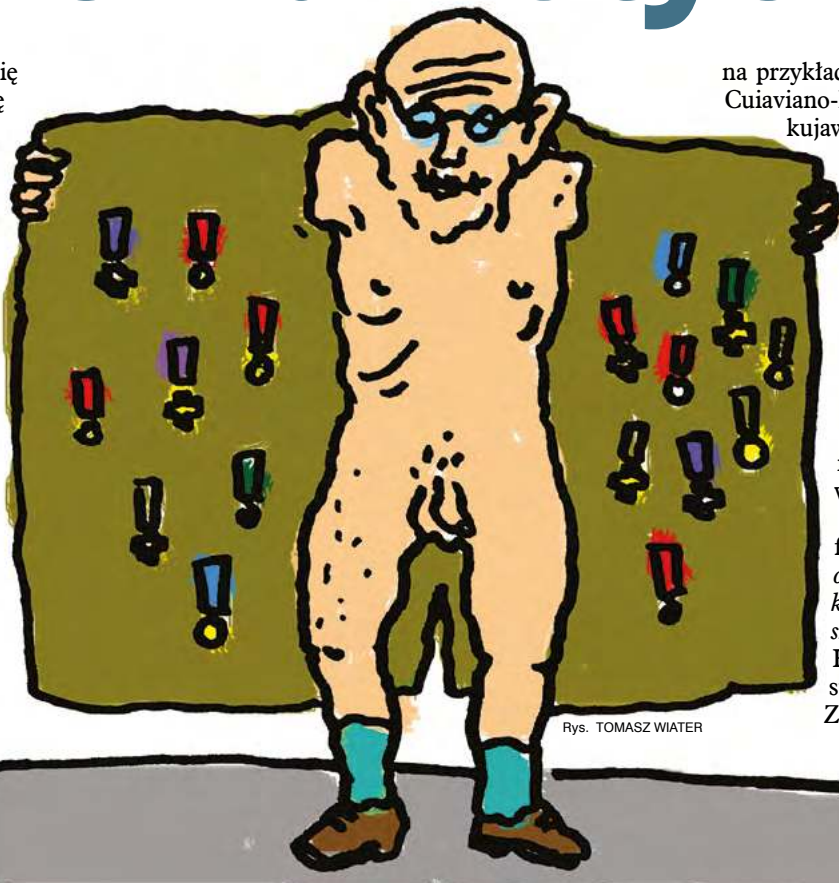
Prawo do 1991 r. stanowiło wszak, że *„dodatek z tytułu odznaczenia państwowego przysługuje osobie uprawnionej do emerytury, renty inwalidzkiej lub renty rodzinnej, odznaczonej orderem: Budowniczych Polski Ludowej, Odrodzenia Polski, Virtuti Militari, Krzyża Grunwaldu, Sztandaru Pracy lub Krzyżem Walecznych, a także tytułem honorowym „Zasłużony Górnik PRL”, „Zasłużony Nauczyciel PRL”, „Zasłużony Hutnik PRL”, „Zasłużony Kolejarz PRL”, „Zasłużony Stoczniovec PRL”, „Zasłużony Portowiec PRL”, „Zasłużony Lekarz PRL”, „Zasłużony dla Zdrowia Narodu”, „Lotnik Kosmonauta PRL”, „Zasłużony Pilot Wojskowy PRL”, „Zasłużony dla Kultury Narodowej”*. Dodatek taki to nie było byle co. Stanowił on miesięcznie 20 proc. emerytury lub renty.

Za nieboszczyki komuny Jan Pietrzak nabijał się z hurtowego odznaczenia w skeczu „Rąsia, buzia, kłapa, goździk”. Wiedział, co robi. Miał już w klapie Złoty Krzyż Zasługi PRL, odznakę Zasłużony Działacz Kultury i odznaczenie im. Janka Krasickiego. Po latach jako wybitny oponent komuny dołożył do tego kilka nowych tytułów, medali i Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski.

Tyle tylko, że o ile za PRL odznaczenie państwowe miało swoją wagę, to w III RP order, krzyż czy medal mają wartość wyłącznie dla wręczającego. Dekorując, wie wszak, że pokażą go w mediach.

Zrobił się jednak wyjątek. Nazywa się Krzyż Wolności i Solidarności. Jego nosiciel dostaje co miesiąc dodatek emerytalny w wysokości najniższej emerytury. Ta zaś wynosi teraz 1780,96 zł. W wielu miejscach w Polsce może na jego podstawie nie mieć biletu komunikacji miejskiej.

Żeby dostać odznaczenie, należy skorzystać z pośrednictwa IPN. To on uznaje, czy aby na pewno występowało się przeciwko dyktaturze komunistycznej. Ponieważ krzyż jest przypinany od 2011 r., to do dziś wpięto go w piersi ok. 8 tys. osób. A ponieważ z komuną można było walczyć do 1989 r., to przez najbliższe co najmniej 30 lat znajdą się tacy, którym można dołożyć do emerytury. Tacy, którzy za represjonowanie dostali już i zadośćuczynienie, i odszkodowanie.



Rys. TOMASZ WIATER

Autorzy ustawy o dodatku dla takich weteranów oszacowali, że uprawnionych może być nawet 300 tys. osób. Na odznaczenie załapali się w 2017 r. Antoni Macierewicz i Jacek Kurski, choć – o dziwo – w IPN-owskim zestawieniu obdarowanych krzyżem nie występują. Ani z wolnością, ani z solidarnością nie miał widać nic wspólnego Lech Wałęsa, więc na odznaczenie nie zasłużył.

Błyskotki bez ekwiwalentu

Męczennicy walki o wolność i demokrację załapują się też stadami na odznaczenia takie jak Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski czy różnobarwne Krzyże Zasługi. I rzecz jasna na Order Orła Białego. Ponieważ jednak błyskotki te można dostać za bycie dobrym kompozytorem, działaczem katolickim, sportowcem czy niezwyłym generałem, to legitymowanie się takim wyróżnieniem może pomóc jedynie w przypadku ubiegania się o lepszą kwatery na cmentarzu.

Urząd do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych istnieje i działa. Żeby o tym przypomnieć, kilka razy do roku jego szef dokonuje obwieszenia – ustanowionym przez siebie w 2011 r. medalem Pro Patria – osób *za szczególne zasługi w kultywowaniu pamięci o walce o niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej*. Znaczy – z powodu wymarcia AK-owców – każdego, kto choć trochę otarł się o Solidarność.

Nie tylko prezydent i szefowie instytucji centralnych lubią pozować przy wręczaniu. Marszałkowie województw też mają co przypinać. I zdobią zasłużonych działaczy antypeerelowskiej opozycji

na przykład Medalami Unitas Durat Palatinatus Cuiaviano-Pomeraniensis – jak w województwie kujawsko-pomorskim. W zachodniopomorskim zamiast krzyży i medali Rada Miasta Szczecina i sejmik wojewódzki przyznają solidaruchom Odznaki Honorowe Gryfa Zachodniopomorskiego. Wręczane oczywiście w obecności lokalnych telewizji, portali i prasy drukowanej.

Radni toruńscy przyznają weteranom antykomunizmu standardowe medale Za Zasługi dla Miasta Torunia, które jednak wyróżnia to, że są na wstędze. Oszczędza to prezydentowi męczenia się z wbijaniem szpilki.

Burmistrz Świdnika błyszczy w reflektorach podczas wręczania *nie tylko osobom z pierwszej linii frontu, ale wszystkim, którzy przyczynili się do tego, że Polska odzyskała niepodległość w 1989 roku* Krzyży Przyrzeczenia. Prezydent Miasta Gziera zaś za to samo obwiesza Zgierskim Medalem Wolności.

Gdyby któryś z byłych solidaruchów czuł się jednak niedopieczony, to z pomocą śpieszą koledzy. Właśnie dlatego Stowarzyszenie Sieć Solidarności w 2014 r. ustanowiło odznaczenie, które ma charakter koleżeński, środowiskowy o zasięgu małopolskim. Nazywa się zaś Medal „Dziękujemy za Wolność” i do dziś zdobi niemal 700 osób.

Stowarzyszenie Osób Represjonowanych w Stanie Wojennym sroce spod ogona nie wypadło i oczywiście wpina swoje Krzyże „Tibi Mater Polonia”. Adwokaci też lubią świecidełka, więc umyśliли sobie odznaczenie osób, które niegdyś były obrońcami w procesach politycznych. I nazwali to tak samo jak jedno z najwyższych odznaczeń amerykańskich – Medalem Wolności. Gdyby jednak komuś jeszcze zostało nieco miejsca na garsonce lub marynarce, to zawsze czeka nań medal „Niezlomny w słowie”.

Jak się jest obcokrajowcem, to też jest szansa na bycie polskim antykomunistycznym opozycjonistą. Służy do tego Medal Wdzięczności. Wystarczy, że Europejskie Centrum Solidarności uzna, że jest się obcokrajowcem, który *wspomagał Polskę w walce o wolność i demokrację*. Co chyba nie jest trudne, bo znało tak w przypadku około 700 osób z wielu krajów.

Rząd PiS zadbał o to, aby znaczenie sformułowania „weteran opozycji” było kategorią żywą. Minister edukacji Anna Zalewska przyznała bowiem Medale Komisji Edukacji Narodowej ponad 40 opozycjonistom, którzy w 2012 r. zorganizowali protest głodowy przeciwko poprzedniej ekipie rządzącej w MEN. Do podjęcia diety sprowokowały bohaterów ówczesne zapowiedzi zmian w podstawie programowej historii.

Transferem w płot

Najnowsza władza zachowuje się więc dziwnie. Zamiast wymyślać nowe wzory błyskotek lub rozdawać stare weteranom KOD-u, Wolnych Sądów czy Strajku Kobiet, chce nagradzać małżonków za to, że im się ułożyło, że żyli długo i razem. Jaka w tym ich zasługa? Taka sama jak tych, którym współmałżonek zmarł

lub zakochał się w zupełnie kimś innym – żadna zasługa.

Na coś takiego nie wpadło nawet PiS, dla którego nierozdzielność małżeństwa była wartością na pewno nie tyle przestrzeganą, ile głoszoną. Poprzednia władza skoncentrowała się więc na wyszukiwaniu długoletnich małżeństw i ich umedałowianiu. Rekord padł w 2023 r. kiedy wydano ok. 80 tys. takich medali za długoletnie pożycie.

Według propozycji, nad którą teraz pochyla się senat, za 50 lat małżeństwa para dostawałaby 5 tys. zł. Kasa byłaby wypłacana co pięć lat z 500-złotową zwyżką. Dzięki temu ludzie z 55-letnim dorobkiem małżeńskim łapaliby się na 5500 zł, a ci z 60-letnim na 6 tys.

Co trzeźwiejsi senatorowie pukają się w czoło, bo co, jeśli między złotymi czy diamentowymi godami a nadaniem medalu jedno z małżonków zemrze? Płacić temu, co został, czy nie płacić?

To i tak najmniejsze zmartwienie, bo co zrobić z małżeństwem, któremu stuknęło 50 lat, w czasie których pan lub pani spędzili 20 w więzieniu?

Czy gdy minie 50. rocznica zawarcia małżeństwa przez starszych państwa, którzy zostali skazani za handel ludźmi za to, że na fermie drobiu w Lisowicach koło Prochowic przez 23 lata zmuszali do niewolniczej pracy Rosjani na Mikołaja Jerofiejewa, należy ich nagrodzić medalem i kasą?

A małżeństwo z Tychów, które siedzi za to, że pod pretekstem poszukiwania niani zwabiło do mieszkania kobiety, a następnie wspólnie w zespół je gwałciło? Państwo byli dopasowani idealnie i jeśli wyjdą i bez rozwodu dociągną do złotych godów, to nic nie będzie stało na przeszkodzie, aby honorując i nagradzając parę, zrobić z nich przykład dla innych.

Tak samo zresztą jak 65-letnia kobieta i 63-letni mężczyzna, małżeństwo z Ciechanowa, którego wspólne hobby polegało na okradaniu jednego z tamtejszych supermarketów.

Senatorskie głowy kombinują więc, żeby może ze stażu małżeńskiego odliczać czas pobytu w pierdlu. Nikt nie ma natomiast pomysłu na długoletnie stadła, które od lat mają założoną Niebieską Kartę, bo mąż cyklicznie biją żonę. Ta jednak za każdym razem wycofuje oskarżenie, więc gość za kratki nigdy nie trafia.

Jeszcze większy strup robi się, gdy mamy do czynienia z małżeństwem z orzeczoną separacją. I to na dodatek taką, której przyczyną była przemoc domowa. W myśl polskiego prawa separacja oznacza trwanie stadła małżeńskiego. Wychodziłoby zatem na to, że zarówno na medal, jak i pieniądze zasługivaliby ludzie, którzy od lat nawet ze sobą nie mieszkają.

Parę lat temu wprowadzono program „Mama 4 plus”. Za to, że kobieta urodziła czwórkę lub więcej dzieci medalu nie przyznawano. Dano natomiast kasę tym matkom, które dzięki wychowywaniu dzieci nie miały wypracowanego stażu składkowego i łapały się na emeryturę niższą od najniższej ZUS-owskiej. Dziś takim matkom przysługuje co miesiąc 1780,96 zł. Dokładnie tyle samo, co dla posiadaczy Krzyża Wolności i Solidarności, którzy zapracowali na te pieniądze kilkurazowym zaliczeniem na milicyjnym dołku 48 godzin albo nawet nie odsiadką, lecz okazjonalnym roznoszeniem ulotek.

Przy takim zestawieniu pieniędzy, które dostają matki stada potomstwa, wydają się małe. Jednak w przypadku długoletnich małżeństw kasa tylko za to, że się miało trochę szczęścia i zdrowia, wygląda absurdalnie. Szczególnie że miałyby na to iść rocznie ok. 50 mln zł.

TADEUSZ JASIŃSKI



REKLAMA

PIERWSZA KSIĄŻKA W POLSCE WYDANA PO WYBORACH

Porozrywane Stany

Błyskotliwa analiza „amerykańskiej duszy” i politycznych wyborów

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa.

Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

Więcej informacji: tel.: 22 635 84 10 wew. 111, e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Polska właścicieli

Filozofia landlorda: zjeść ciastko i mieć ciastko

SŁOWO CZERWONE

Kobieta znalazła w internecie ofertę wynajmu mieszkania. Warunkiem było wpłacenie czynszu za 12 miesięcy. Wpłaciła, ale gdy dotarła na miejsce, okazało się, że właściciel już dawno, wynajął mieszkanie komuś innemu. Od kilku miesięcy ją zwodzi, ale forsy nie oddaje. Potrzeba dachu nad głową jest tak dojmująca, że wielu z nas dało się nabrać na okazyjne ceny wynajmu i wpłacało zaliczkę przez internet, aby się przekonać, że pod wskazanym adresem jest dworzec autobusowy, park czy wręcz szalec publiczny. Zdarza się, że właściciele mieszkań czy pokoi, które komuś wynajęli i za które biorą pieniądze, zachowują się tak, jak gdyby ich nie wynajęli, i włączają do wynajętych pomieszczeń jak do siebie. Dla porządku: do pomieszczeń wynajętych właścicielowi nie wolno wchodzić bez zgody lokatora.

Bywa też tak, że właściciel jest nienasycony. Próbuje brać czynsz więcej niż raz w miesiącu albo gnany potrzebą gotówki – a często pragnieniem (jeśli pije) – oszukuje na rachunkach za media. W takich przypadkach lokator musi uwierzyć, że tyle a tyle jest winien, bo samych rachunków za prąd, wodę czy gaz mu się nie pokazuje.

Nikt jednak na razie nie prowadzi kampanii oczerniającej właścicieli mieszkań; choć posiadający wiele mieszkań posłowie – zwłaszcza lewicy – budzą pewną niechęć lub przynajmniej zdziwienie. Mieszkanie jako dobro rzadkie i trudno dostępne budzi emocje. Ktoś, kto ma kilka czy kilkanaście mieszkań, nie musi już pracować; utrzymują go lokatorzy, którzy za wynajem mieszkania w dużym mieście są zmuszeni płacić całą miesięczną pensję. Wystarczy mieć zdolność, podpisać w banku papie-

ry – żeby kredyt hipoteczny sam się spłacał z czynszu.

Wyobraźmy sobie małżeństwo, które wynajęło mieszkanie w Warszawie. Pensja jednego z nich idzie na czynsz i opłaty, a z pensji drugiego starają się jakoś przeżyć. Oczywiście, gdy podpisali umowę, nie mieli dzieci – bo z dziećmi mieszkania nie da się właściwie wynająć. Jednak w końcu dwójka maluchów przychodzi na świat – a wraz z nimi matka rezygnuje z kariery zawodowej i dochody rodziny spadają. Wystarczy, że mąż zachoruje, aby pojawiły się kłopoty z płaceniem czynszu. I zaczyna się cyrk. Właściciel każe rodzinie spadać i ogłasza wszem i wobec, że lokatorzy go okradają. To, że przez np. 10 lat pomnażał swój majątek, spłacając czynszem raty hipoteczne, idzie w niepamięć. To, że rodzina nie ma się gdzie podziąć, też ma w nosie. Gdy przestaje płynąć kasa, pojawia się histeria. I coraz częściej pojawiają się pozbawieni szyi „negocjatorzy”. Sam ich wygląd jest przerażający.

To, że ktoś dopuszcza się aktów przemocy, „czyszcząc” mieszkanie z lokatorów i ich dzieci – to jeszcze pikuś. Gorzej, że mająca stać na straży prawa policja staje zwykle po stronie bandytów.

Czego jednak wymagać od proletariatu w mundurach, którym tak łatwo jest wmówić, że prawo własności obejmuje również prawo do bicia dłużników? Gorzej, że podobne poglądy dość otwarcie głoszą luminarze palestry. Słychać pomruk aprobaty ze strony liberalnych mediów, które łatwiej utożsamiają się z właścicielami niż z tymi, którzy własnych mieszkań nie mają.

Właściciele nie ograniczają się do pochwały przemocy, ale

postulują, żeby za-
leganie z czynszem
stało się karanym
więzieniem prze-
stępstwem. Często
jest jednak tak, że
ludzie zalegają
z czynszem, bo ja-
kiś dobrodziej pra-
codawca nie zapła-
cił im za pracę. Za
karaniem więzie-
niem takich praco-
dawców elita się nie
opowiada.

Więzienie za długi to pomysł tak stary, że w końcu go zarzucono. Żeby można było za nie karać, musi być udowodniony zamiar oszukania wierzyciela. I tak koleś, który pożyczył w banku kilkadziesiąt tysięcy i nie zapłaciwszy żadnej raty, udał się na egzotyczne wakacje, trafia w końcu za kratki za wyłudzenie. Ale już pracodawca, który w podwarszawskich Babicach zatrudnia stolarzy, głównie imigrantów, i zwalnia ich, gdy tylko zaczną się upominać o zaległe wynagrodzenia, do więzienia nie trafi, bo jest właścicielem. A właściciel jest nie do ruszenia zgodnie z zasadą, że własność prywatna jest święta.

Kiedy właściciel mieszkania wynajmie zbirów, żeby przemocą wyrzucili rodzinę z dziećmi na bruk, nie jest karany, bo egzekwuje swoje „święte



Rys. GRZEGORZ SOBCHĄK

prawo”. A przecież mógłby wystąpić do sądu o nakaz zapłaty i o eksmisję. I gdyby się okazało – a zwykle się tak okazuje – że rodzina nie jest już w stanie wynajmować na wolnym rynku, sąd przyznałby prawo do lokalu socjalnego. A tak długo, jak gmina by go nie dostarczała, właścicielowi przysługiwałoby prawo do odszkodowania w wysokości wolnorynkowego czynszu. Właściciele sięgają po łamanie prawa, bo muszą mieć kasę natychmiast, a każda przerwa w dopływie gotówki doprowadza ich do desperacji. Plac i rozpacz lokatorów oraz ich dzieci nikogo nie obchodzi. Bo liczą się tylko właściciele. Liczy się zysk, a człowiek

służy tylko do tego, żeby na nim zarobić. Kiedy przestaje do tego służyć, kiedy jest niewypłacalny, trafia na ulicę jak każdy inny śmieć.

Organizacje właścicieli mieszkań na wynajem alarmują, że większość lokatorów zalega z czynszem. Kiedy skala zjawiska jest tak masowa, przyczyną nie może być zła wola. Po prostu ceny tak bardzo oderwały się od zarobków, że ludzie sobie nie radzą. Coraz trudniej o „dobrego lokatora”, wypłacalnego. Ci wypłacalni dawno już zaciągnęli kredyty hipoteczne i je spłacają, zamiast nabijać kabzę komuś obcemu.

PIOTR IKONOWICZ

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Prezes Wytwórczej Spółdzielni Pracy „Społem” Adam Jamróz poinformował, że producent Majonezu Kieleckiego nie nadąża z realizacją zamówień. Jego sprzedaż na rynkach zagranicznych wzrosła w tym roku o 25 proc., a w ciągu ostatniej dekady – o 220 proc. W związku z tym gwałtownym wzrostem popytu spółdzielnia zainwestuje 62 mln zł w nową halę produkcyjną. Przypuszczamy, że gdy hala powstanie, popyt... spadnie. Ot, złośliwe życie – raz daje, raz zabiera, niczym majonez z kieliszka znika.

■ Od 1 stycznia 2025 r. wchodzi w życie przepisy wprowadzające nowy poziom segregacji śmieci. Stare majtki, skarpety i trampki nie będą mogły trafić do pojemników na odpady zmieszane. Polacy będą musieli oddawać je do specjalnych Punktów Selektywnej Zbiórki Odpadów Komunalnych (PSZOK – w Warszawie sązaledwie cztery takie), gdzie samorządy mają ustawić specjalne kontenery na tekstylia. Będziemy więc dymać na drugi koniec miasta, żeby wyrzucić dziurawe skarpety. Jeżeli nie, to będziemy karani za wrzucanie starego waciaka roboczego do kontenera na bio czy zmieszane.

■ Pracownicy polskiego oddziału firmy Microsoft, dostarczającej m.in. edytor tekstu, na którym pisane są „Więści gminne i inne”, oraz miliony innych programów, założyli niezależny Związek Zawodowy Robotników Microsoftu. Zreszta on 130 robotników IT, co stanowi 30 proc. załogi. Utrzymują oni, że są źle traktowani, ponieważ według amerykańskiego zarządu firmy pracują w Dubaju. Polski oddział Microsoftu podlega bowiem oddziałowi w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, gdzie nadal panuje kryptoniewolnictwo. Związek zawodowy chce zwalczać te praktyki w oparciu o polski kodeks pracy.

■ Mimo że zima, górale w Zakopanem rozgrzani są do czerwoności, zwłaszcza ci jeżdżący na taksówkach po

Krupówkach. Kilka miesięcy temu, o czym wieściliśmy w wieściach, pojawiła się tam korporacja przewoźnika Ubera, a teraz dobić chce miejscowych konkurencja Ubera, Bolt. W takiej sytuacji zupełnie niemożliwe będzie wożenie klienta nieznanego lokalnej topografii, okrężną trasą, aby wycisnąć z niego trochę dudków – skarżąc się zakopiańscy taksówkarze – albowiem w przypadku przejazdów na aplikację cena znana jest przed rozpoczęciem kursu, a klient jest w stanie na bieżąco śledzić trasę, po której samochód się porusza.

■ Centrum Automatycznego Nadzoru nad Ruchem Drogowym donosi, że niemieckie urządzenie czytające na kierowców w Alejach Jerozolimskich (droga wojewódzka nr 719, wyjazd z Warszawy w kierunku Pruszkowa) już upolowało 7840 zbyt szybkich grzeszników. A stoi tam zaledwie od 14 listopada! Rzeź niewiniątek! Codziennie przemierzam tę trasę i, o dziwo, unikam fotoradarowego gniewu. Czyżbym był wybrańcem losu? A może po prostu... nienormalny? Zaczynam się zastanawiać, czy nie powinienem dobrowolnie oddać prawa jazdy. Skoro 261 kierowców dziennie ignoruje ograniczenie prędkości, to może rzeczywiście jest ono absurdałne? Należałoby znaleźć winnego! Tego jednego idiotę, który powołał do życia tę nonsensowną ograniczającą restrykcję, i psychopatę, który zainstalował fotoradar, czyniąc z niego zabawkę pod płaszczykiem troski o bezpieczeństwo. A może to po prostu spisek niemieckich producentów fotoradarów?

■ 68-letni mężczyzna z Poznania wynajął mieszkanie od 61-letniej kobiety. Następnie przebrał się w jej ubrania, założył perukę i sfalszował jej dowód osobisty. Udał się za kobietą, próbował sprzedać mieszkanie. Transakcję zablokował agent nieruchomości, który zawiadomił policję. Podczas przeszukania znaleziono przedmioty sugerujące, że mężczyzna podszywał się również pod policjanta.

■ Z pewnym zdziwieniem stwierdziłem, że – jak mi się zdawało – nowa, sympatyczna, młoda, dynamiczna i coraz lepiej zorganizowana społeczność LGBT jest już eksponatem muzealnym. Przy ul. Marszałkowskiej 83 w Warszawie otwarto (przy wsparciu miasta) bo-wiem Queer Muzeum. Muzeum powstało z inicjatywy Stowarzyszenia Lambda Warszawa – najstarszej orga-

nizacji LGBT. Dyrektorem został członek zarządu Lambdy Krzysztof Kliszczyński. Z całym szacunkiem, ale to trochę tak, jakby Trzaskowski teraz zaczął budować sobie mauzoleum. Strzał w stopę, a na pewno przegrana walka o prezydenturę. Jak odwiedzę muzeum, przekażę więcej szczegółów.

■ Na szczęście na strzelnicy w miejscowości Nibork Drugi w Warmińsko-Mazurskiem, gdzie policja wprawia się w rutynowym strzelaniu, wszystkie normy bezpieczeństwa były zachowane, a decyzje administracyjne zgodne z prawem. Na szczęście dla właściciela, bo w tej sytuacji



Rys. WIDGET

nie odpowiada za to, że pocisk wystrzelony przez policjanta trafił rykoszetem w głowę przechodzącej nieopodal kobiety, a kula utknęła w czaszce. Kobieta żyje. Pytanie, jak to jest możliwe, że obiekt, który w rzeczy samej był źle zabezpieczony, bo kule latały po okolicy bez ładu i składu, otrzymał certyfikaty, że jest bezpieczny, a jego użytkowanie nie zagraża osobom postronnym?

■ 47-letni mężczyzna, który bez prawka przewoził cztery osoby, przyznał się do spowodowania kilka minut wcześniej kolizji na ul. Głogowskiej w Chocianowie. Stwierdził, że bał się więzienia i grzywny, bo w dodatku jest pijany. Urządzenie wykazało, że ma 1,56 promila alkoholu w wydychanym powietrzu. Po czynnościach facet został jednak wypuszczony na wolność. Pięć godzin później ponownie nadział się na patrol, prowadząc samochód. Tym razem miał prawie dwa promile. Funkcjonariuszom tłumaczył, że tak się przejął poprzednią interwencją, że musiał gołnąć dla uspokojenia nerwów.

■ Dyżurny komendy policji w Siedlcach został powiadomiony, że w miejscowości Dąbrówka Stany na skrzyżowaniu ulic Bohdana Arcta i Stańskiej Peugeot zjechał z drogi i rozpieordolił przydrożny płot. Ponieważ sprawa była poważna, kierowca zbiegł. Po drugie, znaleziono go pijanego w pobliskim rowie. Po trzecie, okazał się kolegą po fachu tego dyżurnego z komendy w Siedlcach, który wysłał mu na ratunek tyle sił i środków. Jak ma się takich przyjaciół, wrogowie są już niepotrzebni.

■ Dyskryminacja metropolii, finansowe ograniczenia samorządów, uzależnienie ich od rządowego wsparcia – taki niepokojący obraz wyłaniał się z raportu NIK. Polski Ład uszczuplił samorządowe kasy z PIT-u, a rząd, zamiast systemowej rekompensaty, oferował coroczne doraźne fundusze dodatkowe przekazywane w dodatku w trakcie roku budżetowego. Własne dochody samorządów malały zastępowane transferami z budżetu państwa przyznawanymi w sposób uznaniowy, zgodnie z priorytetami rządu. Inny-mi słowami: samorządy funkcjonowały w ramach ograniczonej autonomii, a rząd kształtował ich sytuację finansową – twierdzi NIK.

RJ

PS Informacje, które Państwo właśnie przeczytali, należy traktować z przymrużeniem oka. Pochodzą od kolegów z terenu i mogą mieć się z prawdą. Zalecam ostrożność i dyktowaną doświadczeniem życiowym nieufność.

W Rządowym Centrum Legislacji pojawił się projekt ustawy, której celem jest podwyżka zasiłku pogrzebowego z 4 tys. zł na 7 tys. zł. Oznacza to tyle, że Polacy dalej będą zmuszeni do pokrywania sporej części kosztów pochówku z własnej kieszeni. Śmierć jest nieodłącznie związana z kasą i zyskiem, a oddzielenie od siebie tych dwóch sfer jest niezwykle trudne, choć jak pokazują przykłady z wielkiego świata – nie niemożliwe.

Dobra Donald

Kwota zasiłku pozostaje niezmieniona od 2011 r. Wówczas rząd Donalda Tuska obniżył jego wartość z niemal 6,4 tys. zł do zaledwie 4 tys. zł. Z projektu ustawy opublikowanego na początku listopada wynika, że na podwyżkę świadczenia pogrzebowego Polakom przyjdzie jeszcze poczekać. Według najnowszych założeń wysokość państwowego glejtu ma wzrosnąć dopiero w 2026 r. Przy okazji zostanie wprowadzony mechanizm corocznej waloryzacji, którego efekty będzie można zobaczyć w 2027 r. Gest może i miły, ale mało funkcjonalny. Już teraz za siedem koła można co najwyżej kupić dywan i wynająć w bramie koleżkę, który przewiezie denata w bagażniku swojego Passata na wyrobisko żwiru. Rosnące koszty usług funeralnych nie pozostawiają wątpliwości, że cenniki grzebania obywateli bez pulsu raczej nie zaskoczą promocjami. Tymczasem ludzkimi odpadami można gospodarować taniej, wcale nie rezygnując z efektownej oprawy.

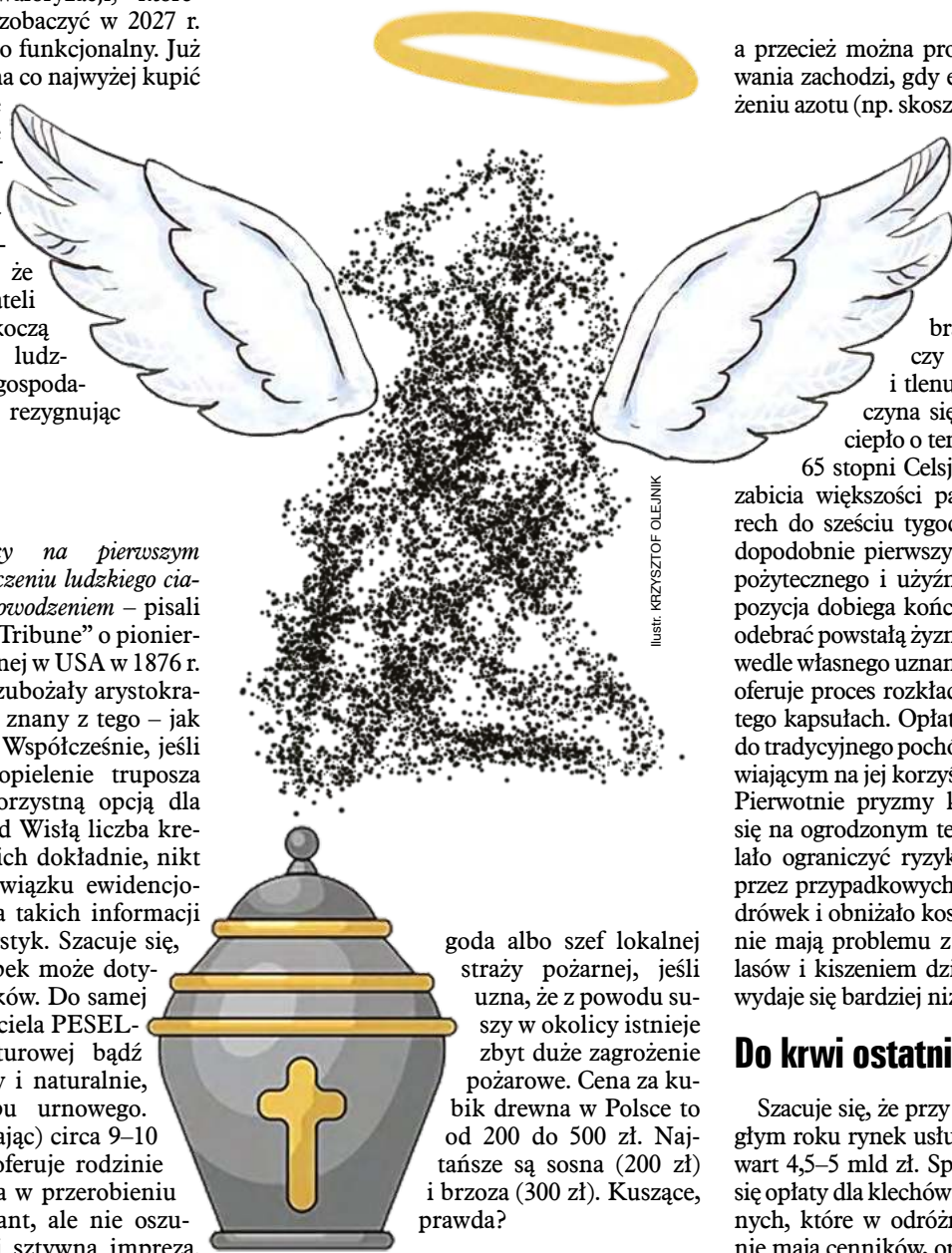
Instant

Eksperyment polegający na pierwszym w historii bezwonnym upieczeniu ludzkiego ciała w piecu zakończył się powodzeniem – pisali dziennikarze „New York Tribune” o pionierskiej ceremonii kremacyjnej w USA w 1876 r. Poddał się jej austriacki zubożały arystokrata baron Joseph de Palm znany z tego – jak pisały gazety – że umarł. Współcześnie, jeśli dobrze pobobrować, spopielenie trupa równie jest bardziej korzystną opcją dla gołodupców. W kraju nad Wisłą liczba kremacji rośnie, ale ile jest ich dokładnie, nikt nie wie, bo nie ma obowiązku ewidencjonowania i przekazywania takich informacji celem uzupełnienia statystyk. Szacuje się, że metoda na gorący kubek może dotyczyć 40–45 proc pochówków. Do samej usługi spopielenia właściciela PESEL-u dochodzi koszt tekturowej bądź wiklinowej trumny, urny i naturalnie, kolumbarium lub grobu urnowego. Całość kosztuje (uśredniając) circa 9–10 tys. zł. Część zakładów oferuje rodzinie możliwość uczestniczenia w przerobieniu bliskiego do formy instant, ale nie oszukujmy się, jest to raczej sztywna impreza. Całkiem odmienną i o wiele tańszą opcję wariantu „w proch się obrócisz” proponuje amerykański kolektyw Crestone End Of Life Project propagujący kremację pod chmurką. Idea zrodziła się w kontrze do bezosobowej i kosztownej kremacji komercyjnej. Początkowo kolektyw nosił nazwę Porta-Pyre (przenośny stos), a jego założyciele przeprowadzali akcje spopielenia na prywatnych posesjach, posługując się kratownicą ustawioną na pustakach, którą po zakończeniu procesu spalania można było spakować z resztą majdanu do fury i chyżo czmychnąć przed urzędnikami hrabstwa, na terenie którego odbywało się uwolnienie nieboszczyka do atmosfery. Ostatecznie organizacja postanowiła zalegalizować swoją działalność i znaleźć miejsce, w którym stos stanąłby na stałe. Tym sposobem trafiła do oddalonego od cywilizacji libertarianiskiego miasteczka Crestone w stanie Kolorado.

CEOLP przy pomocy wolontariuszy oferuje pomoc w przygotowaniu ciała do ceremonii, transport na miejsce wykonania spopielenia, opiekę nad procesem oraz ogarnięcie kuwety po jego zakończeniu. Oprawę imprezy ogranicza w zasadzie tylko kreatywność jej organizatorów, czyli bliskich osoby zmarłej – może to być wielogodzinna balanga z muzyką albo kameralne pożegnanie w ciszy. Sam proces jest niezwykle prosty. Denata odziewa się w odzież i całun z naturalnych materiałów (sztuczne gorzej się palą), umieszcza na wcześniej przygotowanym stole będącym częścią stosu i okłada gałązkami sosny z gatunku *Pinus* oraz świerku. Podczas ceremonii wolontariusze dyskretnie dorzucają drewno do rusztu pod chmurką. Na jedną ludzką pieczeń przypada średnio półtora metra sześciennego tego surowca. Prochy można rozdysponować wśród żałobników bądź rozsypać w miejscu wybranym wedle uznania. Ceremonię może pokrzyżować po-

Uwolnić trupa

Jak pozbyć się zwłok tanio, ekologicznie, nowocześnie



a przecież można prościej. Proces kompostowania zachodzi, gdy elementy o wysokim stężeniu azotu (np. skoszona trawa czy ludzki garnitur) umieścimy w stercie materiału bogatego w węgiel – przykładowo w zrębkach albo trocinach. By drobnoustroje i bakterie wewnątrz przymy kompostowej zabrały się do dzieła, wystarczy dodać odrobinę wilgoci i tlenu. Tkanka organiczna zaczyna się rozkładać, wytwarzając ciepło o temperaturze maksymalnie 65 stopni Celsjusza, które wystarcza do zabicia większości patogenów. Podczas czterech do sześciu tygodni obywatel robi prawdopodobnie pierwszy raz w swoim życiu coś pożytecznego i użyźnia glebę. Kiedy rekompensacja dobiega końca, bliscy zmarłego mogą odebrać powstałą żywną ziemię i wykorzystać ją wedle własnego uznania. Recompose od 2022 r. oferuje proces rozkładu w przeznaczonych do tego kapsułach. Opłata za usługę jest zbliżona do tradycyjnego pochówku, a walorem przemawiającym na jej korzyść – ekologiczna formuła. Pierwotnie przymy kompostowe znajdowały się na ogrodzonym terenie leśnym, co pozwalało ograniczyć ryzyko wdepnięcia w denata przez przypadkowych amatorów pieszych wędrówek i obniżyć koszt procesu. Skoro Polacy nie mają problemu z wywożeniem śmieci do lasów i kiseniem dzieci w beczkach, pomysł wydaje się bardziej niż trafiony.

Do krwi ostatniej

Szacuje się, że przy 409 tys. zgonów w ubiegłym roku rynek usług funeralnych może być wart 4,5–5 mld zł. Spoza ewidencji wymykają się opłaty dla klechów na cmentarzach parafialnych, które w odróżnieniu od komunalnych nie mają cenników, oraz wydatki w szarej strefie. Sporą ulgę w finansowym wyzwaniu, jakim jest pogrzeb, mogłaby przynieść nowelizacja obowiązującej ustawy o cmentarzach i chowaniu z 1959 r., na początek w sferze możliwości rozsypywania ludzkich prochów nie tylko na nekropoliach, ale poza ich obrębem. Nikt na to nie pójdzie, bo cmentarze to maszynki do zarabiania pieniędzy. Prognozy GUS wskazują, że liczba zgonów w Polsce w 2026 r. osiągnie pułap 428 tys. skórek. VAT na usługi pogrzebowe wynosi 8 proc. i zawsze można go cichaczem podnieść. Następujące po sobie rządy z garbem posłusznie przysięgają pod kościelnym butem nie wróżyć pogrzebowej rewolucji. Polacy mają swoją tradycję ku czci zmarłych, jak zedrzyć, to do końca, chociażby i z trupa.

IDALIA DUBICKA

Marchewka na wujku

Jeśli komuś nie w smak wizja chrupiącej skórki i jednak bliżej mu do ziemi niż chmur, warto zerknąć na propozycję z Karoliny Północnej. Katrina Spade, projektantka skupiona na ekologicznych rozwiązaniach zorientowanych na człowieka, podczas zdobywania tytułu magistra architektury opracowała system przekształcania zmarłych na glebę. W 2014 r. założyła projekt Urban Death (Miejska Śmierć) – aby zwrócić uwagę na problem toksycznego przemysłu pogrzebowego – a trzy lata później firmę Recompose, która specjalizuje się w kompostowaniu ludzi. Gdyby ktoś się zastanawiał, na cholerę kompostować truchło, skoro (pomijając na chwilę przepisy) wystarczyłoby je złożyć w dziurze na cmentarzu z pominięciem stylowego drewnianego wdzianka, niech spojrzy na cmentarne cenniki.

Przeludnienie nekropoli staje się faktem, szczególnie w metropoliach, w których deweloperzy walczą o każdy skrawek gruntu. Problem, podobnie jak śmiertelność, będzie tylko narastał,

Glut w zupie Za psie pieniądze

Z dostojną obojętnością – jak powiedział minister Radzio Sikorski, kiedy Rosjanie zapowiedzieli, że zamkną polski konsulat w Petersburgu – smarczę w chusteczki. Dostojna obojętność, jak to z dostojnościami bywa, od czasu do czasu przeradza się w gwałtowną potrzebę napisania testamentu. Choruję rzadko i zawsze jak mężczyzna...

Zbieram zasmarkaną bibułę, żeby razić wilgotnymi kulkami – niby Saddam bronią biologiczną Kurdów – psiarnię, jeśli znowu zechce najechać mi dom. Z drugiej zaś strony, to ja policjantom trochę współczuję. Narażać się za około 5000 zł (netto) na to, że ktoś może odstrzelić ci tyłek – przykre. Przykre i niedorzeczne, biorąc pod uwagę, że ludzie idą do policji, bo to budżetówka i można uzyskać uprawnienia emerytalne po 15 latach służby. Pewność, stabilność, życie zaczynają się po czterdziestce – w ochronie albo agencji detektywistycznej! Faktem jest wszakże, że lata 90. XX w. dawno minęły i nie strzela się już do glin jak do kaczek. Statystycznie rzecz biorąc, o kulę czy kosę trzeba się trochę postarać. Ma się za to jak w banku sterczącą nudę przy kserokopiarkę, przewalanie ton papierów spraw, o których z góry wiadomo, że idą do umorzenia. Plus nieustający kontakt ze zestresowanym cywilem, od którego wieje złą energią! W efekcie – frustracja na maksa. Stąd policjanci przodują w grupach zawodowych najczęściej odbierających sobie życie i niepolecanych na małżonka bądź małżonkę. Smutne, a ja nie lubię się zasmucać.

Policji aprecjacje należą się jak psu zupa – nawet z glutem! Tymczasem minister spraw wewnętrznych i administracji Tomasz Siemoniak tłumaczy, że nie ma kasy na oczekiwane przysioroczne 15-procentowe podwyżki. Proponuje hipotetyczny dodatek do budy dla psa, jeśli pies jest zamiejscowy. Oraz przypomina, że służby mundurowe – jak i cała budżetówka – przytuliły w bieżącym roku 20-procentowe podwyżki. Oczywiście o dobrym się szybko zapomina, ale to był ogromny wysiłek – mówił 9 grudnia w Polskim Radiu. A przecież zaproszony został głównie po to, aby komentować upadek reżimu Asada.

Ech, ludzie są okrutni, tacy okrutni... Rafał Jankowski, przewodniczący NSZZ Policjantów, zapowiada strajk. Nie wierzymy politykom, tu gentlemen's agreement nie wchodzi w grę – powiedział dziennikarzom InfoSecurity24.pl. Nie żebym się czepiała, ale gentlemen's agreement wrzuciłabym do tego samego zbioru zjawisk co dostojną obojętność...

Potrzebujemy rozwiązań systemowych. W przeciwnym razie niebawem będzie nam groził powrót bandyterki z lat 90. – dodał Jankowski i ja mu wierzę.

Wojna na Ukrainie dogorywa. Z okopów wyłonią się tysiące mężczyzn, niektórzy bez nóg, większość – jeśli nie wszyscy – bez złuźdzeń. Za to z giwerami.

Cóż, przynajmniej psy przestaną tulić się do kserokopiarek, ale tym bardziej im się podwyżka należy. Budżetówka robi się niebezpieczna...

Tak czy siak, z okazji świąt – zupy, czyli barszczu, ryby, czyli karpia, bombek, czyli moszny, i różgi, czyli litewskiej sauny.

IZABELA SZOLC



OBYWATEL JANEK

Rys. OBYWATEL JANEK

Kościół przestaje mieć monopol na głupotę seksualną

Barbie z bobrem

Przemysł gadżetów erotycznych od lat ma w swojej ofercie lalki robione z tworzyw imitujących ciało ludzkie. Manekiny takie sprzedawane są potem w chorych cenach kilkunastu tysięcy dolarów. Lalki są różnoplciowe, w dowolnych gabarytach, o różnych odcieniach skóry czy włosów. Najwięcej tego typu precjozów robi się na Dalekim Wschodzie. Tam zaś od lat króluje kult przerabiania wszystkiego na lalczkę, i to taką znamionującą nieletność. Większość erotycznych filmowych produkcji dalekowschodnich wykorzystuje tamtejszą urodę, dzięki której nawet dwudziestoparoletnia panna dzięki niewielkim retuszom może robić za nastolatkę. Bohaterkami filmów dla dorosłych stają się więc uczennice. Dobierane tak, żeby miały małe piersi, nieszczerłone biodra i niewinne buźki. Firmy żyjące z robienia lalek dla dorosłych korzystają z tego wzorca i dlatego znakomita część ich wytwórczości ma wygląd nastolatek.

Ponieważ jednak w ustawodawstwach wielu krajów są nader restrykcyjne przepisy antypedofilskie, to zarówno producenci, jak i sprzedawcy wypracowali kilka myków prawnych powodujących, że lalki nie podpadają pod pedofilię. Głównym argumentem jest to, że pełnoletni ludzie są różni. A pewna ich część wygląda o wiele młodziej, niż wynikałoby to z metryki.

Do tej pory wytwórcy realistycznych seks manekinów jakoś omiiali Polskę. Teraz jednak w ich internetowej ofercie dla Polaków lalczki się pojawiły. No i się porobiło...

Jak Bozia stworzyła

W sejmie członek Państwowej Komisji ds. przeciwdziałania wykorzystaniu seksualnemu małoletnich poniżej lat 15 Konrad Ciesiołkiewicz obwieścił, że *największa platforma sprzedażowa w Polsce zamieściła treści pokazujące tzw. seks-lalki, w realistyczny sposób pokazujące narządy płciowe osób przed okresem pokwitania*.

Podjęłam decyzję o tym, żeby skierować interwencję w tej sprawie do ministra sprawiedliwości, cyfryzacji oraz do UOKiK – odpowiedziały na to uderzenie nożycy w osobie posłanki Moniki Rosy, która stwierdziła, że zainteresowała już sprawą prokuraturę.

Przy okazji Rosa, która jest przewodniczącą sejmowej Komisji do Spraw Dzieci i Młodzieży, dodała, że chce, aby zarabianie na osobach małoletnich przestało być czymś, na co przymykamy oko. Skoro dla zwalczaczy pedofilii podstawowym wyróżnikiem dziecięcości są narządy płciowe osób przed okresem pokwitania, to wypada zacząć się śmiać albo bać.

Głównym wyróżnikiem dla bojowników z pedofilskim zwyrodniałstwem są drugorzędne cechy płciowe. Szczególnie zaś owłosienie okolic intymnych. Jeśli go brak, to w przypadku wielu młodych, acz dorosłych kobiet, bardzo trudno byłoby wykazać jakies istotne różnice między ich sromem a tym, co ma w majtkach 10-letnia dziewczynka.

Jeszcze 40 lat temu kobiety z dumą nosiły zarost łonowy, bo pokazywał, że są dorosłe. Potem zaczęły depilować tylko to, co wystawało poza kostium kąpielowy. Dramatem dla wielu była konieczność pozbycia się futra ze względu na poród. Noszenie nieowłosionego krocza nie uchodziło. Wraz z docierającą do domów za pośrednictwem VHS-ów pornografią zaczęło się to zmieniać. Futro zaczęło

przystrygać, a niecałe ćwierć wieku temu usuwać. Depilacja okolic intymnych zawiązała do każdego gabinetu kosmetycznego. Producenci wosku i lamp do wypalania włosów liczyli zyski. Producenci nożyków również.

Wkrótce po paniach do usuwaczy owłosienia dołączyli mężczyźni. Najpierw poszły pod żyłki włosy na klatkach, niedługo potem dołączyły okolice intymne. Z biegiem lat zabiegi depilacji dla panów stały się dla większości gabinetów kosmetycznych chlebem powszednim.

Oficjalnie usuwanie włosów argumentowane było higieną. Choć dla każdego seksuologa czy psychologa było jasne, że jest to zabieg mający na celu odmłodzenie się, a przez to uatrakcyjnienie seksualne.

Jeśli komuś zaczynało pachnieć pedofilią, a działalność firm depilacyjnych *zarabianiem na osobach małoletnich*, to może mieć rację. Przywrócenie genitaliom wyglądu dziecięcego jest dokładnie tym właśnie.

Dlatego jednak brak bobra stał się przed laty synonimem urody i powabu erotycznego? Oczywiście z przyczyn pornograficznych. Aktorki były wydepilowane, bo dzięki temu kamera mogła pokazać więcej szczegółów anatomicznych. Filmiki oglądali faceci, dla których wydepilowany srom stał się jedynym, który był w stanie ich podniecić. Chcąc nie chcąc, panie musiały się dostosować.

Żeby mniejsze były mniejsze

Na tym jednak wpływu pornografii na zdziennienie okolic płciowych nie koniec. Okazało się bowiem, że genitalia gwiazd porno wyglądają zupełnie inaczej niż sromy większości kobiet. Z warg sromowych większych nic im nie wystawało. Miały krocza takie jak małe dziewczynki. Męscy konsumenci pornografii skonfrontowani z krociami prawdziwych kobiet byli rozczarowani. To rozczarowanie



wyczuła branża chirurgii plastycznej i ruszyła kolejna rewolucja w zarabianiu kasy na przywracaniu kobiecym genitaliom dziecięcego sznytu.

Żeby bowiem nie spod warg sromowych większych nie wystawało, należało wargi sromowe mniejsze przyciąć. Tym zajmuje się dziedzina medyczna o nazwie labioplastyka. Polega jednak nie tylko na laserowym przycięciu warg mniejszych, ale również na wymodelowaniu warg większych.

Ponieważ jednak większość kobiet nawet przed sobą nie przyzna się, że jej własny srom jej się nie podoba, kliniki wymyśliły dla kobiet alibi. Portale internetowe i teksty medyczne w kobiecych pismach jęły pisać co jakiś czas, że *przerost warg sromowych to dość poważny i częsty problem, który wpływa na codzienne życie wielu pacjentek. Powoduje otarcia, bolesność, powracające infekcje miejsc intymnych. Sprawia nawet pewne ograniczenia związane z doborem bielizny*.

Taki zabieg marketingowy przyciągnął do gabinetów pierwsze tysiące kobiet. Potem zrobił się efekt lawiny. Koleżanka pochwaliła się w pracy, kumpela pokazała kumpeli i ruszyło. Liczba kobiet, które nadają dziecięcy wygląd swoim narządom intymnym, rok do roku rośnie. I to zarówno u nas, jak i w całej Unii czy w Stanach Zjednoczonych. Roczne przyrosty wynoszą 25–30 proc. I tak jest już od ponad 10 lat. Cena nie gra tu roli, a przecież koszt jest niebagatelny.

Najpierw pierwsza konsultacja – 100–250 zł. Przed zabiegiem konieczne jest wykonanie serii badań, które wykluczą przeciwwskazania. Ich koszt to 300–500 zł. Cena operacji to 4000–8000 zł. Po zabiegu pa-

cientka powinna przyjmować przepisane leki – 40–100 zł. Konieczne będą również 1–3 wizyty kontrolne po 100–150 zł za każdą.

Czym zarabianie klinik robiących kobietom dziecięce sromy różni się od zarabiania producentów lalek, którzy zdaniem posłanki Rosy *zarabiają na osobach małoletnich*? Na kliniki i gabinety kosmetyczne też trzeba poszczuć prokuraturę, posłanko Roso?

Paragraf na łysy srom?

Monika Rosa mówiła w sejmie, że dopuszczenie produktów i materiałów, które wprost kierowane są do ludzi mających *seksualne intencje wobec osób małoletnich*, jest niedopuszczalne. Zastępca przewodniczącej Państwowej Komisji do spraw przeciwdziałania wykorzystaniu seksualnemu małoletnich, nominowana przez prezydenta Dudę Justyna Kotowska, podkreślała, że dla części sprawców, u których występują zaburzenia pod postacią pedofilii, używanie tego typu lalek to *tylko etap*, po którym zaczynają oni dążyć do bezpośredniego kontaktu z dzieckiem.

Kotowska w przeciwieństwie do Rosy jest fachowcem. Dlatego posługuje się pojęciem *części sprawców*. Doskonale wie, że zdecydowana większość osób, które na seksualnym celowniku mają dzieci, nigdy żadnego nie tknie. Zbyt dobrze wiedzą, że to złó. Jest jednak część, która nie ma aż tak silnej bariery etycznej. Ludzie ci muszą rozładować jakoś swoje zwichnięte napięcie seksualne. Nie mogą skorzystać z pornografii dziecięcej – i słusznie, bo żeby ją stworzyć, jakieś dzieciaki musiałyby zostać emocjonalnie, a nawet fizycznie okaleczone.

Psychologia od dawna wie, że w przypadku osób, które nie są w stanie realizować swoich potrzeb seksualnych w relacjach z drugą osobą, nie jest w zasadzie możliwe wyeliminowanie zachowań masturbacyjnych. Jeśli bowiem osoba masturbuje się w celu rozładowania napięcia seksualnego, nie możemy jej całkowicie „odebrać” tego zachowania lub sprawić, by rozładowała to napięcie w nieseksualny sposób, np. w aktywno-

ści fizycznej czy plastycznej. Sublimacja popędu seksualnego oznacza skierowanie energii popędu seksualnego na inny cel, bardziej aprobowany społecznie. Na przykład na lalkę. Jeśli taki przedmiot miałby oszczędzić choćby jednemu dziecku dramatu, to może warto byłoby pomyśleć, nim zanie się robić medialne olaboga?

Koncepcja Kotowskiej o lalce jako preludeum gwałtu na dzieciach zdaniem psychologów się nie broni. Gdyby tak było, to po każdej premierze kolejnego sadystycznego, rzeźnickiego horroru powinniśmy być świadkami wysypu psychopatycznych morderców.

Jedno, z czym trzeba się w tej całej burzy zgodzić, to reklama lalek epatująca pedofilią. Na to jest zapis kodeksowy i słusznie. Ale na kwestii estetyczno-prawnej koniec. Reszta jest dla tego gremium tylko ośmieszaniem – tak siebie, jak i państwa.

Komentarze w sieci po sejmowej enuncjacji lalczkowej były jak na nienawidzący pedofilów internet zastanawiające.

Nie zostawiając suchej nitki na pedofilach, większość komentatorów

uznała, że lalka dla takiego powoduje, że żadne dziecko przy tym nie ucierpi. Nikt w sieci nie wierzył też, aby komuś o tak

zwichniętym popędzie dało się go zmienić, a skoro się nie da, to zostawmy go w pieleszach z bardzo drogą zabawką.

Lepiej bowiem, gdy to na nią wyda pieniądze, a nie na dzieciaka wynajmowanego na seks od potrzebującej forsy na dragi lub gorzałę mamusi.

A może pedofilii w Polsce już wyeliminowaliśmy, więc komisja do jej zwalczania nie ma nic do roboty? Tylko wówczas w pełni uzasadnione byłoby twierdzenie jej przewodniczącej Karoliny Bućko, że przez pokazywanie lalek w sieci doszło do przestępstwa prezentowania i udostępniania treści pornograficznych z udziałem małoletnich. *Choć do tego typu produkcji treści pornograficznej nie zostały wykorzystywane żywe dzieci – nie były maltretowane – jednak z punktu widzenia przepisów prawa nie ma to większego znaczenia. Jest to prezentacja narządów płciowych dziecka, a zatem możemy powiedzieć, że jest to tzw. twarda pornografia* – uznała, sugerując, że gdyby producent przykleił we właściwym miejscu łatwego do odlepienia włochatego bobra, to przestępstwa by już nie było. Ba, dając do myślenia wszystkim innym producentom lalek, które jak nie będą miały futra w kroczu, to ich wytwórcy i sprzedawcy staną się pedofilami.

Krok dalej będzie zakaz depilacji i labioplastyki z wyjątkiem wskazań medycznych. Policja w neglizie zacznie to kontrolować w przebieganiach na basenach, lekarze zaś o każdym przypadku wygolonego kobiecego czy męskiego krocza będą musieli donosić władzy niczym o ranie postrzałowej.

TOMASZ BOROWIECKI



Chińczycy słuchają. Zwłaszcza środowisk opiniotwórczych. Pisałem o tym na początku grudnia. Zaraz po powrocie z The 10th High-level Symposium of Think Tanks of China and Central and Eastern European Countries. Czyli 10. Sympozjum Wysokiego Szczebla Think-Tanków Chin i Krajów Europy Środkowej i Wschodniej. Chińczycy lubią godne nazwy.

Tematy debat konferencji nawiązywały do minionego dziesięciolecia współpracy Chin z państwami Europy Środkowo-Wschodniej.

Przy okazji zauważyłem, że Chiny zaczęły doceniać rangę naszego kraju. Pewnie dlatego zaprosiły z Polski najliczniejszą delegację spośród wszystkich państw tego regionu Europy. Reprezentującą przedstawicieli różnych pokoleń, orientacji politycznych i instytucji współpracujących z Chinami.

Nasz wielogłos podczas wielu dyskusyjnych paneli współtworzył też propozycje nowej polityki Chiny-Unia Europejska-Europa Środkowo-Wschodnia-Polska.

Chiny-Europa

Dziś cztery państwa Europy Środkowo-Wschodniej aspirują do roli jej liderów. Czechy chcą utrzymać pozycję lidera gospodarczego, Grecja – lidera bałkańskiego Południa, Polska aspiruje do roli lidera politycznego i gospodarczego całego regionu, a orbanowskie Węgry kreują się na prymusa we współpracy z Chinami.

Dlatego nie zdziwiliśmy się, kiedy Balázs Orbán – dyrektor gabinetu politycznego premiera Viktora Orbána – lansując w Pekinie swe państwo, przypominał, że historyczni przodkowie Węgrów przybyli do Europy z azjatyckich stepów. Stamtąd Węgrzy mają ten azjatycki gen i wolę stałej intensyfikacji współpracy z Chinami, największym państwem w Azji.

Dyrektor Orbán zaprezentował też atuty obecnego węgierskiego rządu. Pragmatyczne relacje z Rosją, przyjacielskie relacje prezydenta USA Donalda Trumpa i premiera Viktora Orbána. Nie stronił od krytyki Unii Europejskiej. Czasem zasadnej i rzeczowej, czasem niezasadnej, podszytej zapowiedziami ewentualnego wyjścia Węgier z UE.

Każda krytyka Unii Europejskiej spotykała się z aprobatą słuchających jej podczas konferencji Chińczyków. Ale to nie oznaczało jednocześnie aprobaty dla rozpadu Unii. Chińczycy potrzebują jej, choć nie deklarują tego otwarcie, powszechnie i głośno.

Chiny rywalizują politycznie i gospodarczo z USA. Rywalizują przede wszystkim w regionie Pacyfiku. Doskonale wiedzą, że UE ma sojusznika militarnego z USA, ale formalnie obejmuje on region Atlantyku. Pacyfiku już nie.

Chińskie elity polityczne wiedzą też, że ten militarny sojusz wielce umocnił wojna w Ukrainie. Ona wzmocniła też wpływy administracji amerykańskiej w Europie, zwłaszcza na wschodniej flance NATO.

Ale chińskie elity polityczne, gospodarcze, medialne wiedzą również, że najsilniejsze gospodarki państw UE mają wiele interesów sprzecznych z gospodarką USA. Wiedzą, że gospodarki państw UE ucierpiały na utracie rosyjskich rynków zbytu. Trudnych do odzyskania w najbliższej przyszłości. Znają medialne zapowiedzi prezydenta Trumpa grożącego konkurencyjnym gospodarkom wojnami celnymi. Jeśli Trump podniesie cła na eksport z Chin i Europy, to producentom europejskim pozostanie rynek chiński, a chińskim – europejski. Choć wojny celne na linii UE-Chiny też są już zapowiadane.

Chiny wolą mieć Unię Europejską jako jeden wspólny rynek. Choć preferują bilateralne negocjacje z wybranymi państwami UE. Bo wtedy mogą więcej ugrać dla siebie. Ale wiedzą też, że

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

★ O porażce amerykańskich czołgów Abrams na Ukrainie donosi Onet Technologie: *Ukraińcy stracili więcej niż połowę przekazanych jednostek. Co najmniej kilkanaście zostało zniszczonych, a kilka przejętych przez rosyjskie wojsko. Dzięki temu armia Putina zdobyła nowe dane na temat sprzętu Amerykanów, który może potencjalnie wykorzystać w przyszłości. Przy niewielkiej liczbie pozostałych czołgów trudno w ogóle myśleć o szerszym wykorzystaniu ich w warunkach bojowych.* Przypomnijmy, że Polska w ubiegłym roku zdecydowała się na zakup 116 używanych czołgów Abrams za kwotę 3,75 mld dol. (niemal 16,5 mld zł).

★ „Koniec miesiąca miodowego” – anonuje wyniki badań o stosunku Ukraińców do Polaków „Rzeczpospolita”. Z sondażu zleconego przez Centrum Mieroszewskiego wynika, że w latach 2022–2024 liczba Ukraińców bardzo dobrze oceniających Polaków spadła 46 do 4 proc. Łącznie pozytywne noty wystawia Polakom już mniej niż połowa Ukraińców. Niedawno Kancelaria Prezydenta poinformowała, że Polska na pomoc Ukrainie wydała 4,91 proc. PKB, czyli najwięcej ze wszystkich państw świata. Badanie Centrum Mieroszewskiego kolejny raz dowiodło głębi przyjaźni między naszymi narodami.



największym gospodarkom państw UE łatwiej jest wyrzucić presję na USA jako wspólnota europejska. Nie jako jedynie Francja, Niemcy czy Włochy.

Dlatego Chiny wyrażają aprobatę, kiedy reprezentant Węgier publicznie skrytykuje u nich Unię Europejską, lecz nie będą zachęcać Węgier do opuszczenia wspólnoty. Węgry jako państwo prochińskie cenne są dla Chin jedynie, kiedy są w Unii Europejskiej. Kiedy przez Węgry mogą wpływać na europejską gospodarkę i politykę. Gdyby Węgry wyszły z UE, straciłyby swój atut. Stałyby się drugą Serbią. Ważnym politycznym państwem na Bałkanach, ale bez wpływu na Unię.

Dlatego też wartość Polski wzrosła dla Chin. Chińskie elity doceniły już stały wzrost polskiej gospodarki. Uważają ją za największą w Europie Środkowo-Wschodniej i przyszłościową, bo Polska jest też najludniejszym państwem w regionie.

W Chinach odnotowano też wzrost politycznego znaczenia Polski. Zwłaszcza powstanie w Unii Europejskiej nieformalnej piątki – Francji, Włoch, Hiszpanii, Niemiec i Polski. Chińczycy pamiętają, że w przyszłym roku Polska będzie sprawowała w Unii prezydencję. To oznacza, że rząd polski będzie miał wpływ na hierarchię celów europejskiej polityki zagranicznej. Wiedzą, że polska prezydencja nie będzie bojkotowana przez liderów UE jak kończąca się węgierska.

Chiny-Rosja-Europa

Chiny nie przyłączyły się do polityki sankcji gospodarczych wobec Rosji stosowanych przez państwa NATO i sojuszników paktu. Podobnie jak Indie, Brazylia, Iran, większość państw azjatyckich, afrykańskich i z Ameryki Południowej. Zyskały na tym gospodarczo, bo prowadzą politykę gospodarczą podobną do niemieckiej i francuskiej sprzed agresji Rosji na Ukrainę. Sprzedawania produkcji przemysłowej za tanie surowce.

Jednocześnie Chiny dbają o kontrolę eksportu do Rosji. Sprzedaż tam broni nie leży w chińskim interesie, bo naraziłoby to chińskich producentów na zachodnie sankcje.

Chiny nie uznają i nie uznają praw Rosji do zdobytego Krymu i innych terytoriów państwa ukraińskiego. Integralność terytorialna jest dogmatem chińskiej polityki wewnętrznej i zagranicznej. Integralność terytorialna dla Chińczyków z kontynentu oznacza przyłączenie terytorium Tajwanu do Chińskiej Republiki Ludowej. Realizację polityki jednych Chin.

Trzeba przypomnieć, że obecne władze polskie i prawicowa opozycja zgodne są, że wyspa Tajwan jest częścią Chin, obecnie – Chińskiej Republiki Ludowej. Administracja USA też nie uznaje formalnej niepodległości Tajwanu. Nie odnawia oficjalnych stosunków dyplomatycznych z Tajwanem. Nie zaprasza Tajwanu do ONZ. Stara się za to konserwować stan obecny: zbuntowanej prowincji chińskiej o statusie podobnym do mołdawskiego Naddniestrza. Tylko że jest to prowincja bardzo bogata, zasobna w nowoczesne technologie.

Po dwóch latach wojny w Ukrainie elity chińskie chętnie ujrzałyby tam zawieszenie działań wojennych. Przekształcenie konfliktu militarnego w rywalizację gospodarczą. Wtedy firmy chińskie ruszą do odbudowy gospodarek rosyjskiej i ukraińskiej.

Chiny-USA

Chiny, i państwa Europy Środkowo-Wschodniej też, z niepokojem czekają na politykę gospodarczą przyszłego prezydenta Donalda Trumpa. Na ewentualne wojny celne.

Dzisiaj średnie cła na sprowadzane z Unii Europejskiej do USA towary to 3,5 proc. Sprzyjają wysokim obrotom handlowym UE-USA. Jeśli prezydent Trump zrealizuje swoje obietnice i obłoży handel z państwami UE cłami w wy-

sokości 10–20 proc., może to wywołać recesję w gospodarkach Niemiec i Francji. I wtedy gospodarka polska też może nieźle oberwać, bo jest powiązana z europejskimi.

Chinom prezydent Trump obiecuje cła w wysokości 20–60 proc. I wtedy mogą powstawać chińsko-europejskie sojusze gospodarcze. Nawet wbrew deklarowanej przez niektóre europejskie rządy politycznej miłości do USA.

Chiny-Polska

Polska jest cenna dla proeksportowej chińskiej gospodarki. Jest dla Azji bramą do Europy i najszybszą drogą kolejową z Azji do Europy Zachodniej. Zaczynając się w Chengdu, stolicy prowincji Syczuan, biegnąca przez Azję Środkową, Rosję, Białoruś do Polski. I stamtąd do całej Europy. To fragment nowego jedwabnego szlaku – Belt and Road Initiative.

Dlatego Polska i jej partnerzy powinni zbudować w Małaszewiczach i przygranicznych miejscowościach wielkie centrum tranzytu Europa-Azja. Warto zauważyć, że

nawet wojna w Ukrainie nie zahamowała przewozów na linii kolejowej Chiny-Europa przez polskie przejścia graniczne. Dlatego warto tam stworzyć wielki kolejowy Kanał Sueski. Chroniony przez wszystkich jego użytkowników i udziałowców.

Bo handel i współpraca wymagają utrzymania pokoju i wygaszania konfliktów.

Chiny są potrzebne Polsce i państwom Europy jako sojusznik w tworzeniu globalnego bezpieczeństwa. Podczas dyskusji nieraz padało, upowszechniane przez profesora Bogdana Góralczyka, hasło: *Bezpieczeństwo, głupcze!*

Nasz świat potrzebuje teraz bezpieczeństwa na wielu globalnych poziomach. Potrzebuje bezpieczeństwa energetycznego. Potrzebuje bezpieczeństwa żywnościowego, bo fale nowego głodu grożą kolejnymi falami niekontrolowanej migracji. Potrzebuje bezpieczeństwa cyfrowego w internecie. Potrzebuje bezpieczeństwa w sferze deficytowych surowców, zwłaszcza metali ziem rzadkich. W przeciwnym razie zagrożone będzie też bezpieczeństwo militarne.

I wreszcie wszystkie odpowiedzialne państwa winny współpracować na poziomie bezpieczeństwa klimatycznego. Ekologii. Bez Chin, światowego lidera zielonych technologii, nie da się ku takiemu bezpieczeństwu dążyć.

Wesołych i bezpiecznych świąt!

PIOTR GADZINOWSKI

MAREK SANOWSKI

ukraina.tygodniknie@gmail.com

Subiektywna dziesiątka

Rok w sporcie był chudy, ale kilka gwiazd mocno świeciło.

Zacząłem się zastanawiać, kto powinien znaleźć się w dziesiątce najlepszych sportowców roku w Plebiscycie „Przeglądu Sportowego”, i aż złapałem się za głowę: O rety, prawie same baby!

1

Katarzyna Niewiadoma

Już po zwycięstwie polskiej kolarzki w Tour de France zapowiadałem, kto będzie moim kandydatem/kandydatką do tytułu sportowca roku. Wygranie jako pierwszy przedstawiciel naszego kraju (niezależnie od płci) najslawniejszej kolarskiej imprezy świata musi być docenione. Tym bardziej, że Kasia (sama tak o sobie mówi) przez lata pracowała na ten sukces i zawsze czegoś małego brakowało. Blisko była w Paryżu, blisko podczas mistrzostw świata, ale albo przeszkodziła jej kraksa, albo zabrakło błysku na finiszu.

Tym razem wygrała dzięki udanej – gdybym nie bał się zbyt wielkich słów, napisałbym: heroicznej – wspinaczce na znany z męskiej Wielkiej Pętli podjazd pod Alpe d’Huez. Zmagania z górą trwały blisko godzinę.

Polka w łącznej klasyfikacji pokonała gwiazdę kolarskiego sportu Demi Vollerling o 4 s. Uwierzyć mi: z kolarskimi peletonami przejechałem tysiące kilometrów, byłem świadkiem sukcesów Ryszarda Szurkowskiego, Staszka Szozdy, Joachima Halupczoka i Janusza Kowalskiego. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wrzucił się tak bardzo jak po sukcesie Kasi Niewiadomej. Przypuszczam, że sporo osób ma inną kandydatkę lub kandydata do tytułu sportowca roku. Ja będę upierać się przy Kasi. A w końcu – podkreślam – to jest moja subiektywna lista.

Katarzyna Niewiadoma pokazała, że po sukcesy można sięgać w kolarstwie, tylko wyjeżdżając z kraju, trenując i startując w zawodowej grupie. W jej ślady poszła Daria Pikulik i podczas igrzysk w Paryżu zdobyła srebrny medal na torze w wieloboju. Daria Pikulik też powinna się znaleźć na mojej liście, ale nie było gdzie jej wcisnąć, więc przyznaję jej honorowe miejsce obok Kasi Niewiadomej.

2

Aleksandra Mirośław

Pewnie wielu Czytelników widziałoby na pierwszym miejscu zdobywczynię jedynego złotego medalu olimpijskiego dla Polski. Wiadomo, co igrzyska, to igrzyska. Też wiem, że to najważniejsza impreza i ile waży zdobyty tam złoty medal. Wspinaczka sportowa to jednak młodzieżówka dyscyplina, a wspinaczka na czas, w której wygrała nasza zawodniczka, w ogóle debiutowała podczas igrzysk w Paryżu.

Sukcesy Aleksandry Mirośław oraz siostr Natalii i Aleksandry Kałuckich sprawiły, że trochę zapomnieliśmy, iż w 2016 r. mieliśmy już mistrza świata – Marcina Dzieńskiego. Ale kto wówczas przejmował się dyscypliną nieolimpijską, traktowaną bardziej jako ciekawostka niż prawdziwy sport?

Podczas igrzysk olimpijskich w Paryżu Aleksandra Mirośław nie tylko wywalczyła złoty medal, dwukrotnie biła swój rekord świata, który wynosi teraz 6,06 s.

Moim zdaniem – a wciąż powtarzam, że to bardzo subiektywna klasyfikacja – na wysoką lokatę w plebiscycie Aleksandra zasłużyła nie tylko złotym olimpijskim medalem i rekordem świata. Imponujące, jak potrafiła w tej niezbyt dochodowej dyscyplinie stworzyć profesjonalny zespół. Absolwentka AWF Aleksandra Rudzińska trenowała wspinaczkę pod okiem Mateusza Mirośława i – jako prawdziwa amatorka – uczyła wychowania fizycznego w tej samej szkole, którą wcześniej ukończyła. Marzyła o mistrzostwie świata, nawet do głowy jej nie przyszło, że może być mistrzynią olimpijską, bo wspinaczki na igrzyska jeszcze nie zapraszali.

Mateusz i Ola zaręczyli się w 2017 r., a dwa lata później – pobraли. We współczesnym sporcie zawodniczką i trener to jeszcze za mało. Potrzebne są pieniądze. Wsparcie dało Ministerstwo Sportu

i Turystyki. Wraz z coraz liczniejszymi sukcesami w mistrzostwach świata (dwa razy złoty medal) i w innych prestiżowych imprezach znaleźli się też prywatni sponsorzy, a zatrudnienie dało Wojsko Polskie. Można było korzystać z pomocy fizjoterapeutów, także psychologa; Ola wiele zyskała na współpracy ze znaną psycholożką Igi Świątek Daria Abramowicz. Jak sama twierdzi, to Daria Abramowicz nauczyła ją, jak koncentrować się na jednym wybranym celu i odcinać się od całego świata, a zwłaszcza od mediów społecznościowych.

Teraz nasza jedyna złota medalistka z Paryża już nie musi się martwić o swój zespół. Jest w polskim sporcie kimś ważnym. Czasem tylko zastanawiam się, co by się stało, gdyby w Paryżu podczas któregoś z biegów obsunęła się jej ręka lub noga. Ola odpadłaby ze ściany, a razem z nią odpadłby cały zespół, który wraz z mężem zbudowali...

3

Iga Świątek

Tenis to globalny sport. Grają amatorzy miliony ludzi, znają się na nim wszyscy, a do dobrego tonu należy pokazać się na korcie, choćby bez rakiety. O ile nazwiska naszej rodaczki biegającej po stromej ścianie może nie znać wielu kibiców na świecie, o tyle na pytanie, czy wiedzą, kim jest Iga Świątek, większość odpowie twierdząco. Zamieszanie z niedozwoloną substancją, którą wykryto w jej organizmie, sprawiło, że o Polce stało się jeszcze głośniejsze, choć nie o taki rozgłos jej na pewno chodziło. Sprawa wyjaśniona – nie będę się o niej rozpisywać.

Zawieszenie Igi Świątek w końcówce sezonu kosztowało ją utratę pierwszej lokaty w rankingu zawodowych tenisistek, podczas igrzysk olimpijskich w Paryżu zdobyła brązowy medal, a wszyscy – włącznie z nią – liczyli na złoty. Gdyby nie to, z pewnością wygrałaby Plebiscyt „Przeglądu Sportowego”, nawet na mojej subiektywnej liście musiałaby wyprzedzić Kasię Niewiadomą. Nie zapominajmy, że w zakończonym sezonie trzeci raz z rzędu i czwarty w karierze wygrała wielkoszlemowy tytuł na kortach Rolanda Garrosa w Paryżu i jest pierwszą od czasu Sereny Williams tenisistką, która w jednym sezonie zwyciężyła w Madrycie, Rzymie i we French Open.

4

Bartosz Zmarzlik

Nigdy nie ukrywałem, że jestem fanem żużla. Jakże bym mógł zapomnieć na mojej subiektywnej liście o Zmarzliku? W minionym sezonie rajder Motoru Lublin został drugim po Ivanie Maugerze zawodnikiem, który w mistrzostwach świata zdobył trzy tytuły z rzędu, a łącznie ma ich pięć. Jest przy tym najmłodszym, który tego dokonał, i patrząc na jego formę, można być pewnym, że jego już nieskończenie długa lista sukcesów będzie się jeszcze wydłużać.

Paradoks. I ja, i inni kibice żużla najbardziej lubimy, gdy Zmarzlik przegra start. Zapowiada to pasjonującą walkę na trasie, gdy zaczyna wyprzedzać rywali, czasem bardzo ryzykownie. Jeśli wyjedzie spod taśmy jako pierwszy, rywale mogą tylko oglądać jego plecy, i męczyć się w szprycy lecącej spod kół jego motocykla.

5

Wilfredo León

Kubańczyk od 2019 r. reprezentujący barwy Polski pomógł naszym siatkarzom przełamać olimpijską złą passę. Wreszcie zdobyli medal. Na olimpijskie podium czekali od finału w Montrealu w 1976 r., w którym pokonali reprezentację ZSRR, wprawiając w szal radości kibiców, jak to zwykle bywało, gdy pognębiliśmy wielkiego brata. Takie wygrane były nie tylko sportowym wydarzeniem, to było coś znacznie, znacznie większego.

Jeśli do dziesiątki „Przeglądu Sportowego” trafia przedstawiciel sportów zespołowych, to albo jest to kapitan/kapitanka drużyny, albo ktoś, kto bardzo się wyróżnia. W przypadku Leona mamy do czynienia z tym drugim wariantem, bo kapitanem jest Bartosz Kurek, bardzo zasłużony zawodnik naszej reprezentacji.

Decydując się na zaproponowanie Wilfreda Leona, myślałem nie tylko o igrzyskach olimpijskich w Paryżu. Od tego sezonu siatkarz wraz z żoną Małgorzatą i trójką ich dzieci przenieśli się do Polski. Jeden z najlepszych przyjmujących świata jest graczem klubu Bogdanka LUK Lublin, a na mecze w tym mieście przychodzą tłumy. Nie wiadomo, kiedy Lublin stał się stolicą polskiego sportu. Po ścianie łązi tam Aleksandra Mirośław, żużlowcy Motoru zdobyli mistrzostwo Polski, piłkarze tego klubu awansowali do Ekstraklasy i rządzą się tam, jak gdyby nie byli beniaminkiem, ale zasiedziały od dawna potęgą. Na dodatek pięściarka Julia Szeremeta, dla której też nie powinno zabraknąć miejsca na mojej liście, na każdym kroku podkreśla, że jest lublinianką, co prawda urodzoną w Chełmie.

6

Ewa Pajor

O naszej gwiazdce kobiecego futbolu wiele nie będę pisać – zrobiłem to w poprzednim numerze. Bez wahania umieszczam ją na liście wyżej od Roberta Lewandowskiego. Oboje grają w FC Barcelonę, oboje strzelają bramki, ale jeśli chodzi o reprezentacyjne kariery, piłkarka jest górą. Ewa Pajor z drużyną awansowała do finałów mistrzostw Europy, Robert Lewandowski spadł z kolegami z grupy A Ligi Narodów, a wcześniej zginął się, i to w fatalnym stylu, z finałami mistrzostw Europy w Niemczech. Co tu dużo mówić: męska reprezentacja zajmuje w rankingu FIFA 35. lokatę, a żeńska jest na 28. miejscu.

Marzy mi się, że gdy panie wyruszą na mistrzostwa, prezydent – ktokolwiek nim zostanie – podobnie jak to zrobił Andrzej Duda w przypadku męskiej reprezentacji, odda im do dyspozycji swój samolot i nakaze myśliwcom F-16 eskortować go do granicy Polski.

7

Robert Lewandowski

Patrz wyżej.

8

Natalia Kaczmarek

W biegu na 400 m wywalczyła w Paryżu brązowy medal. Może liczyliśmy na coś więcej, ale znakomita lekkoatletka, która swoją karierę buduje konsekwentnie od lat, uratowała honor swojej dyscypliny. Królowa sportu była kiedyś także królową polskiego sportu. Dziś została jedna śliczna księżniczka w randze starszego szeregowego.

9

Julia Szeremeta

20-letnia pięściarka, o której już wspomniałem, zdobyła srebrny medal, przegrywając w finale z reprezentantką Tajwanu Lin Yu-Ting, którą niektórzy podejrzywali, że w jej genach zbyt mocny jest męski chromosom Y. Daleki jestem od rzucania podobnych podejrzeń, Julia – choć to bardzo niesfora dziewczyna – także gryzła się w język.

Po Paryżu do ringu wróciła dopiero 13 grudnia, oczywiście podczas gali w Lublinie i przed własną uwielbiającą ją publicznością zdemolowała Niemkę Lenę Büchner.

10

Klaudia Zwołińska

Mijał dzień z dniem podczas igrzysk w Paryżu, a przedstawiciele naszego kraju nie mogli zdobyć medalu. Chciałoby się powiedzieć, że worek z medalami otworzyła kajakarka górską Klaudia Zwołińska, ale była to zaledwie portmonetka, bo nasza ekipa – jak wiadomo – wróciła ze stolicy Francji raczej na tarczy niż z nią.

...

Natalia Kałucka wymyka się klasyfikacji. Wygląda na to, że staliśmy się potęgą we wspinaczce na czas w jej żeńskim wydaniu. W Paryżu na najwyższym stopniu podium stanęła Aleksandra Mirośław, brązowy medal zdobyła Natalia Kałucka. Gdyby system eliminacji był inaczej ułożony, całe podium mogło być białoczerwone, bo siostra bliźniaczka Natalii – Aleksandra – też należy do najlepszych na świecie. Nie wpisuję na moją listę Natalii Kałuckiej, bo wymyka się ona wszelkim ocenom. Historia bliźniaczek z Tarnowa to dramatyczna opowieść, której sport stanowi zaledwie niewielką część. Obiecuję o nich wkrótce szerzej napisać, bo trzeba!

Podsumowując: wydawałoby się, że mamy za sobą najbardziej gówniany rok w sporcie od niepamiętnych czasów. Coś w tym jest. Z drugiej strony, nie zabrakło mi kandydatów, a zwłaszcza kandydatek do znalezienia się w dziesiątce najlepszych sportowców w Plebiscycie „Przeglądu Sportowego”. Co więcej, mam przeświadczenie, że sporo osób pominęłam, do czego jednak w subiektywnej dziesiątce mam święte prawo.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Cwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Micińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sadowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:

00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET

www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:

Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:

www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:

str. 1–32 – 17.12.2024 r.

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

Jacek Kurski poklepał syna po plecach, dodając mu odwagi.

– Nie możesz lecieć, Zdzisiu, do Anglii, Turcji ani na Dominikanę, bo tam cię złapią – rzekł z troską w głosie.

Zdzisław połknął łzę. Słyszał, że na Dominikanie jest raj dla takich jak on.

– Najlepiej wybrać drogę ewakuacyjną Marcina, z której wcześniej skorzystał Adolf – radził Kurski senior.

– Jaki Adolf? – jęknął Kurski junior.

– A taki jeden... Dawno temu... Najpierw musisz jechać do Rzymu, najlepiej autostopem, tam w Watykanie idź do księdza, do którego dam ci namiar, on ci załatwi miejsce na statku. Będziesz udawał mechanika w maszynowni.

– W maszynowni? Na statku? Dokąd?

– Do Paragwaju albo do Argentyny, ksiądz będzie wiedział. Tam się zadekujesz pod fałszywym nazwiskiem, dostaniesz pieniądze i nowe papiery.

– Przecież ja nawet nie umiem po argentyńsku – pisał Zdzisław.

– W Argentynie mówi się po hiszpańsku, głębiej, ale dogadasz się po angielsku – rzekł Jacek. – Zresztą przez pierwsze pół roku będziesz siedział cicho jak mysz pod miotłą. O, możesz się w tym czasie nauczyć hiszpańskiego...

– A picie, jedzenie i... inne potrzeby?

Kurski senior poczerwieniał na twarzy.

– Jakie inne potrzeby?! – warknął. – Z powodu tych twoich innych potrzeb teraz musisz spierdalać z kraju, durniu!

– Od razu durniu... – zachnął się Kurski junior. – Sam mówiłeś, że nie wolno tłumić pope...

– Morda! Co mówiłem, to mówiłem, teraz mówię, że masz trzymać ryj. I uczyć się hiszpańskiego.

– Jak jest dzień dobry? – zapytał syn, a serce ojca zmiękło wobec takiego zapachu do nauki.

– Buenos días.

– A do widzenia?

– Adios.

– A dziękuję?

– Gracias.

– A jak masz na imię, dziewczynko, bo ja mam na imię Zdzisław? – zapytał Zdzisław. Gdyby nie zdążył się uchylić, karząca pięść Jacka rozkwasiłaby mu nos.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN z niecierpliwością wpatruje się w kalendarz. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** też, ale z innej pozycji.

Wołk-Łaniewska: – Tak się Bożego Narodzenia nie możesz doczekać?

Senyszyn: – Wręcz przeciwnie: nie mogę się doczekać, żeby już było po.

– A nie, to ja jestem raczej z frakcji *White Wine in the Sun*...

– A od kiedy to pijesz białe wino?

– Och, nie bądź taka dosłowna. Czerwone piję, i rzadko kiedy w słońcu, bo w grudniu na Podlasiu słońce jest krótko. Ale to z piosenki Tima Minchina, z którą się całkowicie utożsamiam: *Zobaczę moją tatę, brata i siostry, babcię i mamę, będziemy pić białe wino w słońcu*...

– To jeszcze wyjaśnijmy, kim jest Tim Minchin, żeby sobie Czytelnicy nie pomyśleli, że to jakiś dewot.

– Tim Minchin jest precyzyjnym artystą z Australii – stąd białe wino w słońcu na Gwiazdce – który pisze, gra, śpiewa i generalnie drze łachy z rzeczywistości w bardzo poetycki sposób...

– I jest również ateistą.

– I z tej pozycji potrafi przypierdolić, żeby wspomnieć choć beczenną piosenkę o Benedyktie XVI, zatytułowaną „Pierdolić pierdolonego papieża”.

– Subtelne.

– I trafne. Piosenka była o tym, że każdy, kto kryje zbrodniarzy dymających dzieci, jest tak samo winny jak pedofile, a jeśli ta głupia pioseneczka obraża cię bardziej niż możliwość, że papież chronił księży, kiedy zabawiali się dziećmi, to jesteś tak samo moralnie popieprzony, jak ten jebany, głodny władzy, samozwańczy bigot w pojebanym kapeluszu... Ale o świętach Minchin pisze lirycznie i ja się z nim zgadzam.

– A co pisze?

– Mam wszystkie typowe zastrzeżenia do konsumpcjonizmu, komercjalizacji starożytnej religii, westernizacji martwego Palestyńczyka, wykorzystywania do sprzedaży PlayStation i piwa, ale nadal bardzo lubię Gwiazdkę. To tak jak ja: pojadę bo Białegostoku i będę z rodziną – z wyboru, czyli najlepszą – pić czerwone wino przy kominku.

– Jak to z wyboru?

– No bo moja siostra to nie siostra, tylko przyjaciółka od urodzenia, i jej rodzice, i jej córka... Z niewyboru będzie tylko mamusia.

– Bo matka, jak wiadomo z dowcipu z Peerelu, jest tylko jedna.

– No więc właśnie. I im jestem starsza, tym bardziej mnie wzrusza myśl o świętach...

– Nie składaj tego na wiek. Ja jestem starsza, ale Gwiazdka mnie całkiem nie wzrusza. Co nie znaczy, że nie świętuję. Od lat robię wigilię Wigilii, żeby spędzić wieczór w gronie przyjaciół, którzy począwszy od 24 grudnia są zajęci rodzinnie.

– To też jest pomysł. Zmieniając temat: przynasz, że twój minister zachwyca coraz bardziej...

– Zaraz, zaraz: czemu „mój”?



– No bo od nauki. Jesteś uczoną w końcu.

– A ty jesteś dziennikarką, to Kurski jest „twój”?

– Touché.

– Ale nie zatopiona. Z Wieczorkiem faktycznie byliśmy kawał czasu w SLD i trzy lata w tym samym klubie poselskim, gdzie – jako prawa ręka Czarzastego – dorobił się ksywki „masażysta”, bo miał bojowe zadanie rozmasowywać konflikty. W nagrodę za wierną służbę został ministrem. Pech chciał, że nauki.

– Pech zdaje się obustronny: i nauki, i jego...

– Był nauki, a teraz jest i jego, bo gdyby był szeregowym posłem, nie miałby kumulacji, nawet gdyby dziennikarze odkryli, że pominął w oświadczeniu majątkowym dwa hektary ziemi i miejsce garażowe.

– Uczciwie powiedziawszy, nieruchomości Wieczorka mniej mnie martwią niż jego donosielsstwo...

– To prawda. Wyjaśnijmy, jakby ktoś nie słyszał: szefowa związku zawodowego na Uniwersytecie Szczecińskim, p. Fostiak, łudziła się, że nieprawdopodobnie na uczelni, które zasygnalizowała w piśmie do ministra Wieczorka, zostaną zbadane. Wieczorek przekazał jej pismo swojemu koledze rektorowi i łudzi się, że premier Tusk zrozumie ten koleżeński układ zamknięty, do którego wtrąciła się Fostiak.

– Związek Wieczorka z rektorem US umacnia wymiana żon. Która, niestety, nie polega na swingowaniu podczas orgii seksualnych...

– Żona Wieczorka została dyrektorką uniwersyteckiego Centrum Edukacji Medialnej i Interaktywności...

– Co wymagało obniżenia oczekiwań, bo stara Wieczorkowa nie ma doktoratu, który do tychczas był wymagany na tym stanowisku...

– Toteż w regulaminie Uniwersytetu Szczecińskiego dokonano stosownych zmian. Żona rektora Uniwersytetu Szczecińskiego prof. Tarczyńskiego, w ramach wymiany uprzejmości, trafiła do Komisji Ewaluacji Nauki.

– A przy okazji lud usłyszał, że z prestiżowych grantów European Research Council na 330 laureatów tegorocznego konkursu jest pięć polskich nazwisk. Z czego czwórka prowadzi badania na uczelniach zagranicznych. Do pięknej naszej Polski całej trafił 1 – słownie: jeden – grant. Co oznacza, jak zauważyła ostatnio w telewizji jedna profesorzyca, że RP subsydiuje naukowców niemieckich. Bravo, magister Wieczorek! – Pał sześć Wieczorka. Dużo ciekawszy jest casus Czarzastego, który ilekroć są poważne a niewygodne dla niego sprawy, idzie do szpitala.

– Czyżbyś podejrzewała, że współprzewodniczący nie jest poważnie chory?

– W odróżnieniu od Romanowskiego Czarzasty rozsądnie nie zdradza swoich dolegliwości, choć w 2015 r. twierdził, że to serce.

– Co by wskazywało, że marszałek Czarzasty ma sece...

– W każdym razie wtedy, kiedy mu się przydaje do zachorowania. W 2015 r. był szefem kampanii wyborczej tzw. Zlewu...

– Ten uroczy akronim, przypomnijmy, oznaczał Zjednoczoną Lewicę, czyli nieczysty związek SLD z Ruchem Palikota. To było wtedy, kiedy lewica twarzą swojej kampanii uczyniła Barbarę Nowacką i nie przekroczyła progę, co spowodowało – via D'Hondt – że PiS zdobyło samodzielną większość i potem rządziło przez osiem lat. Jakoś nie zauważyłam, nawiąsałem mówiąc, żeby Nowacka kiedykolwiek stała w prawdzie i przynajmniej: *Dalam dupy, to przeze mnie PiS doszedł do władzy*...

– Ale też przez Czarzastego. Który, widząc dołujące notowania, wyładował w szpitalu. W czasie kampanii Ogórek też nie czuł się najlepiej. Teraz przezornie dwa tygodnie przed konwencją, która miała wyłonić kandydata na prezydenta, biedaczek się rozchorował, żeby móc tłumaczyć Tuszkowi, że gdyby był obecny na konwencji, partia nikogo by nie wystawiła, ale od razu poparła Trzaskowskiego. A że go nie było... Przypomina mi się piosenka „Wódz”, śpiewana przez Trzeci Oddech Kaczuchy.

– Nie pamiętam....

– Kto winien? On milczy. Kto winien? Nie on! On wzrusza się nagle w tym ciepłym lokalu! On biedny, on chory, on leży w szpitalu... Oczywiście bezpartyjna Biejat kandydowanie miała obiecać, jak rozwałała Razem. To kandydatka wygodna i całkowicie niegroźna. Dla nikogo. Nawet gdyby miała wynik partyjnych marzeń, czyli w granicach 5 proc., nie zagrozi pozycji Czarzastego jako szefa. Ten numer jest skutecznie ćwiczony od czasu Ogórek.

– No chyba jednak muszę zaprotestować. Biejat jest rozczarowująca – piszę o tym w tym numerze – ale z Ogórkiem bym jej nie zestawiała...

– Kampania dopiero się zaczyna, będziemy miały jeszcze wiele okazji się o to pokłócić... A wracając do świąt i końca roku – to okres rodzinnej miłości, nadziei na lepsze jutro i wiary, że będzie. Dobrze, że Polska coraz mniej religijna, bo będzie mniej sprzecznych modłów. Czytelnikom i sobie życzymy, żeby w 2025 r. rząd spełnił więcej niż w 2024 obietnic z katalogu 100 na 100.

– Ja tam, zamiast realizować program Tuska, wołałabym budować socjalizm. O to też możemy się pokłócić w przyszłym roku. A naszym ukochanym Czytelnikom życzymy radosnych i produktywnych kłótni. Życie w zgodzie bywa strasznie nudne.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI